

✓ Życzymy naszym Czytelnikom miłych wakacji

Tygodnik Polski

23, rue Talbott, PARIS 9^e

CENA 2 F.
PRIX 18 F.B.

6-13 ^{sierpnia} août 1972

Rok wydania XV Nr 32-33
(772-773)

LA SEMAINE POLONAISE



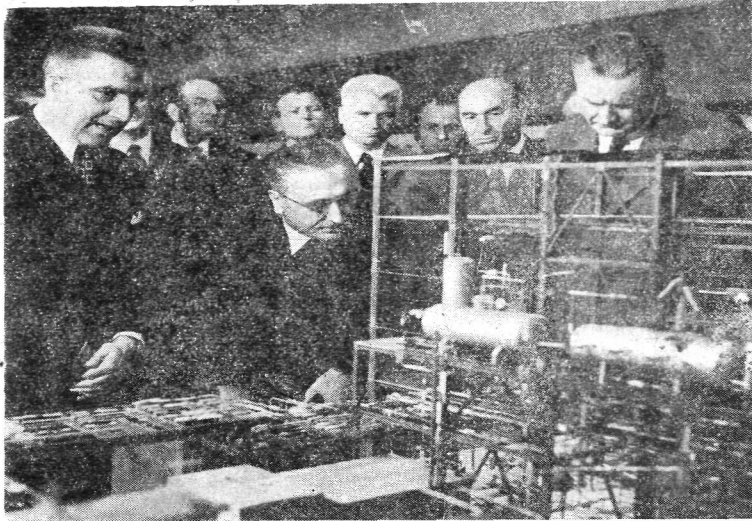
**Les
vacances
en
Pologne**

W kilku numerach „Tygodnika Polskiego”
proponowaliśmy urlopy w Polsce — dziś na
str. 21-24 zakończenie cyklu

Rys. St. Kopf

FOP 2373

◆ KRAJ W OBIEKTYWIE ◆ KRAJ W OBIEKTYWIE ◆



We Włocławku (woj. bydgoskie) zakończono pierwszy etap budowy wielkich Zakładów Chemicznych, inwestycji realizowanej przy współpracy specjalistów francuskich. W uroczystym przekazaniu do eksploatacji włocławskich „Azotów” uczestniczyli m. in. I sekretarz KC PZPR Edward Gierek, premier Piotr Jaroszewicz oraz ambasador Francji w Polsce Augustin Jordan (szerzej do tego tematu wrócimy w jednym z następnych numerów „Tygodnika”). Na zdjęciu od lewej: dyrektor naczelny zakładów Jerzy Reszka oprowadza Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza po automatycznej rozdzielni

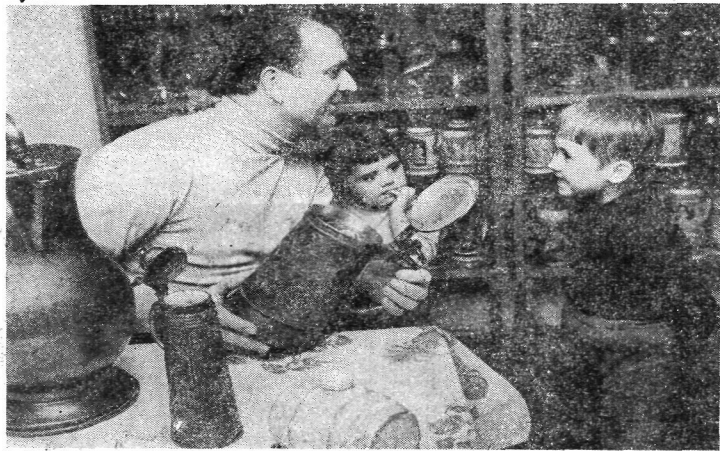


Setna rocznica powstania pierwszej polskiej organizacji turystycznej przypada w roku przyszłym. W tym roku natomiast obchodzi swoje stulecie pierwsza popularna trasa turystyczna — szlak wodny łączący Ostródę z Elblągiem. Podobnie jak przed wiekiem, i dziś niewielkie statki przebywają drogą od Jeziora Drwęckiego, poprzez wody Kanalu Warmińskiego i jezioro Drużno. Dla turystów oznacza to 9 godzin atrakcyjnej wodnej wędrowki, nie tylko ze względów krajoznawczych. Na trasie bowiem, oprócz wielu śluz, znajdują się pięć pochylni, przez które statki transportowane są ładem na specjalnych platformach. Nasze zdjęcie przedstawia śluzowanie statku w Miłomłynie

W związku z podwójną rocznicą Moliera — 350-leciem urodzin i 300-leciem śmierci — redakcja krajowego dwutygodnika „Teatr” wydała specjalny numer poświęcony w całości temu twórcy. Egzemplarz molierowskiego „Teatru” wręczył ambasadorowi Francji w Polsce Augustinowi Jordan (na zdjęciu z lewej): redaktor naczelny tego czasopisma Witold Filler. Ta miła uroczystość odbyła się w siedzibie Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, z udziałem wiceministra kultury i sztuki Bogusława Piąty, przedstawicieli Ministerstwa Spraw Zagranicznych i świata kulturalnego



Unikalnym zbiorem kufli i dzbanów do piwa dysponuje browar w Bielsku-Białej. Wśród eksponatów pochodzących z różnych stron Kraju i ośrodków piwowarstwa za granicą, znajdują się okazy wykonane z drewna, metalu, porcelany i szkła. Niektóre z nich są bogato zdobione kolorowymi scenkami rodzajowymi z dziejów piwowarstwa. Najstarszy kufel pochodzi z 1684 r. Zbiorem opiekuje się obecnie dyrektor browaru Z. Zielenkiewicz, którego dzieci również interesują się kolekcją



Studenckie wakacje to nie tylko wypocinek, lecz również praca, której rodzaj zależy od kierunku i roku studiów. Studenci lat starszych w ramach praktyk wakacyjnych podejmują prace i badania naukowe m. in. dla potrzeb rolnictwa, przemysłu i służby zdrowia. Np. słuchacze Akademii Medycznej w Lublinie prowadzą badania nad stanem zdrowia ludności wiejskiej na terenie całego województwa. Miejscem pracy studentek IV roku Wydziału Lekarskiego jest ośrodek w Puchaczowie koło Łącznej (zdjęcie z lewej). Natomiast studenci lat młodszych (I i II roku), nie objęci jeszcze praktykami specjalistycznymi, odbywają tzw. wakacyjne praktyki robotnicze, czyli wykonują różne społecznie użyteczne prace fizyczne. Na zdjęciu wyżej: studentka Uniwersytetu Warszawskiego maluje znaki drogowe

W tym tygodniu
„KRAJ W
OBIEKTYWIE”
— również
na stronie 43
ZDJĘCIA: CAF

Kamienny cokół w kształcie proporczyka z herbem miasta — w ten właśnie sposób gospodarze Opola oznaczyli jego granice. Znak dobrze widać z daleka, nikt więc z turystów nie będzie miał wątpliwości, że dojeżdża do stolicy ziemi opolskiej. Nie zawsze będzie tu stała uśmiechnięta dziewczyna z kwiatami. Tę wiązanek otrzymał ten, kto pierwszy po ustawieniu znaku przekroczył granicę miasta

RODAKU! Wytnij i zachowaj to ogłoszenie, a na pewno Ci się kiedyś przyda. Będiesz chciał przypomnieć sobie tradycje polskiej kuchni, zjeść polskie wędliny oraz importowane produkty z Polski, zamówić ciasta i torty polskie, wstąp do

SKLEPU POLSKIEGO

przy 11, rue Jouffroy — PARIS 17-ème.

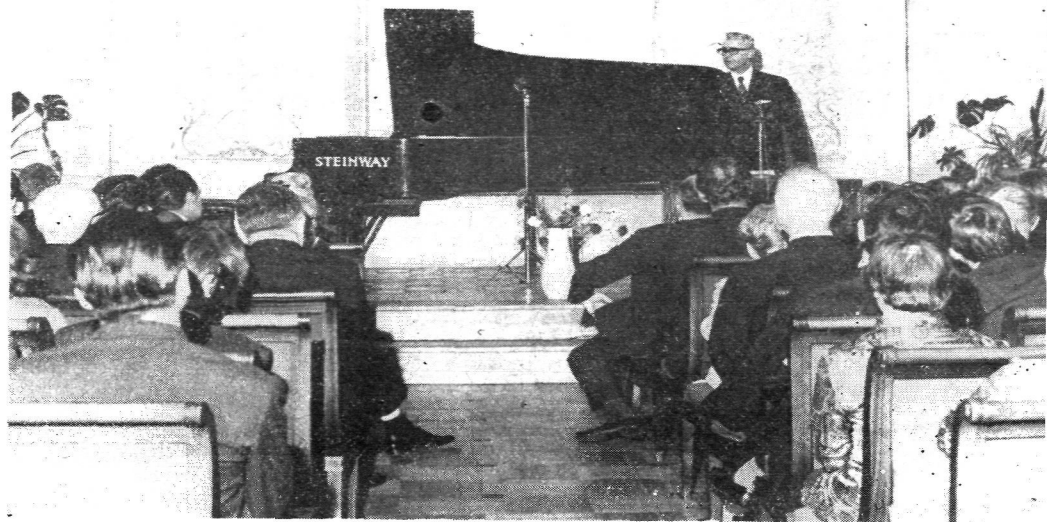
Métro WAGRAM i ROME, tel. 622-55-52.

(Sklep w niedzielę nieczynny, w sobotę czynny cały dzień, a w tygodniu z przerwą obiadową do godz. 21).



UROCZYSTA AKADEMIA w Warszawie

W wygłoszonym na akademii przemówieniu ambasador Francji w Polsce pan Augustin Jordan mówił o doniosłym znaczeniu rozwijającej się współpracy między Polską a Francją dla rozwoju stosunków i zacieśnianiu więzi pomiędzy obu krajami



Z okazji święta narodowego Republiki Francji, w Pałacu Ostrogskich w Warszawie odbyła się uroczysta akademie zorganizowana staraniem nowo powstałego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej.

Przybyli na nią: przewodniczący Ogólnopolskiego Frontu Jedności Narodu prof. dr Janusz Groszkowski, wiceprzewodniczący Rady Państwa Wincenty Kraśko, minister Finansów i pierwszy ambasador Polski Ludowej we Francji Stefan Jędrzychowski, zastępca kierownika wydziału zagranicznego KC PZPR Stanisław Pichla, wiceministrowie: Romuald Spassowski i Czesław Kotela, gen. Z. Skibiński, gen. Książarczyk, szereg osobistości ze świata kultury, nauki, gospodarki oraz uczestników walk we Francji.

Obecny był także ambasador Francji w Polsce — Augustin Jordan oraz przybyła do Warszawy delegacja Towarzystwa France-Pologne: członek prezydium — Raymond Dumont i sekretarz generalny Towarzystwa — Alex Krakowiak.



Na akademie przybyła delegacja Towarzystwa France-Pologne: sekretarz generalny Towarzystwa p. Alex Krakowiak (pierwszy od lewej) oraz członek Prezydium Towarzystwa, p. Raymond Dumont (drugi od lewej)

Dokończenie na str. 31

„Tygodnik Polski” doniósł już o powstaniu i ukonstytuowaniu się Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Przewodniczącą nowo powstałego Towarzystwa została wybrana doc. dr HALINA SKIBNIEWSKA, wicemarszałek Sejmu, architekt i działacz społeczny.

„Tygodnik” zwrócił się do Pani docent z prośbą o rozmowę na temat planów i zamierzeń Towarzystwa, której treść pt. „„Losy Polski i Francji są związane...”, zamieszczamy na str. 4.



Dès sa réunion constitutive tenue le 27 juin dernier, l'Association Pologne-France savait que sa création répondait aux vœux de tous les Polonais pour qui l'amitié entre la Pologne et la France est une évidence depuis longtemps établie.

Et quelques jours avant le 14 juillet l'Association Pologne-France inaugura sa première soirée en le charmant palais Ostrogski qui abrite également un musée Chopin.

La présidente de l'Association, Madame Halina Skibniewska vice-maréchale de la Diète ouvrit la soirée en prononçant un chaleureux discours dans lequel elle évoqua les liens d'amitié qui unissent la Pologne et la France, les relations actuelles, politiques, économiques scientifiques et culturelles qui ne cessent de se développer et que la visite en France de M. Edward Gierek, prévue en octobre prochain, ressertera encore.

L'ambassadeur de France, M. Augustin Jordan devait dire sa joie de la fondation de l'Association Pologne-France qui, du même coup, devient la soeur de l'Association France-Pologne créée pendant la dernière guerre par Frédéric Joliot-Curie. Il devait dire entre autres: „...Il importe de préserver le patrimoine commun que nous avons hérité du passé, mais il importe surtout de construire l'avenir.

„Plus que jamais nos deux pays ont beaucoup à apprendre l'un de l'autre et beaucoup à gagner d'une étroite collaboration. Encore faut-il qu'ils se connaissent et qu'ils ne gardent pas chacun une image de l'autre qui répond à un passé révolu...

„C'est bien pourquoi l'on a compris, à Paris comme à Varsovie, que notre effort devait porter essentiellement sur un resserrement de notre coopération dans les domaines scientifique, technique et industriel...

„La visite que fera M. Gierek en France au mois d'octobre prochain donnera sans aucun doute une impulsion nouvelle à la coopération de nos deux pays dans leur intérêt mutuel comme dans l'intérêt de l'Europe.”

Parmi les personnes présentes on pouvait remarquer M. M. Groszkowski, président du Front de l'Unité Nationale, Kraśko, vice-président du Conseil d'Etat, S. Jędrzychowski ministre des Finances et premier représentant de la Pologne Populaire en France et de nombreuses autres personnalités du gouvernement du monde artistique, scientifique et littéraire. Quant aux invités venus de France offrir leurs vœux à la nouvelle association, ce furent M. M. Raymond Dumont et Alex Krakowiak, respectivement membre de la présidence et secrétaire général de l'Association France-Pologne.

Dans la partie artistique, on a écouté le professeur Jan Ekier qui interpréta remarquablement quelques oeuvres de Chopin.

„TYGODNIK” na WAKACJACH

JAK co roku o tej porze, przeżywam niesamowite przygody. Zaczęło się od tego, że zostałem zamknięty w walizce. W wielu walizkach. W dziesiątkach waliz i walizek. I w różnych torbach. W niektórych walizkach czułem się całkiem dobrze, gdyż sąsiadowałem w nich z pachnącą damską bielizną, która wprawiała mnie w błogi nastrój. Wprawdzie składałem się tylko z papieru, słów i fotografii, ale moja nazwa zalicza się do rzeczowników rodzaju męskiego, więc czuję pociąg do płci pięknej. Ale w wielu innych walizkach i torbach było mi naprawdę niewygodnie. Ktoś niefrasobliwie położył na mnie kanapkę z paszтетem. Mimo iż cała kanapka była owinięta w papier, to jednak wkrótce potem ohydnie mnie zatłuściła. Ktoś inny wpakował mnie między źle zakorkowany termos z kawą, który beczelnie wylał na mnie całą zawartość, i starą, roztrajkotaną lalkę, która ustawicznie przewracała oczami i w koło powtarzała okropnym, chrapliwym głosem: „Ma-ma. Pa-pa. Ma-ma. Pa-pa”. A jeden stary kawaler bezceremonialnie położył mnie obok swojego pędzla do golenia, który przez całą drogę nieludzko łęczał mnie po artykułach.

Jechałem długo i w różnych kierunkach. Podróżowałem koleją, czasem w pierwszej klasie, ale najczęściej w drugiej, oraz rozmaitymi samochodami. Zarówno w pociągach, jak i w autach, panował nieznośny, prawdziwie zwrotnikowy skwar, tak że choć zazwyczaj dobrze znoszę gorąco, musiałem od czasu do czasu wachlować się swoimi okładkami. No ale jakoś dojechałem.

Dokąd dojechałem? Gdzie ja w tej chwili przebywam? Na wakacjach. Oczywiście, że jestem na wakacjach. W Normandii. W Alpach. Nad Atlantyką. A także w Wogezach. Jak również i nad srebrnymi wodami śródziemnymi. Oraz w Polsce. W Polsce wygrzewam się wespół z moimi właścicielami nad Bałtykiem, wędruję po Wielkopolsce, ziemi, która jest kolebką polskiej państwowości i z której pochodzi większość emigrantów polskich we Francji, po Rzeszowszczyźnie, gdzie dawniej też olbrzymie rzesze ludności zmuszone były do emigracji i szukania chleba na obczyźnie i gdzie dzisiaj znaj-

Dokończenie na str. 31

...Losy Polski i Francji są związane...

TP: Jak ocenia Pani znaczenie tego wydarzenia, jakim jest powstanie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej, w kontekście zarówno tradycyjnych związków między naszymi krajami, jak i współpracy rozwijanej w wielu dziedzinach, w chwili obecnej?

Halina Skibniewska: Mimo dzielącej je odległości, mimo odmiennych warunków zewnętrznych i wewnętrznych, cechujących je pod względem politycznym, Polska i Francja pozostawały zawsze w głębokiej przyjaźni, i jak powiedział generał de Gaulle, w czasie swej wizyty w Sejmie polskim 4 lata temu, „Polska i Francja wiedzą instynktownie, oraz w oparciu o doświadczenia, że losy ich są związane”. Słowa te, moim zdaniem, trafnie oddają to, co jest istotą naszych związków, to znaczy sferę uczuć i sferę racji uświadomionych z obu stron. Myślę, że nasze więzy tradycyjne są dobrze znane. Natomiast w chwili obecnej, w sytuacji w jakiej znajduje się zarówno Polska jak i Francja, szukać należy nowego modelu związków między naszymi krajami, myślę, że nasze związki tradycyjne, emocjonalne, powinny być umacniane i rozwijane poprzez nowe inicjatywy i raczej typu racjonalnego. Chcielibyśmy, aby z jednej strony żywy był w naszej kulturze Villon, Montaigne, Apollinaire, Edith Piaf i Le Corbusier, ale chcielibyśmy również, aby w naszej kulturze materialnej nabrała jeszcze większego znaczenia francuska myśl naukowo-techniczna i osiągnięcia Francji w dziedzinie gospodarczej. I na tym właśnie polu widzimy perspektywy dla działalności naszego Towarzystwa, pragniemy umacniać i rozwijać tradycję, w nowych dziedzinach i formach działania.

TP: Jak wobec tego wyglądać będzie praca Towarzystwa w najbliższej przyszłości?

Halina Skibniewska: Pragniemy w działalności naszej przybliżyć Francuzom oblicze dzisiejszej Polski, a Polakom, oblicze dzisiejszej Francji. W czasie wizyty we Francji pierwszego sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka, chcielibyśmy zorganizować szereg imprez popularyzujących naszą kulturę i osiągnięcia naszej nauki i techniki, i uczestniczyć w przewidzianych z tej okazji imprezach polskich na terenie Francji, zarówno jako specjaliści w szeregu dziedzin jak i w charakterze nowo powstałej organizacji.

Ukonstytuowaliśmy się dziś i naturalnie, teraz dopiero rozpoczniemy opracowywanie szczegółowych form i metod działania, starając się, aby były one nowe i oryginalne. Wiele jeszcze zależy od tego, z kim będziemy pracować, czy uda nam się przyciągnąć młodzież, i nie tylko młodzież uniwersytecką, ale także młodych techników i ekonomistów. Będziemy się starali propagować język francuski w różnych środowiskach, by to bogate źródło, jakim jest myśl francuska stało się dostępne w różnych dziedzinach, dla ludzi różnych środowisk i zawodów w Polsce.

SP: Que pourriez-vous dire, Madame, de l'importance de cet événement qu'est la constitution de l'Association de l'Amitié Polono-Française, dans le contexte des liens traditionnels et actuels entre nos deux pays?

Halina Skibniewska: Malgré la distance, malgré les différentes conditions intérieures et extérieures, au point de vue politique, la Pologne et la France restent en amitié profonde depuis des siècles et comme l'a dit le général de Gaulle à la Diète polonaise, il y a quatre ans — „leurs expériences et leurs destins sont liés”. Je pense que nos relations traditionnelles sont bien connues et que nos liens émotionnels surtout, sont toujours vivants, mais dans la réalité que nous vivons à l'heure actuelle, il faut chercher un nouveau modèle de relations entre nos deux pays. Je pense que ce modèle nouveau exige que nos expériences et nos émotions traditionnelles soient renforcées par les initiatives nouvelles et plutôt du genre rationnel. Nous voudrions que toujours dans notre culture soient vivants Villon et Montaigne, Rabelais et Apollinaire, Edith Piaf et Le Corbusier, mais nous voudrions aussi que dans notre culture matérielle soit vivante et importante la belle pensée française dans le domaine de la science, de la technique et de l'économie. Et c'est là que nous voyons un vaste champ d'action pour notre Association.

SP: Sur quelles tâches l'Association de l'Amitié Polono-Française va-t-elle donc se pencher dans l'avenir le plus proche?

Halina Skibniewska: Nous nous proposons surtout de montrer aux Français le nouveau visage de la Pologne et de montrer en même temps aux Polonais le visage de la France d'aujourd'hui. Pendant la visite du premier secrétaire du P.O.P.U., Edward Gierek à Paris nous voulons organiser plusieurs expositions de l'art et de la technique polonaise et prendre part aux manifestations organisées à cette occasion en France.

Aujourd'hui, à peine on a fondé l'Association et bien entendu, ce n'est que maintenant que nous allons élaborer des formes d'action précises veillant qu'elles soient originales et intéressantes. Ce qui est très important pour nous, c'est de savoir, avec qui nous allons travailler, si nous saurons attirer les jeunes à notre Association, car notre ambition est de pouvoir travailler non seulement avec la jeunesse universitaire, mais aussi avec les jeunes techniciens et économistes, propager la langue française dans les différents milieux, afin que cette source riche qu'est la pensée française dans différents domaines soit ouverte aux Polonais de différentes professions et de différents milieux.

CZYTELNICZY prasy krajowej ze zdziwieniem przeczytali wiadomość na temat zbyt ostrożnego wydawania... obcych walut. Dewiz, jak się w Kraju mówi. Dotychczas bowiem, to znaczy mówiąc ściśle, do grudnia 1970 roku, społeczeństwo w Kraju pouczane było i napominane, żeby oszczędzać, żeby liczyć skrzętnie każdy dolar uzyskany z eksportu, bowiem państwo polskie niewiele posiada w skarbcu franków, dolarów i funtów szterlingów. Teraz okazało się, że i na turystykę prywatną można bez trudu jakąś sumkę franków i dolarów uzyskać, że kierownictwo państwowe przypomina, iż fundusze dewizowe przeznaczone na import trzeba wykorzystywać a nie chować w przysłowiowej pończosze na tzw. czarną godzinę, czyli w razie już ostateczności. Nie chcę powiedzieć, że przed grudniem 1970 Kraj w ogóle niczego nie importował. Pragnę jedynie przypomnieć, że obecnie do spraw współpracy gospodarczej z zagranicą, a szczególnie z krajami Europy zachodniej w Kraju podchodzi się zupełnie inaczej.

Przed wszystkim obecny 5-letni plan rozwoju Kraju przewiduje znaczne podniesienie stopy życiowej. Aby ten cel osiągnąć trzeba sprzedawać za granicę, kupować za granicą wiele towarów, rozwijać wszechstronną współpracę ze wszystkimi państwami. I dlatego w najbliższych pięciu latach eksport wzrośnie o 55 proc. w porównaniu z poprzednią pięcioletnią a import o 60 proc. Kraj podnosząc poziom życia swych obywateli musi coraz więcej produkować dóbr różnego rodzaju. Kraj będzie więc — przykładowo — sprzedawał więcej węgla, miedzi i siarki, ale jednocześnie będzie więcej kupował za granicą celulozy, ropy naftowej i wyrobów hutniczych.

Ale nie tylko na samym kupowaniu i sprzedawaniu opiera się handel zagraniczny.

Otwarte drzwi

Często w informacjach nadchodzących z Kraju czytamy o „budowaniu drugiej Polski”. Hasło to oznacza, że nasi rodacy w Kraju mają zamiar podwoić produkcję, podwoić ilość towarów na rynku, jednym słowem uczynić Polskę podwójnie bogatą i zasobniejszą niż dotąd. Kierownictwo państwowe w Kraju zdaje sobie sprawę z trudów takiego zamiaru. Podejmuje więc wiele decyzji, często bardzo śmiałych, by realizację wielkiego celu umożliwić i ułatwić. Stąd właśnie tak wielką wagę przywiązuje się w Polsce do współpracy gospodarczej z zagranicą. Kraj potrzebuje nowej techniki, nowych sposobów produkcji. Kraj będzie kupował sporo licencji zagranicznych. Zdają sobie bowiem sprawę w Polsce, że najnowsze, najlepsze rozwiązania techniczne zdecyduje o postępie w przemyśle.

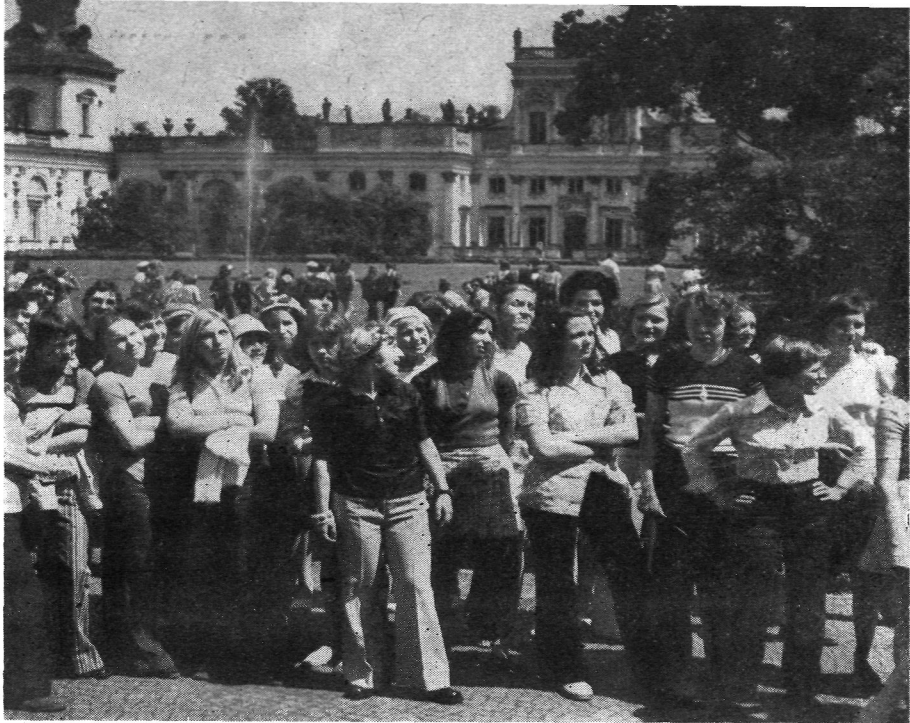
Kraj szuka tych rozwiązań wszędzie i na wschodzie i na zachodzie. Znana jest w Polsce sprawa zakupu we Francji licencji na proces produkcji aluminium, której dostarczyła firma Pechiney dla huty aluminium w Koninie. Francja jest w ogóle jednym z najważniejszych partnerów Polski w dziedzinie kooperacji przemysłowej. Przypomnijmy tu tylko współpracę między fabryką automatów tokarskich w Bydgoszczy a francuskim przedsiębiorstwem AMTEC. Współpracę między francuską firmą „Ateliers et Chantiers de Bretagne” z Zakładami Mechanicznymi w Elblągu w zakresie produkcji i sprzedaży pras. Optymistycznie przedstawia się także kwestia dalszego rozwoju kooperacji między Francją i Polską w dziedzinie przemysłu elektronicznego, produkcji urządzeń dla przemysłu chemicznego, maszyn

budowlanych i drogowych oraz wyrobów przemysłowych typu konsumpcyjnego.

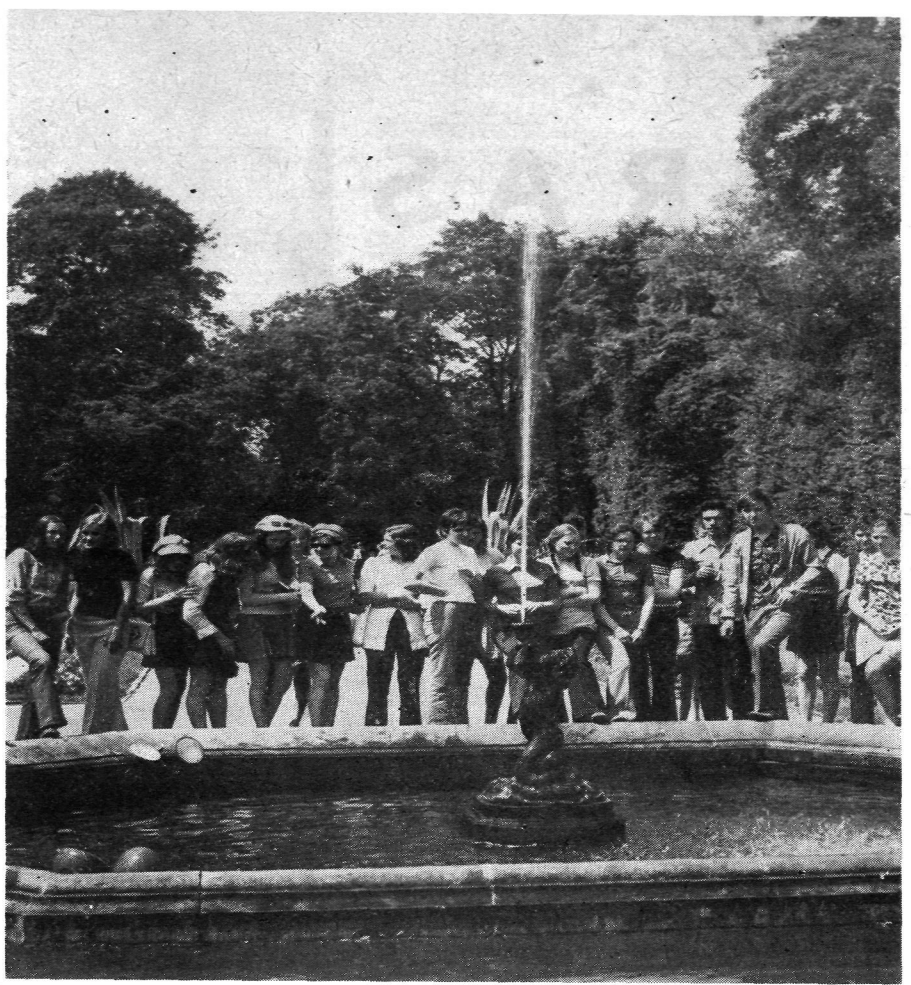
Współpraca gospodarcza między państwami europejskimi ma znaczenie nie tylko czysto materialne: co będę z tego miał dziś, ewentualnie jutro. Chociaż i to jest ważne a nawet bardzo ważne. Wiele dziś mówi się w Europie o konferencji europejskiej w sprawie bezpieczeństwa i współpracy. To projektowane wielkie spotkanie przedstawicieli wszystkich państw europejskich przy okrągłym stole ma zająć się nie tylko problemami czysto politycznymi. Nie tylko ma się tam dyskutować nad tym, w jaki sposób utrwalić pokój w Europie. Ma się na tym spotkaniu mówić także o współpracy: naukowej, kulturalnej i ekonomicznej. Skoro tym razem mówimy szczególnie o tej ostatniej, to warto powiedzieć, że wzajemne, liczne kontakty między poszczególnymi zakładami, fabrykami, między kupcami i przedsiębiorstwami zblizają społeczeństwa i państwa nawet jeśli panują u nich odmienne porządki prawne i ustrojowe. Mamy już tak liczne przykłady owocnej, zgodnej współpracy między państwami, zarówno z zachodu, jak i ze wschodu, że warto ten kierunek współdziałania popierać i rozwijać.

Polska występuje nie tylko w teorii ale i w praktyce na rzecz zblizania między wszystkimi państwami europejskimi. Widzimy to zarówno w zakresie oferowania wielu państwom europejskim kupna i sprzedaży maszyn i towarów konsumpcyjnych, jak w dziedzinie indywidualnego ułatwiania kontaktu z Polakami cudzoziemcom — i oczywiście odwrotnie — czego dowodzą stopniowe ułatwienia paszportowo-wizowe. Ostatnio np. zniesiono wizy między Austrią i Polską. Drzwi do Kraju są szeroko otwarte, dla wszystkich, którzy chcą z Krajem współpracować dla wspólnych korzyści.

Henryk KAWKA



Każda wycieczka do Kraju pochodzenia rodziców pozostawia jakieś ziarnko wiedzy o Polsce, zwłaszcza kiedy zwiedza się pałac Sobieskiego w Wilanowie



Młodzież z kolonii warszawskiej przy fontannie w parku wilanowskim

ZNÓW W POLSCE

Na warszawskim lotnisku Okęcie wylądował samolot Polskich Linii Lotniczych z Lille. Witamy dziewczęta i chłopców, którzy przybyli z Francji na kolonie do Polski.

Z samolotu wysiadła kilkudziesięciosobowa grupa młodzieży. Stolica Polski powitała ich ulewным deszczem i jak na lipiec dość niską temperaturą. Ale smutno było tylko na płycie lotniska, bo już w poczekalni nastąpiła zmiana nastroju. Serdeczne powitania, rozmowy, śmiech. Szybko nawiązywano kontakty. Z pierwszych relacji młodych gości wynikało, że kolonie są dla nich ogromnym przeżyciem, tym bardziej, że większość z nich przyleciała do Polski po raz pierwszy.

Przede wszystkim chcieli zwiedzić Warszawę i Kraków, miasta najbardziej im znane z opowiadań rodziców i z historii Polski. Chcą nauczyć się polskich piosenek, poznać nowe koleżanki i kolegów.

Po przywitaniu odbyła się krótka odprawa celno-paszportowa i rozpoczął się pierwszy dzień kolonii w Polsce. Młodzież rozdzielono na dwie grupy, część z nich udała się autokarem na Stare Miasto, inni pojechali do Otwocka-Soplicowa.

Na drugi dzień rano odwiedziliśmy kolonię warszawską nad Wisłą. Wszyscy byli w doskonałych humorach. Po śniadaniu pierwsza wycieczka autokarem do Wilanowa — podwarszawskiej rezydencji króla Jana III Sobieskiego. Po obiedzie mieli zwiedzać Warszawę.

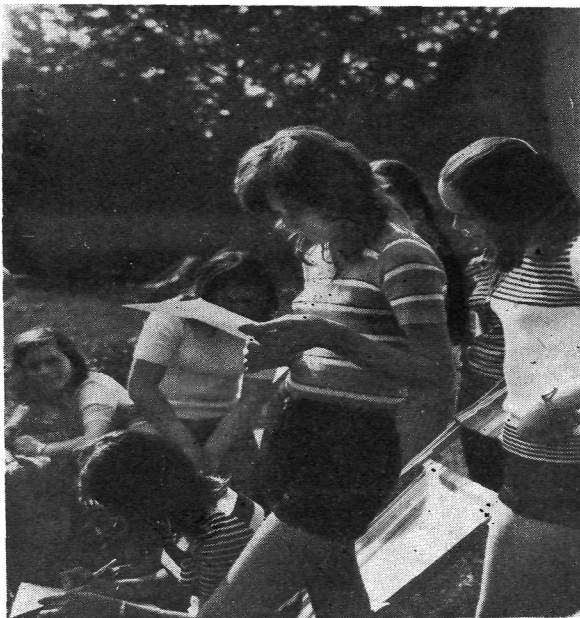
W południe odwiedziliśmy „kolonistów” w Otwocku-Soplicowie. Jeszcze wczoraj zażyczyli kolegom i koleżankom, którzy zostali w stolicy, ale dziś już o tym nie pamiętają. Uroki Otwocka i jego okolic urzekły ich całkowicie.

Ottock-Soplicowo to znane podwarszawskie uzdrowisko słynące z łagodnego klimatu o dużym nasłonecznieniu oraz żywicznym powietrzu stwarzającym idealne warunki dla wypoczynku.

Wszystko to razem sprawiło, że miłym gościom apetyty wzrosły ogromnie ku zadowoleniu kierownictwa kolonii.

Dzieciaki już w pierwszych listach do domu, opisywały uroki tej miejscowości. Cze-ka ich — jak zapewniła kierowniczka — wiele ciekawych przeżyć, bo program pobytu jest urozmaicony, przewiduje wiele atrakcji. Zwiedzają Warszawę i Kraków, zobaczą Wawel i kopalnię soli w Wieliczce. Będą też brać udział w ogniskach harcerskich, gdzie nauczą się wielu piosenek i poznają swoich polskich rówieśników.

Tekst i zdjęcia: Krzysztof PROCHNICKI



W Otwocku-Soplicowie zastaliśmy dzieci przy pisaniu listów do domu. Właściwie jeszcze nie ma o czym pisać, ale później nie będzie na to czasu. Niżej: Patrycja Kapiszara z Barlin w swoim liście pisze: „Jak będą nas nadal tak odżywiać, to wróćcie taka gruba.” List Patrycja ilustruje dowcipnymi rysunkami swojej dobrze odżywionej osoby.



Na lotnisku Okęcie młodzież powitała telewizja warszawska. O wrażeniach z podróży opowiedziała redaktorowi z dziennika tv Sonia Bella z Paryża



Wspólny pokój i balkon, wspólne zainteresowania, wszystko to ich łączy i sprzyja nawiązaniu przyjaźni. Od prawej: Hélène Kaczor z Metz, Monique Jastrzebski z Pecquencourt, Edvige Juralowicz z Villeneuve d'Ascq, Anne-Jane Lubowski z Pont-à-Mousson, Catherine Jablonski z Pecquencourt

Michèle Bladocha z Metz i Monika Darowski ze Strasburga zainteresowały się historią Wilanowa



FARAS

ODSŁONIĘTE OBLICZE STAROŻYTNOŚCI

FARAS — maleńka wioska w północnym Sudanie, nad brzegiem Nilu, do roku 1961 właściwie nic nie znaczący punkt na mapie; ten zresztą, który chciałby ją odnaleźć — musiałby posługiwać się mapą sztabową...

Dziś już nie istnieje — zalały ją wody Nilu, spiętrzone ogromem Assuańskiej Tamy. Ale Faras żyje. Żyje, bo oto w 1961 roku nastąpił tam fakt, który na małej wioszczynie skupił uwagę całego świata. Faras stało się jedną z największych sensacji archeologicznych, jakie odnotowała historia...

*

19 czerwca br. nastąpiło w Muzeum Narodowym w Warszawie uroczyste otwarcie Galerii Sztuki Nubijskiej, zwanej Galerią Faras. Jest to stała ekspozycja rewelacyjnych wykopalisk dokonanych przez polską misję archeologiczną. Na apel UNESCO, w latach 1961—1964, prowadziła ona prace w Nubii, ratując bezcenne zabytki i dokonując całego szeregu odkryć naukowych, które się stały nie lada sensacją.

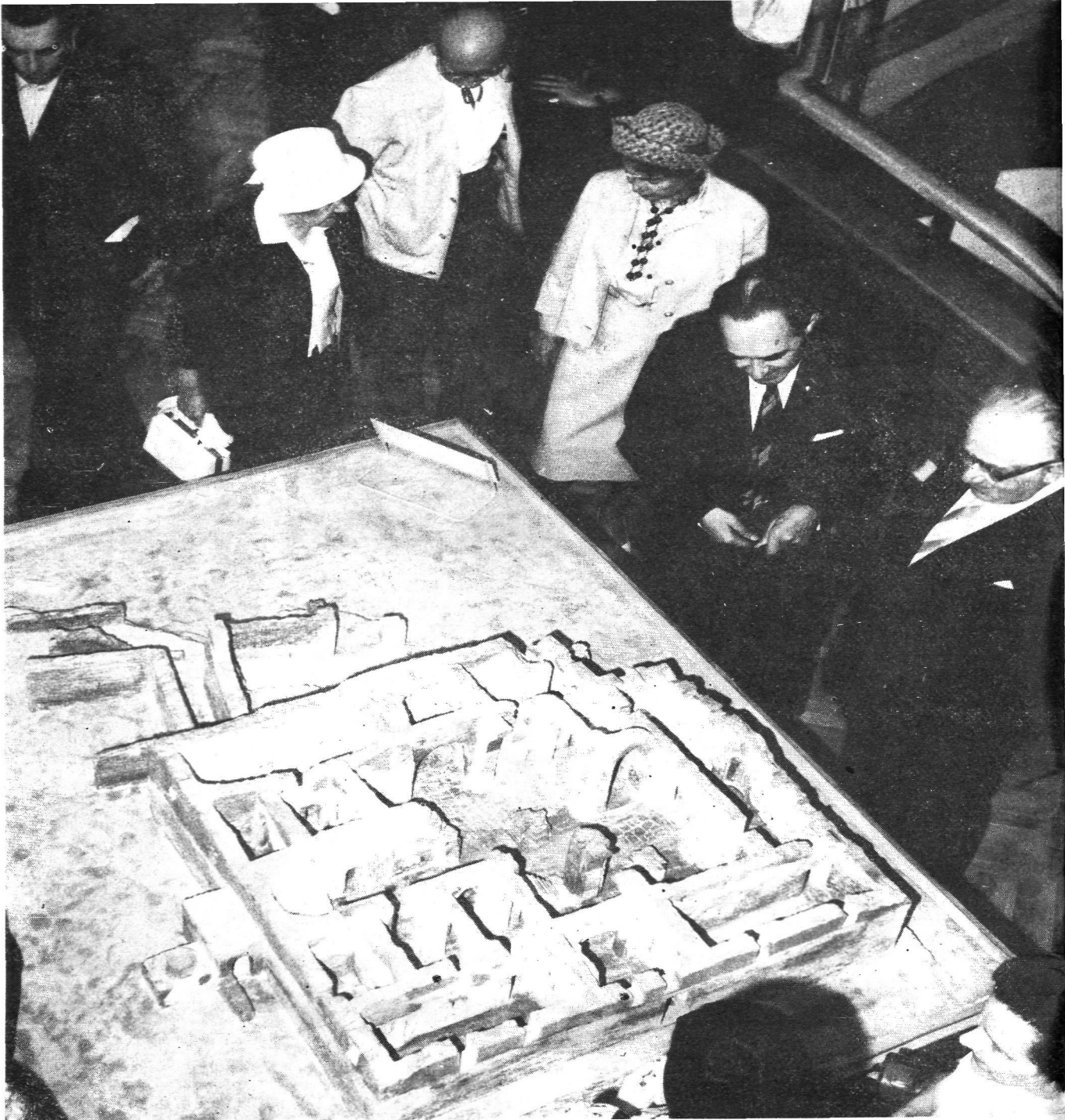
Czy rzeczywiście był to teren tak niezwykły dla archeologów, dla historyków, dla wszystkich interesujących się tajemnicami przeszłości?

Do VIII wieku Faras było stolicą Nubii, następnie — po połączeniu się trzech królestw: Nubii Północnej, Środkowej i Południowej — stolicą nowego państwa. Krótko jednak, bo już w pierwszych latach VIII stulecia król Merkurios przeniósł stolicę do Dongoli.

Polskie wykopaliska wy dobyły na światło dzienne przede wszystkim wielką katedrę wczesnochrześcijańską. Ściany pokryte były malowidłami wykonanymi w technice *fresco secco*. W ciągu kilku wieków istnienia bazyliki, czyli do wieku XIII, wewnątrz jej przemalowywano, pokrywając stare malowidła świeżymi tynkami. Na nich z kolei malowano następne. I stało się, że zdumieni archeolodzy polscy odkryli kilka warstw unikalnych fresków, co znakomicie pomogło w określaniu wieku poszczególnych kompozycji. Malowidła faraskie stanowią więc nie tylko dzieła sztuki o bezcennej wprost wartości, ale również niezmiernie ważne, jak dotąd, jedyne dokumenty historyczne, wzorce pomocne przy określaniu wieku innych malowideł ściennych pochodzących z terenu Nubii.

W myśl porozumienia z rządem sudańskim, po odpowiednim zabezpieczeniu i poddaniu zabiegom konserwatorskim, wszystkie eksponaty zostały podzielone między Muzeum Archeologiczne w Chartumie i Muzeum Narodowe w Warszawie. Polsce przypadło 69 niezwykle cennych fresków oraz wiele innych przedmiotów sztuki użytkowej z Faras. Będą one największą ozdobą nowej galerii Zbiorów Sztuki Starożytnej w Warszawie. Do najcenniejszych malowideł ściennych, znanych już dzisiaj i wysoko ocenianych w świecie należą m.in.: wizerunek św. Anny, portret biskupa Petrosa oraz portret biskupa Marianosa.

Freski eksponowane są niezwykle efektownie: ujęte w ciemne, drewniane ramy, umiejętnie oświetlone, przyciągają oko wyszukaną gamą pastelowych barw. Obok zabytki architektoniczne — granitowe kolumny, elementy dekoracyjne, kapitele, inskrypcje, a także ceramika, brązy oraz inne okazy sztuki materialnej.



▲
Makieta katedry w Faras wraz z kościołem z zaznaczonymi malowidłami ściennymi znajdującymi się teraz w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie

▶
Tak wyglądały prace wykopaliskowe w Faras prowadzone przez polską ekipę naukową

▼
Przewodniczący Rady Państwa profesor H. Jabłoński oprowadzany przez prof. Kazimierza Michałowskiego zwiedza ekspozycję fresków





▲ Słynny fresk z VIII w. przedstawiający św. Annę zwaną warszawską Moną Lisą



▶ Biskup Petros pod opieką św. Piotra — jeden z piękniejszych fresków wystawy



◀ Blok z piaskowca z fragmentami inskrypcji hieroglificznych

▶ Fresk przedstawiający biskupa Mariana pod opieką madonny z dzieciątkiem — powstał w 1005 r.



Foto:
WŁ. OCHNIO

Il faut voir la galerie „Faras”

AU MUSEE NATIONAL DE VARSOVIE a été inaugurée en juin dernier, une nouvelle galerie d'une importance particulière. Comme son nom l'indique, la Galerie Faras contient une partie des découvertes faites à Faras, dans le nord du Soudan. Les recherches menées entraînent dans le cadre de l'action entreprise par l'Unesco pour la sauvegarde des monuments de Nubie.

„La Semaine Polonaise” a déjà fait une relation des fouilles entreprises par l'équipe archéologique polonaise dirigée par le professeur Kazimierz Michatowski. Un hasard voulut que les Polonais tombassent sur une chapelle enfouie sous les sables et qui, une fois mise au jour, a révélé de magnifiques fresques. Le musée archéologique de Khartoum et le Musée National de Varsovie se sont partagés les trésors découverts. Du même coup, avec ses 69 pièces d'exposition, Varsovie est devenue un important centre mondial de l'art chrétien ancien, placé à mi-chemin entre Paris et Moscou. Paris est le centre scientifique de la culture byzantine et copte, Moscou possède les plus riches collections de cet art depuis le XIV^e siècle et maintenant la collection de Varsovie avec ses pièces d'exposition du VIII^e au XIII^e siècle compris forme un trait d'union.

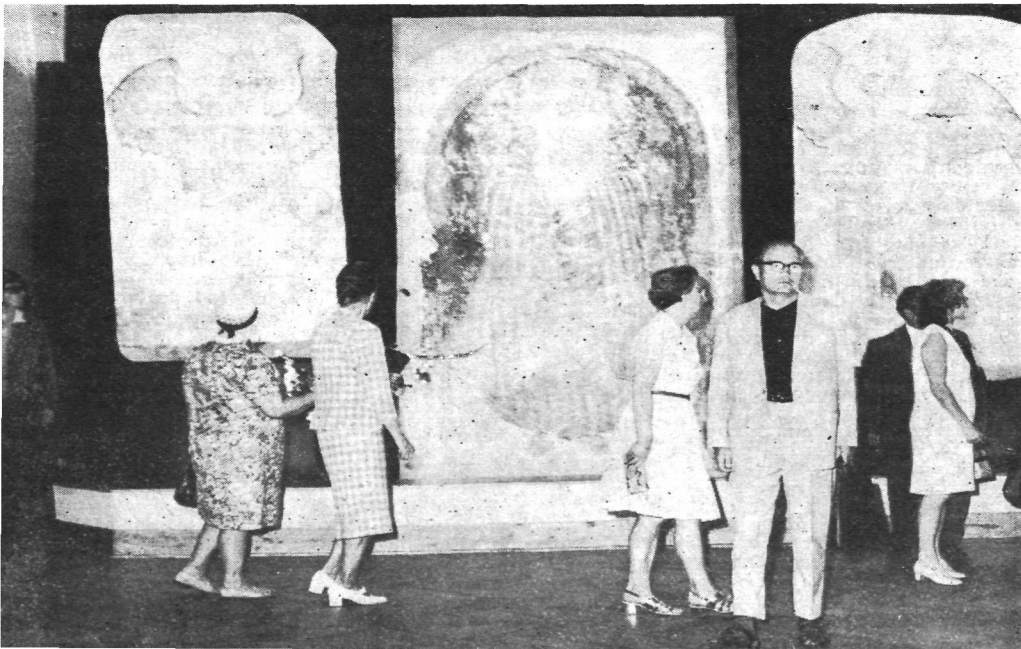
L'ouverture de la galerie Faras concorde avec le Symposium international de Nubiologie. Le premier symposium se tint à Essen il y a trois ans, depuis, il a été décidé que le siège de cette nouvelle science serait Varsovie et le professeur K. Michatowski fut nommé président du Comité d'Organisation de cette nouvelle discipline née de la jonction de l'égyptologie et de l'archéologie du Soudan.

Que peut-on admirer dans cette galerie qu'il faut absolument visiter lors d'un séjour à Varsovie? Outre les fresques, on y voit des inscriptions, des objets architectoniques dont deux colonnes de granit de la chapelle de Faras, des éléments décoratifs, des céramiques, bronzes, tissus etc... Donc, non seulement des objets d'art mais aussi des objets de la culture matérielle. Etant donné la valeur et la diversité des objets, l'exposition a un caractère monumental. L'aménagement des objets a été étudié avec le plus grand soin afin qu'ils soient montrés sous le meilleur jour possible. En une autre salle on peut voir le déroulement et les diverses étapes des fouilles entreprises par l'équipe archéologique polonaise.

Les archéologues travaillant en Nubie disent volontiers que les Polonais tirèrent le bon lot lors du choix du lieu des fouilles. Cet heureux hasard fut toutefois provoqué par le prof. Michatowski qui envoya auparavant tous ses collaborateurs dans les bibliothèques pour étudier une dernière fois les possibilités que pouvaient cacher les terrains, et chacun d'entre eux rédigea un rapport remis au professeur. C'est à la lumière des différents rapports que le professeur se décida pour Faras. Il ne savait ce qu'ils trouveraient mais il supposait que ce pouvait être là une clef pour de futures recherches. Et il en fut ainsi.

On pourrait encore raconter bien des anecdotes sur l'histoire de cette découverte. Mais avant il est préférable de s'attarder devant un portrait de Sainte Anne que l'on appelle déjà la Mona Lisa de Varsovie, le portrait de l'évêque Marianos, une tête d'ange aux yeux grands ouverts. Quand vous serez à Varsovie ne manquez pas la galerie Faras du Musée National.

Tryptyk przedstawia Archaniola Michała, Madonnę Eleusa i Archaniola Gabriela



1972-Międzynarodowy Rok Książki

CZYTELNICZY odpowiadają na ankietę

ZARÓWNO w Polsce, jak i we Francji utarł się zwyczaj, że miesiąc maj przebiega pod znakiem książki. W starym naszym kraju w dniu 3 maja rozpoczynają się corocznie sięgające do postępowych tradycji narodowych związanym z konstytucją trzeciomajową Dni Oświaty, Książki i Prasy, w drugiej połowie maja odbywają się w Warszawie Międzynarodowe Targi Książki. We Francji organizowane są od kilku lat w maju w miejscie Nogent-sur-Marne Krajowe Targi Książki Kieszonkowej. Maj 1972 r. przydał zapewne tym tradycyjnym imprezom splendoru, bowiem, jak już kilkakrotnie o tym informowaliśmy, obecny rok obchodzony jest na całym świecie z inicjatywy UNESCO jako Międzynarodowy Rok Książki.

Symbolem Międzynarodowego Roku Książki jest rysunek przedstawiający dwóch ludzi trzymających się za ręce i krocących po otwartych stronicach książki. Rysunek ten coraz częściej zaczyna się pojawiać w witrynach księgarskich. Na całym świecie przygotowuje się

także mnóstwo spotkań, wystaw, prelekcji, audycji radiowych i programów telewizyjnych poświęconych książce. We Francji, gdzie wszyscy nowożeńcy otrzymują w tym roku od ministra oświaty prezent w postaci kasetki zawierającej sześć książek, otwarta została w początku maja w paryskiej Bibliotece Narodowej wspaniała ekspozycja ilustrująca dzieje książki. Na ekspozycji tej obejrzyć można m. in. niektóre z najstarszych tekstów świata, książkę wydrukowaną w Korei na osiemdziesiąt lat przed narodzinami Gutenberga oraz najpiękniejszą na świecie kolekcję iluminowanych rękopisów i drogocennych opraw. Nadto przewędruje przez wszystkie francuskie departamenty 15 wystaw objazdowych poświęconych książce, poczta francuska wyda pamiątkowy znaczek, w szkołach odbędą się konkursy czytelnicze, w całej Francji rozlepione zostaną plakaty zachęcające do lektury książek itd.

„Tygodnik Polski”, który od samego początku swego istnienia zawsze nakłaniał rodaków żyjących we Fran-

cji i Belgii do obcowania z książką, rozpiął z okazji Międzynarodowego Roku Książki ankietę w sprawie czytelnictwa książek. Zwróciliśmy się do szeregu czytelników i sympatyków naszego pisma z takimi oto pytaniami:

1) Czym dla Pana jest książka i jaką odgrywa ona rolę w Pańskim życiu?

2) Czy czyta Pan książki, a jeśli tak, to jakie?

3) Czy gromadzi Pan książki? Czy ma Pan własną bibliotekę?

4) Jakie książki wywarły na Panu największe wrażenie?

5) Czy przed laty, kiedy aklimatyzował się Pan dopiero we Francji, książka polska podtrzymywała Pana na duchu?

6) Może często brak panu czasu na czytanie. Czy Pan nad tym ubolewa? Gdyby miał Pan więcej czasu, jakie książki zacząłby Pan czytać?

Poniżej drukujemy najciekawsze z nadesłanych do redakcji wypowiedzi.

szkowej i Prusa. Wciągającą jest także — moim zdaniem — akcja książek Gabrieli Zapolskiej, ciekawie pisze Iwaszkiewicz. Ciekawie, ale zawiłe. W ogóle nie zawsze pojmuje, o co właściwie chodzi pisarzom współczesnym.

Czy na emigracji książka polska podtrzymywała mnie na duchu? Wydaje mi się, że mnie przede wszystkim podtrzymywało na duchu wpojone mi przez rodziców i dziadków przywiązanie do polskości — ciągnie dalej prezes Towarzystwa Pomocy Oświatowej z Troyes. — Książka polska dostarczała mi godziwej rozrywki i walnie pomogła mi w pracy kulturalno-oświatowej. Zawsze czytałem i dziś czytam też, choć mam już przeszło 70 lat. Ubolewam, że mało czytają moi współrodacy. Nieraz odnoszę wrażenie, że my, Polacy (mam rzecz jasna na myśli moje pokolenie), jesteśmy mało czytani. Miałem okazję stwierdzić, że Francuzi, Niemcy i Szwajcarzy czytają więcej niż my. Czym się to tłumaczy? Otóż według mnie tłumaczy się to tym, że większość emigrantów nie miała możliwości kształcić się w szkole. Ja w ciągu całego swojego życia starałem się wszczepiać ludziom miłość do polskiego słowa drukowanego. Na zebraniach i na próbach naszego amatorskiego zespołu teatralnego ustawicznie powtarzałem: Czytajcie polskie książki i pisma!”



„Książka stanowi mój codzienny pokarm”

A oto, co oświadczył nam przez telefon inny wybitny działacz emigracyjny — generalny sekretarz Związku Polskich Bractw Kurkowych we Francji, **p. Witold NOWAK** z Billy-Montigny (Pas-de-Calais):

— Podobnie jak chleb, książka stanowi mój codzienny pokarm. Nie mogę żyć bez chleba, i nie potrafię także obejść się bez tej wspaniałej strawy duchowej, jaką jest książka. Życie bez książki jest moim zdaniem marnym, bezwartościowym bytowaniem. Wieczorem kładę się do łóżka z książką i czytam nieraz do białego świtu. W latach dziecięcych czytałem po całych nocach o świeczce. Najbardziej interesują mnie prace historyczne traktujące o dziejach Polski oraz o plemionach słowiańskich, które przed wiekami zamieszkiwały dorzecza Odry i Łaby. Jestem także wielbicielem kilku klasyków polskich, mianowicie Mickiewicza, Krasińskiego, Sienkiewicza, Kraszewskiego, Orzeszkowej, Prusa i Reymonta. Cenię również wysoko pisarstwo Marii Rodziewiczówny, a jeśli idzie o pisarzy współczesnych, to gustuję głównie w powieściach Gustawa Morcinka. Książki gromadzę od najmłodszych lat. Gdy przed czterdziestoma dwoma laty opuszczałem Polskę, zabrałem ze sobą nie tylko garść ziemi ojczystej, ale także i pełną walizkę książek. Stary nasz kraj odwiedziłem już trzykrotnie. Niektórzy ludzie wracają z wakacji spędzonych w Polsce objuczeni kryształami. Ja za każdym razem przywożę do kraju do Billy-Montigny dwie walizki książek. Obecnie moja biblioteka składa się z 955 (wczoraj długo nie mogłem zasnąć i przeliczyłem je) tomów. Nadto posiadam mnóstwo roczników pism polonijnych, sporo map i mam także całe sterty wycinków z prasy polskiej i francuskiej. Zamiłowanie do książki wynosiłem z domu rodzinnego. Ojciec mój posiadał bogaty księgozbiór. Książce polskiej zawdzięczam bardzo dużo. Mimo iż od wielu lat już jestem obywatelem francuskim i gorąco kocham Francję, dzięki książce polskiej cała moja jaźń nadal przepojona jest polskością. Pragnę jeszcze dodać, że książki pożyczam i w dalszym ciągu chętnie pożyczam okolicznym rodakom i staram się rozszerzać krąg miłośników historii i kultury polskiej w swoim regionie.



„Książka to dobry przyjaciel”

Tak pisze czytelnik z podparyskiej miejscowości Athis-Mons, **p. Stanisław HAŁYS**. „Książka to dla mnie dobry przyjaciel, od którego można się do-

Amator prac popularnonaukowych

„Książka — pisze **p. Stanisław CZARKA** z Waziers (Nord) — jest dla mnie czymś na kształt obrazu, sceny, ekranu, po którym presuwają się myśli i dzieje, a także czymś na kształt lupy i teleskopu — lupy i teleskopu, które umożliwiają mi oglądanie skomplikowanego świata ludzkich spraw. Czytam książki bez przerwy, dbam o to, aby nie strawić całego wolnego czasu na lekturze gazet, słuchaniu radia i oglądaniu telewizji. Czasu nigdy nie mam za dużo, ale szat nad tym stanem rzeczy nie rozdzieram, bo to przecież na nic się nie zda. Trzeba skrzętnie dobierać takie książki, które mogą rozszerzyć nasz widnokrąg umysłowy i nasze zainteresowania. Jeśli idzie o mnie, ulubionymi moimi lekturami są prace popularnonaukowe oraz literatura pamiętnikarska odnosząca się do ostatniej wojny i obrazująca dawne ruchy społeczne. Gromadzę tylko encyklopedie i książki popularnonaukowe. Do wszelkich romansów czuję wstręt. Największe wrażenie wywarła na mnie relacja pewnego węgierskiego lekarza o Oświęcimiu. Na trop interesujących książek naprowadza mnie często radio lub telewizja, bowiem ilekroć jakaś informacja wzbudza moją szczególną ciekawość, tylekroć staram się posiadać książkę mogącą tę moją ciekawość zaspokoić”.



„Książka polska walnie pomogła mi w pracy oświatowej”

„Czytam książki od najwcześniejszych lat — odpisał nam ze swej strony zasłużony działacz społeczny z Troyes (Aube) **p. Mieczysław PROCH**. — Czytaniem pogłębiałem swoją znajomość świata, ludzi i historii. W dzieciństwie i młodości czytałem książki pisarzy niemieckich, gdyż (pochodzę z Wielkopolski, a więc regionu, gdzie w latach 1906—1914 narzucono dzieciom polskim niemiecką) wymagano tego ode mnie w szkole. Ale w domu rodzicielskim czytałem książki polskie — naprzód Sienkiewicza, a następnie Kraszewskiego, pisarza, który w owych czasach, kiedy języka polskiego używać można było tylko w domu, oddał wielu ludziom niepospolite usługi, a to dlatego, że powieści tego autora łączą w sposób doskonały dwie zalety: są one wszystkim przystępne i są pisane czystą, wolną od obcych naleciałości polszczyzną. Mam w domu swój własny księgozbiorek. Składa się on z przeszło dwustu tomów. Są to dzieła najpoczytniejszych pisarzy polskich, które sam nabyłem w Polsce bądź też otrzymałem w prezencie od zamieszkałych w kraju krewnych i znajomych. Jaka książka wywarła na mnie największe wrażenie? Na dobrą sprawę każda z książek, jakie do tej pory przeczytałem, była dla mnie pożytecznym, porywającym przeżyciem. Do głębi przeczytałem utwory Kraszewskiego, Sienkiewicza, Orze-

wiedzieć niejednej ciekawej rzeczy i niejednego nauczyć — tłumaczy. — W towarzystwie tego przyjaciela można mile i nie narażając się na wydatki przepędzić czas wolny. Przyjaciel ten może nas przyprawić o śmiech i o łzy, możemy za jego sprawą przeżyć wzniosłe chwile i możemy się nieraz też nadenerwować. Ja czytanie książek przestałem uważać za luksus czy stratę czasu właśnie na emigracji. Właśnie tutaj książka stała się dla mnie artykułem pierwszej potrzeby, czymś tak nieodzownym jak jedzenie i spanie, a to dlatego, że po ciężkiej pracy niosła mi odprężenie, a nieraz w biedzie podtrzymywała na duchu. Czytałem zarówno książki polskie, jak i francuskie, ale oczywiście woleę polskie, bo lepiej je rozumiem. Wolę także czytać dzieła klasyków niż utwory pisarzy współczesnych. W domu mam sporo różnych książek, ale nie mam miejsca na bibliotekę. Przeczytane książki wynoszę na strych. Mam nadzieję, że kiedy moje wnuki podrosną i zaczną czytać, zaglądną od czasu do czasu na strych i będą lubiły się grzebać w dziadkowych książkach. Trudno mi powiedzieć, która książka wywarła na mnie największe wrażenie, gdyż dla mnie każdorazowa lektura jest wielką, oszałamiającą przygodą. Ostatnio przeczytałem trzy książki: dwie polskie — pracę pt. „Partyzantka w lasach Janowskich” i powieść pt. „Łuny w Bieszczadach” — i jedną francuską pt. „Czerwona orkiestra”. Każda z tych książek porwała mnie.

„Przed laty, kiedy przywędrowałem do Francji, książka polska stała się dla mnie czymś nieporównanie ważniejszym od tego, czym była dla mnie w Kraju, a to dlatego, że zagubiony byłem w obcym żywiole i tylko z nią jedną, tylko z książką polską znajdowałem wspólny język — dodaje p. Hałys. W chwilach wolnych od pracy pozwalała mi zapomnieć o tym, że jestem biednym emigrantem na dorobku. Z początku tutaj we Francji też było trudno o tę polską książkę, ale jednak nie tak trudno jak na naszej małopolskiej wsi, gdzie nie tylko książka, ale nawet gazeta była dla chłopca luksusem. Miałem na emigracji takie okresy, w czasie których nie czytałem, choć miałem nieprzeczytane książki w domu. Wtedy z zazdrością myślałem o tych, którzy zawsze mają czas i czytają. Obecnie jestem na emeryturze i nadrabiam niedostatki tych lat, w trakcie których na czytanie książek nie było czasu. Często mam ochotę kupić jakąś interesującą książkę, ale na żadną nie mogę się zdecydować. My, starzy emigranci, jesteśmy w kłopotliwej sytuacji. Dzieła dawnych pisarzy już przeczytaliśmy, a nowych autorów nie znamy. Często wydaje mi się, że współczesne książki są takie same jak nowomodne piosenki i nowomodna muzyka, której ja stary nie rozumiem. Proponuję, aby „Tygodnik Polski” wprowadził nową rubrykę, aby chociaż raz na miesiąc informował czytelników, jakie książki warto przeczytać.”

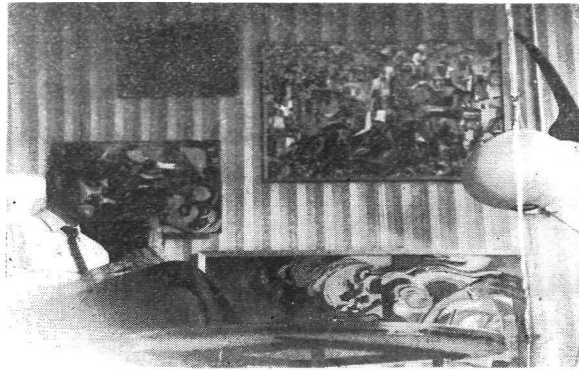
„Bez książki
czułbym się
na świecie
jak w domu bez okien”



Inny uzdolniony samorodny artysta z departamentu Nord, znany naszym czytelnikom p. Antoni KOCIK z Roubaix pisze w swojej wypowiedzi:

„Książka była i jest dla mnie po dzień dzisiejszy nauczycielem, źródłem, z którego zawsze czerpałem ogólną wiedzę. Dzięki książkom poczyniłem znaczne postępy w pracy artystycznej. Bez książki nigdy bym nie doszedł do tych rezultatów, jakie do tej pory zdołałem osiągnąć. Książka wykształca wyobraźnię i odrywa naszą myśl od powszedności życia. Gdyby nie książki, panowałyby we mnie ciemność. Bez książki czułbym się na świecie jak w domu bez okien. Czytam książki prawie codziennie. Obecnie głównie z dziełami poświęconymi malarstwu, takimi jak np. fundamentalna praca znakomitego francuskiego historyka sztuki René Huyghe zatytułowana „Dialogue avec le visible” (po polsku: „Dialog ze światem widzialnym”) i ze studiami o polskiej sztuce ludowej. Lubię także zaglądać do biografii wielkich artystów, m. in. do życiorysu Stanisława Wyspiańskiego. Mam własną biblioteczkę: składa się ona głównie z książek o malarstwie. Pierwszą przeczytaną przeze mnie książką polską była „Historia Polski” Baczewskiego (zmarły w 1958 r. Jan Baczewski był wybitnym działaczem polonijnym w Niemczech; przyczynił się do powstania na terenie Niemiec szkolnictwa polskiego — przyp. red.). Było to już dawno temu. Byłem wtedy małym chłopcem i mieszkalem z rodzicami w Niemczech. Wyczytałem z tej książki dużo ciekawych rzeczy o Polsce. Język ojczysty jako tako znałem, gdyż w domu ojciec uczył nas czytać i pisać po polsku. Poprawnie pisać po polsku nauczyłem się jednak dopiero po przyjeździe do Francji dzięki książkom, jakie przysłał mi mieszkający w Polsce brat. Znajomość języka francuskiego także zresztą zawdzięczam książkom. Obecnie jestem na emeryturze i nie brak mi czasu na czytanie, ale czytam tylko wieczorem, a w ciągu dnia param się swoim hobby, tzn. malarstwem. Gdybym nie malował, czytałbym relacje podróżników, którzy dotarli do mało znanych zakątków kuli ziemskiej oraz książki traktujące o kosmosie i astronomii.”

Miłośnik Mickiewicza i Sienkiewicza



Z braku czasu lakonicznie odpowiedział na ankietę utalentowany samorodny malarz z Ostricourt (Nord) p. Józef GOLUCH, którego sylwetkę skreśliliśmy w „Tygodniku” w grudniu ubiegłego roku.

„Pasjonują mnie dzieła poetyckie oraz książki o tematyce religijnej — czytamy w jego liście. — Najsilniej oddziały na mnie utwory Mickiewicza i Sienkiewicza. Lektura tych utworów sprawiła, że wydoskonaliłem się w polszczyźnie i że wzbogaciła się moja wiedza o życiu duchowym człowieka. Gdybym dysponował większą ilością wolnego czasu, starałbym się poznać gruntownie właśnie dzieła tych dwóch pisarzy.”

„Każda dobra książka jest u mnie dobrze widziana”

„Dla mnie książka jest tym, co dostarcza mi potrzeby dla życia umysłowego — powiada zamieszkały w położonej nieopodal Arras miejscowości Souchez p. Stanisław KAPSKI. — Czytam zarówno literaturę powieściową, jak i dzieła historyczne i naukowe. Własnej biblioteki nie posiadam, bowiem przeczytane książki rozdaję dzieciom, ale mam zawsze kilka książek na podorędziu. Spośród wszystkich książek, jakie do tej pory przeczytałem, najpotężniej wraziła mi się w pamięć „Trylogia” Sienkiewicza. Od czasu, kiedy przyjechałem do Francji, nigdy nie rozstawałem się z polską książką. Książka polska działała na mnie — na mnie i na wielu innych emigrantów — ożywczo, krzepiąco. Inna sprawa: w ankiecie redakcja pisze: „Może często brak Panu czasu na czytanie. Czy Pan nad tym ubolewa?” Ja uważam, że jeżeli się chce, to zawsze się czas znajdzie. Natomiast ubolewam, że tak dużo czasu zabierają nam radio i telewizja. No ale trzeba przeciwieć iść z duchem czasu, z postępem, prawda? Jakie czytałbym książki, gdybym miał więcej czasu? Każda dobra książka jest u mnie dobrze widziana.”



„Dla mnie
zawsze jest
Rok
Książki”

Piękny, pełen uniesienia tekst nadesłał nam żyjący entuzjastycznym kultem książki p. Ignacy FLACZYŃSKI z Houdain (Pas-de-Calais). Przeczytajmy uważnie ten istny poemat o miłości polskiego słowa drukowanego.

„Nie jestem wielbicielem jednej książki ani jednego tylko autora — pisze p. Flaczyński. — Życie jest krótkie, zatem trzeba się starać wszystkiego zakosztować. Na mnie każda książka, z którą stykam się po raz pierwszy, działa odurzająco. Ale odurzająco potrafią działać na mnie także i książki, które już czytałem. Bywa, że kilkakrotnie czytam tę samą książkę. Tak się rzecz miała np. z „Alchemią słowa” Parandowskiego i z „Ondraszkiem” Gustawa Morcinka. Żadna z polskich książek, które do tej pory przeczytałem, nigdy mnie nie znudziła. Dla mnie język polski jest czymś więcej niż językiem. Kiedy czasem mówię do kogoś, że język ten jest samą poezją, rozmówca mój

zazwyczaj kwituje to moje porównanie uśmiechem. A przecież język polski jest jeszcze czymś więcej niż samą poezją. To jest muzyka — muzyka cudowniejsza od prawdziwych symfoni, koncertów, sonat i kwartetów. Mnie czar jego melodii urzeka nawet podczas czytania drobnych ogłoszeń.

Książka polska towarzyszy mi od ponad dwudziestu pięciu lat. Czymże byłoby bez niej moje życie psychiczne?! Stanowi ona więź, która łączy mnie z Polską. Nie, nie więź. Niezręcznie to sformułowałem. Dzięki polskiej książce na półkach mojej biblioteki gości sama Polska, sama Polska leży w każdej chwili w zasięgu mojej wyobraźni i mojego umysłu. Słucham polskiego radia. Mam w domu polskie płyty z muzyką, piosenkami i wierszami. Słuchanie polskich audycji radiowych i polskich nagrań sprawia mi wielką przyjemność. Ale przyjemność, jaką sprawia mi słuchanie tych rzeczy w żadnym razie nie może wejść w paragon z przyjemnością, jaką znajduję w towarzystwie polskiej książki. Może dlatego, że ja każdą polską książkę czytam tak, jak w słynnej noweli Sienkiewicza latarnik Skawiński czyta „Pana Tadeusza”, tzn. z taką żarliwością, jakby nic nie istniało na świecie, tylko ja i utwór, z którym obcuje.

Obecnie mamy Rok Książki. Dla mnie zawsze jest Rok Książki. Każdy dzień jest Dniem Książki, każda chwila Chwilą Książki. Nigdy nie przestaję podróżować po swojej bibliotece. Wszystką swoją wiedzę o Polsce zawdzięczam książkom. Książkom, a także i czasopiśmom i gazetom, które zresztą też są książkami. Przecież „Tygodnik” na przykład to jest coś na kształt ogromnej księgi wydawanej w zeszytach. Ktokolwiek czyta „Tygodnik” od początku jego istnienia i przechowuje wszystkie jego numery, ma w domu zasobną bibliotekę. Ponieważ wspominałem o „Tygodniku”, pozwól sobie przy okazji zauważyć, że pismo nasze powinno — moim zdaniem — robić jeszcze intensywniejszą reklamę książce polskiej.

W tej chwili czytam właściwie niewiele. Za to robię wiele, aby inni czytali. Trzeba to robić. Wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Zawsze będzie w tej dziedzinie wiele do zrobienia. Zbliża się oto Rok Kopernikowski. Musimy dzieciom, młodzieży, dorosłym — wszystkim musimy starać się przybliżyć dzieło tego genialnego uczonego. Tymczasem nie mamy żadnych książek o Koperniku. Musimy się o takie książki wystarać i musimy nakłonić ludzi do czytania tych książek. Przyjaciele książki zawsze mają pełne ręce roboty.”



„Czytać
to poznawać
świat”

Interesujący list nadesłał również młody czytelnik z Evreux (Eure), p. Stanisław MACIAK. Oto fragmenty jego wypowiedzi:

„Książka jest dla mnie wielkim przyjacielem i odgrywa bardzo pożyteczną rolę w moim życiu. Czytałem to poznawać świat. Aktualnie czytam bardzo mało, ponieważ na zakup książki nie mogę sobie pozwolić, ale kiedy byłem w Polsce, czytałem dość dużo. Sporo książek poznałem na ławie szkolnej (mam niepełne średnie wykształcenie), bowiem w szkole do lektur obowiązkowych zaliczali się nie tylko dzieła wybitnych prozaików i poetów polskich, ale także i utwory najznakomitszych pisarzy obcych m. in. angielskich, niemieckich i włoskich. Przeczytałem wtedy m. in. „Boską komedię” Dantego oraz powieści Wiktora Hugo. Obecnie czytam głównie dzienniki i Wasz „Tygodnik”.

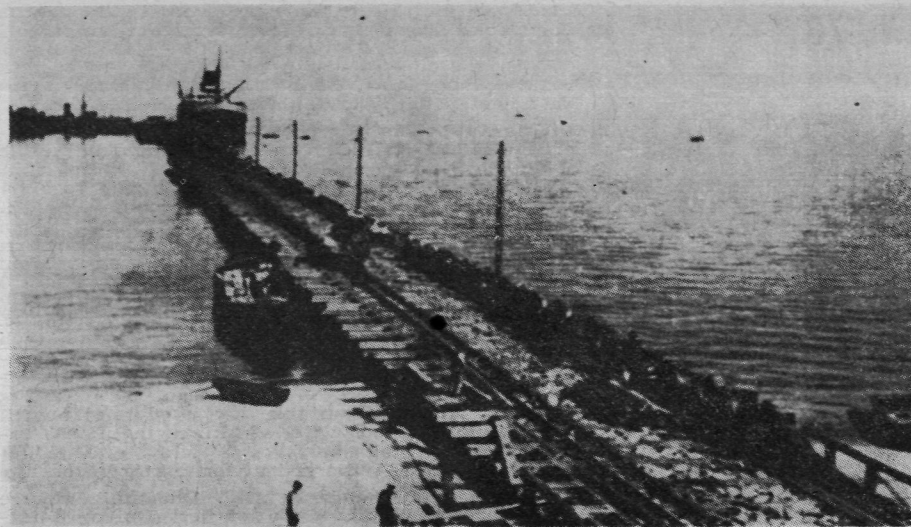
Ostatnio przeczytałem jednak kilka książek: „Rzeczywistość” Putramenta, „Spizową Bramę” Tadeusza Brezy, „Dzieje grzechu” Żeromskiego i parę innych utworów polskich pisarzy m. in. „Dzieła wybrane” Marii Dąbrowskiej. Nie jest to dużo, chciałbym móc czytać więcej, zwłaszcza pisarzy współczesnych, gdyż niewiele o nich wiem.

Książek nie gromadzę, bo ich nie kupuję, a jeśli czasem kupię jakąś książkę, to po przeczytaniu daruję ją znajomym. Największe wrażenie wywarły na mnie utwory Mickiewicza, Słowackiego i niektórych angielskich i niemieckich poetów doby romantycznej.

Myślę, że co popularniejsze i ważniejsze książki współczesne powinny być omawiane i streszczane na łamach gazet, ponieważ w dzisiejszej literaturze mało kto jest zorientowany. Może mógłby trochę więcej pisać o książkach również i „Tygodnik”.

☆

Mamy nadzieję, że nasza anketa zainteresuje czytelników i że na zawarte w niej pytania odpowiedzą teraz inni miłośnicy książki z Francji i Belgii. Osoby pragnące wziąć udział w naszej ankiecie uprzejmie prosimy o łaskawe dołączenie do listu swojej fotografii i o dopisanie na kopercie „Ankieta na temat książki”.



13 sierpnia 1923 był wielkim, historycznym dniem gdyńskiego portu. Do prowizorycznej przystani budowanego w Gdyni portu przybił pierwszy pełnomorski statek o nośności 6 tys. DWT „Kentucky” pływający pod flagą francuską

G D Y N I A

duma trzech pokoleń

**50 lat temu
23 września
1922 roku
Sejm RP
uchwalił
budowę portu
polskiego
w Gdyni**

TRAKTAT Wersalski wprawdzie uznał zasadę tzw. „swobodnego dostępu do morza” dla Polski, ale w takiej formie, że ujście Wisły zatkał niemieckim czopem. Wprawdzie Gdańsk historycznie należący do Polski, pomyślany był jako „wolne miasto”, w którym Polska miała szczególne prawa i obejmowała je swoim obszarem celnym, a państwo polskie pełniło nad nim funkcję „quasi-suwerena”, ale praktyka musiała wyglądać inaczej.

Nacjonaliści w Gdańsku

Burżuazja gdańska myślała, czuła i działała po niemiecku — to był konkretny fakt. Prusacy przez półtora wieku swego tu panowania swoją polityką to uzyskali. Kupcy, bankierzy, armatorzy, przemysłowcy — ciążyli politycznie do Niemiec, choć pęd ten nie był uzasadniony żadnym interesem ekonomicznym. Wprost przeciwnie. Koniunktura rozwojowa, zarówno ta, która da się wymierzyć w cyfrach obrotów towarów i pieniędzy, jak i ta, którą można było w ogólnych zarysach przewidzieć po 1919 r. — powinna powiązać Gdańsk mocno z Polską.

Oto kilka ciekawych faktów: w pierwszym dziesięcioleciu, mimo istnienia już w 1929 roku Gdyni, przeładunki w Gdańsku wzrosły z 2,1 mln ton w 1913 r. do 8,6 mln ton w 1929 r. Ciekawe to cyfry, bo w tym samym okresie Brema, Lubeka,

Szczecin, Królewiec zanotowały spadek przeładunków od 11 do 25%, a tylko Hamburg wykazał wzrost obrotów towarowych o 4%. Wzrost przeładunków w Gdańsku wyniósł 308%! Zresztą także inne symptomy powodzenia gospodarczego Gdańska wskutek swej sytuacji wskazywałyby na wspomnianą tezę: w ciągu lat 1925—1929 wkłady obywateli Gdańska wzrosły z 14,7 mln guldenów do 48,0 mln (w kasach oszczędnościowych), a w Komunalnej Kasie Oszczędności Gdańska z 6 mln do 34,3 mln guldenów. Gdańsk zyskał dopływ ładunków towarowych, które dawniej nie kierowały się do tego portu. Zaczął korzystać z przeładunków w jego porcie.

Nacjonalizm często oślepia i pozbawia jasności widzenia. Tak też było z burżuazją „wolnego miasta”, która koniunktury rozwijającej się przed nią ani nie pojęła, ani zrozumieć nie pragnęła. W okresach, gdy do władzy dochodziły ugrupowania lewicowo-centrowe, konflikty z Polską ustawały, ale przeważnie rządziła w Gdańsku prawica. Nie dopuszczała więc do zatrudnienia obywateli polskich w „wolnym mieście”, nie zezwalała na stały pobyt i zamieszkanie; utrudniała lub uniemożliwiała zakup nieruchomości, zakładanie polskich przedsiębiorstw i spółek. Równocześnie zaś występowała z tezą, że Polska Traktatem Wersalskim zobowiązana została do korzystania wyłącznie z portu w Gdańsku. Budowa portu w Gdyni była więc według memoriału senatu Gdańska do Ligi Narodów (1930 r.) naruszeniem norm prawa międzynarodowego (!) Nie trzeba było zresztą przejawiać nadzwyczajnych talentów jasnowidzenia, by wydedukować taką postawę niemieckiej burżuazji w Gdańsku — już na początku lat dwudziestych.

Dostęp... do wydm i sztormów

W 1919 r. otrzymała Polska 147 km dostępu do Bałtyku, licząc podwójnie linię brzegową półwyspu Hel, a na tych 147 kilometrach trzy porcki rybackie — Puck, Jastarnię i Hel. Do Pucka, który najbardziej przypominał port, mogły wpływać tylko bardzo płytko zanurzające się jednostki. Polska posiadała morze, które pięknym gestem — rzucając w jego fale pierścien ofiarowany w tym celu przez miejscowych Kaszubów — zaślubił gen. Józef Haller. Ułani przekłusowali potem przybrzeżną pływającą, rozpryskując końskimi kopytami fale Bałtyku. Mój ty Boże, bardziej to było poezją, niż czymś przypominającym realną zmianę w losach państwa.

Mieli więc Polacy wichry, sztormy, piękne widoki, malownicze wydm, wyprawy urlopowe i wdychanie jodu, ale co do istoty gospodarczej Traktat Wersalski sobie z Polski zadzwiał. Beneficjentami wytworzonej sytuacji mieli być ci powariowani nacjonalisti niemieccy, wrogowie Polski — kupcy gdańscy, armatorzy, właściciele stoczni, przemysłu okrętowego, urzędów przeładunkowych. Polacy zaś mieli wyprodukować ładunki, przywieźć je do Gdańska; kupcy z Gdańska, według własnych wyobrażeń, mieli prowadzić import towarów zagranicznych na potrzeby rynku polskiego. Pięknie to było pomyślane! Zyski miały płynąć do kasy „Bank der Freie Stadt Danzig”, do filii gdańskiej „Deutsche Bank” a podatki od zysków do senatu „wolnego miasta”. Skarb polski miał pozostać suchy. Ubogi Kraj

miał sobie pruć żyły, marnować z trudem zaoszczędzone fundusze, tak potrzebne na inwestycje we własną gospodarkę narodową.

W gruncie rzeczy gdański czop był również tak pomyślany, by w odpowiedniej chwili zatkać polską gospodarkę, gdyby była zbyt dynamiczna. Nie był to oczywiście jedyny czop i jedyna przeszkoda, ale — podkreślmy — przeszkoda dość znaczna. Wystarczy sobie wyobrazić, że „wolne miasto” mogło pewnego dnia, który byłby politycznie odpowiedni dla szerokiej, niemieckiej akcji, wstrzymać zarówno dopływ zagranicznych jak odpływ polskich towarów. Nie trzeba wcale bogatej wyobraźni, by sobie uświadomić, ile mogła Polskę kosztować taka godzina gdańskiej obstrukcji, gdyby nie było innych możliwości. Przecież jeszcze w 1931 r. musiały wpłynąć dla zabezpieczenia polskich interesów kontrtorpedowce z biało-czerwoną flagą grożące otworzeniem ognia. W 1932 r. zdecydowano się na wysadzenie desantu kompanii polskich strzelców morskich, a była to jedyna droga, by wymusić cofnięcie bezprawnej decyzji senatu gdańskiego. Prawem kaduka podporządkował on sobie policję portową, podległą dotąd zarządowi portu, a więc władzom związanym z Polską.

Rząd polski zdał sobie sprawę z takiej perspektywy stosunków z Gdańskiem wcześniej i dlatego już w 1920 r. rozpoczęto budowę prowizorycznej przystani w Gdyni, wówczas małej wsi kaszubskiej. Stało się to zanim 23 września 1922 roku sejm uchwalił złożoną z pięciu artykułów ustawę o budowie portu. Była to wola otworzenia Polsce nieskrępowanej, morskiej bramy na świat.

Nie zawsze i nie wszystkich polityków lat międzywojennych oceniamy wysoko, ale ta uchwała sejmu była tamtego pokolenia wielkim osiągnięciem — i śmiałą decyzją.

Poparcie Polaków

Polska musiała zbudować port sama. Nie było zaś w Kraju ani takich kapitalistów, ani prywatnych kapitałów, które można byłoby zaangażować w Gdyni. Kapitały zresztą wówczas akurat uciekały od dewaluującej się marki polskiej; szukały przetrwania w towarach, obcych walutach lub w złocie. Wielka inwestycja musiała się oprzeć o budżet państwa. Dodajmy — Kraj był wyczerpany przejściem przez 2/3 jego obszaru co najmniej raz, a nierzadko kilka razy — walczących frontów:

Rosji, Niemiec, Austrii, a później wypompowany finansowo nie-szczęsną wojną 1920 r. Trzeba sobie ten zespół faktów uświadomić, by zrozumieć, że ustawa o budowie Gdyni miała odważny charakter. Jej pierwszy artykuł brzmiał:

„Upoważnia się rząd do poczynienia niezbędnych zarządzeń celem budowy portu morskiego przy Gdyni na Pomorzu jako portu użyteczności publicznej”.

Ster budowy portu w Gdyni wzięli na swe barki nie romantycy lub awanturnicy, a bardzo trzeźwi realisci. Zmobilizowano doświadczonych polskich fachowców, dawniej w służbie cara lub kajzera, przyciągnięto zagraniczne firmy, stworzono międzynarodowe konsorcjum m. in. ze znacznym udziałem kapitału francuskiego. Przede wszystkim zaś uzyskano dla budowy Gdyni rzeczywiste poparcie narodu. Mimo ogromnych kwot, które inwestycja pochłaniała, całe społeczeństwo popierało ten wysiłek. Rozumiano, że dostęp do morza to nie dostęp do wydm, plaż i wylegiwanie się pod krzywymi od sztormów sosenkami, a wywóz i przywóz towarów, i włączenie Polski w nurt światowej gospodarki.

Budowniczy: inż. T. Wenda

Człowiek, który wybrał małą wieś o kilkudziesięciu chatach rybaków i torfiastą dolinę rzeki Chylonki jako miejsce przyszłego portu — był niezmiernie energicznym człowiekiem, choć skromnym. Gdy w 1934 r. odbywała się z wielką pompą uroczystość otwarcia Dworca Morskiego w Gdyni, organizatorzy zapomnieli zaprosić 71-letniego inż. Tadeusza Apolinarego Wendę, który nie tylko ten gmach, ale cały port projektował i kierował budową. W Gdyni jest mała uliczka nosząca jego nazwisko. Z okazji półwiecza Gdyni w prasie krajowej często pojawia się nazwisko Polaka, który dobrze zasłużył się Krajowi.

Pierwsze swe roboty portowe w życiu inżynier Wenda podjął w 1900 r. w Rydze. Miał wówczas 37 lat. Później pracował w portach Windawa i Tallin. Zdobywał tam doświadczenia, które wykorzystał z takim talentem — pasją, cierpliwością i konsekwencją w Gdyni. Danym mu było, co nie tak często się zdarza inżynierom, budować port w miejscu przez siebie wybranym. Proponowano na początku przekopanie półwyspu Hel albo urządzenie portu na jeziorze Zarnowieckim. Inż. T. Wenda obstawał przy swoim wyborze. Może widział gdzieś w dalekiej perspektywie połączenie portu w Gdańsku z Gdynią i to, że kiedyś powstanie z dodatkiem Sopotu — „Trójmiasto”? Inż. T. Wenda dożył tej chwili; umarł w 1948 r. w Komorowie pod Warszawą.

Gdy rozpoczął pracę w Gdyni, miał już prawie sześćdziesiąt lat, a więc był w wieku ludzi wybierających się na emeryturę. Podziwiać należy jego elastyczność, gdy potrafił przystosować się do zmieniających wariantów gdyńskiej koniunktury. Różnie to bowiem bywało. Czasem strumień rządowych kredytów płynął szybciej — czasem wstrzymywał się. Każda potyczka sejmowa czy na radzie ministrów o finansowanie wielkiej inwestycji — przynosiła zmianę w planach budowy portu. To, że mimo różnych fluktuacji stał się on nie zlepkiem, lecz konsekwentną nowoczesną budową, najnowocześniejszą na Bałtyku — dowodzi jego talentów, i tego, że zasługuje na miano „najlepszego budowniczego polskiego” międzywojennego dwudziestolecia 1919—1939. Na emeryturę poszedł w 1937 r. mając 74 lata! Port był zbudowany, a Gdynia przekroczyła 100 000 mieszkańców.

Minister z wyobraźnią

Drugą postacią, która zaważyła na losach Gdyni, to dla paradoksu — chemik inż. Eugeniusz

Kwiatkowski. Kiedyś pracował razem z prof. Ignacym Mościckim i zyskał sobie dobrą opinię. Po przewrocie majowym w 1926 r. Ignacy Mościcki z desygnacji marszałka Józefa Piłsudskiego został Prezydentem RP. Mościcki powołał do formowanego właśnie rządu inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego. Prawdziwym zaskoczeniem dla sfer legionowo-sanacyjnych było mianowanie nieznanego szerzej inż. Kwiatkowskiego — na stanowisko ministra przemysłu i handlu. Rychło okazało się jednak, że człowiek ten miał autentyczną wyobraźnię ekonomiczną i zdolności organizatora. Bardziej zasłynął z przeprowadzenia decyzji i akcji gospodarczych niż na polu chemii. Trzymał się w rządzie na różnych stanowiskach do 1939 r., a po wojnie współdziałał w odbudowie Gdyni i Gdańska.

Gdy w 1926 r. został po raz pierwszy ministrem, jako jedno z głównych zadań swego urzędu postawił budowę portu i miasta Gdyni. Było dużą sztuką min. Kwiatkowskiego, że zdołał wydobyć z ciągle niepewnego budżetu państwa w ciągu czterech lat 411,5 mln złotych. Dzisiaj wydawałaby się nam ta kwota — jakby jej nie przeliczać — stosunkowo mała. Przymierzając jednak należy do ówczesnych możliwości gospodarczych i fiskalnych Polski. Trzeba sobie bowiem uświadomić, że 411,5 mln ówczesnych złotych oznaczało tyle co:

230 000 rocznych płac

robotników przemysłu metalowego (ok. 150 zł miesięcznie), a więc utrzymanie w ruchu 100 dużych fabryk przez cały rok

albo

3 500 000 ton żyta

według ceny 12 zł za 100 kg, jaka w okresie lat 1930—36 najczęściej występowała na rynku

albo

5 200 kamienic

o sześciu mieszkaniach trzyzobowych (ok. 80 000 zł każda) co oznaczałoby w tamtych warunkach, że 750 000 ludzi miałyby dach nad głową.

Nie wolno zapominać, że Polska była krajem, który swój dochód narodowy opierał na produkcji rolniczej i wydobywaniu surowców. Nie eksportowano na ogół wyrobów przemysłu maszynowego, a pierwsze lokomotywy sprzedano do Indii i Maroka dopiero w końcu lat trzydziestych, podobnie jak pierwsze pojedyncze sztuki obrabiarek do metali (1938 r.). Polska eksportowała węgiel, płody rolne, cukier, zwie-

rzęta rzeźne, mięso, drób — głównie gęsi, pierze, jaja, drewno. Nie trzeba znać tajników ekonomii, by zrozumieć, że zarówno taka struktura eksportowa, jak sposób tworzenia się dochodu narodowego, nie dawała rządowi dużych możliwości finansowego manewru. Z tej dopiero „żabiej perspektywy” można ocenić wysiłek ekonomiczny i osobistą taktykę ministra inż. E. Kwiatkowskiego. Potrafił on nakłonić rząd i sejm do niezbędnych wydatków, choć co rok dopinano budżet państwa z ogromnym wysiłkiem. Jeśli w ogóle dopinano!

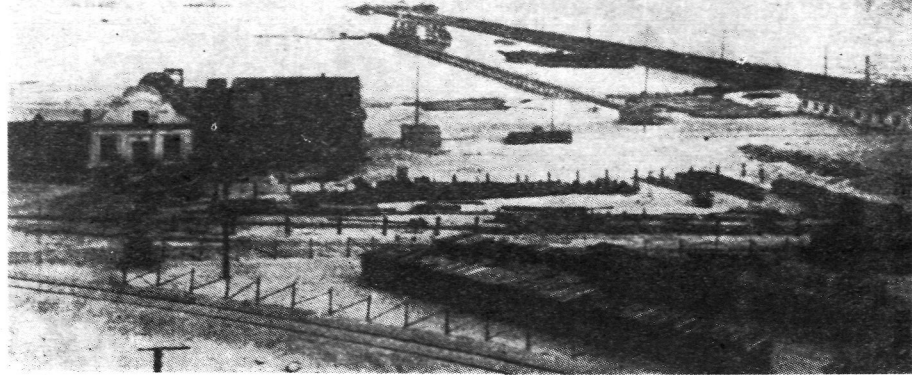
Bezimienna armia pracy

Budowa Gdyni w znaczeniu produktu społecznego kosztowała oczywiście znacznie więcej. 411,5 mln złotych objęły inwestycje państwowe, a przede wszystkim roboty pogłębiarskie.

Francuskie koła gospodarcze żywo interesowały się rozwojem Gdyni. W skład międzynarodowego konsorcjum założonego w celu wykonania robót weszły na początek Société de Construction de Batignolles, Schneider Co, Société Anonyme Hersent — ze strony francuskiej, Polski Bank Przemysłowy we Lwowie ze strony polskiej, a współnikami konsorcjum było duńskie przedsiębiorstwo Hojgaard and Schultz z Kopenhagi (budowa falochronów i mola) oraz belgijska firma Ackermann and Van Haaren — roboty pogłębiarskie.

Pierwszy pełnomorski statek przybił do prowizorycznej przystani w Gdyni pod flagą francuską 13 sierpnia 1923 r. Nosił nazwę „Kentucky”. W roku następnym wpięno 27 statków, w 1925 r. 85 statków, w 1926 r. — 298, w 1927 r. — 530, w 1928 r. — 1.108, a w 1929 r. — 1.541 statków. Wprawdzie na przykład w 1928 r. na 1.108 statków tylko 204 przywiozło do Gdyni ładunki, a reszta przyplęła bez ładunku — po węgiel, ale obrót handlowy zaczynał się.

Prawa miejskie uzyskała Gdynia na początku 1926 r. mając niewiele ponad 2.000 mieszkańców. Już wkrótce jednak rozpoczęła się ogromna gorączka budowlana, spekulacja gruntami. Do Gdyni zaczęli ściągać przedsiębiorczy ludzie. Zaczęły także inwestować duże firmy akcyjne. Zbudowano olejarnię, łuszcarnię ryżu, chłodnie składowe itd. Równocześnie obrastała Gdynia w małe przedsiębiorstwa, fabryczki związane z interesami portu. To wszystko spowodowało, że rozwój miasta był znacznie szybszy, niż to byłoby zgodne ze zdrowym rozsądkiem, i tym, co można by nazwać polityką społeczną. Nie jest to oczywiście jakiś zarzut w sprawach budowy Gdyni, ale w ogóle chęrlawy polski kapitalizm nie był



Pierwszy budynek Kapitanatu Portu, gdy molo dopiero zaczynało się wrzynać w głąb morza. Głębokie baseny kopano w torfiastym gruncie

zdolny do rozwiązywania trudnych konfliktów swojej epoki. Dlatego ściągający do Gdyni ludzie szukający pracy (pod koniec lat dwudziestych przybywało po 500—700 osób miesięcznie) tworzyli zarzewie spieć klasowych, demonstracje bezrobotnych, pochody „głodowe”, manifestacje. Równocześnie cała nowoczesna Gdynia obrastała osiedlami bud, baraków, które wówczas nazywano „meksykami” lub „pekinami”. Paradoxem tych czasów było, że ta liczna, rezerwowa armia pracy wędrująca w mieście obniżała koszty budowy portu; za cenę niskich płac tych ludzi Gdynia rosła szybciej, niż potrafili to sobie wyobrazić ówczesni planiści. Miasto miało osiągnąć po dwudziestu latach 60 000 mieszkańców, a już po 16-tu od rozpoczęcia budowy — miało ponad dwa razy tyle, 127 tysięcy w 1939 roku!

Zemsta nacjonalistów

U wejścia do portu w Gdańsku na skrawku ziemi, płaskim, ledwo pokrytym złe rosnącymi tutaj drzewami, znajdowała się wojskowa składnica. Powiewała nad nią biało-czerwona flaga. Nosiła nazwę Westerplatte i przeszła do historii. Strzały oddane w jej kierunku były pierwszymi, które padły w II wojnie światowej. Nie chodziło tu oczywiście o Gdańsk. Wojna była wynikiem nieuregulowanego bezpieczeństwa wewnętrznego Europy; zbyt bowiem wielu partnerów było niezadowolonych z Traktatu Wersalskiego. Niczego on nie załatwił; łagodził — tworząc podstawy pod gwałtowny wybuch konfliktu.

W wyniku decyzji z 1919 r. Westerplatte znajdowała się pod suwerenną władzą polską, obsadzona przez polskich żołnierzy. Na początku miało to znaczenie praktyczne, później prestiżowe, dziś ma znaczenie historyczne. Tu bowiem mjr Henryk Sucharski z dwo-

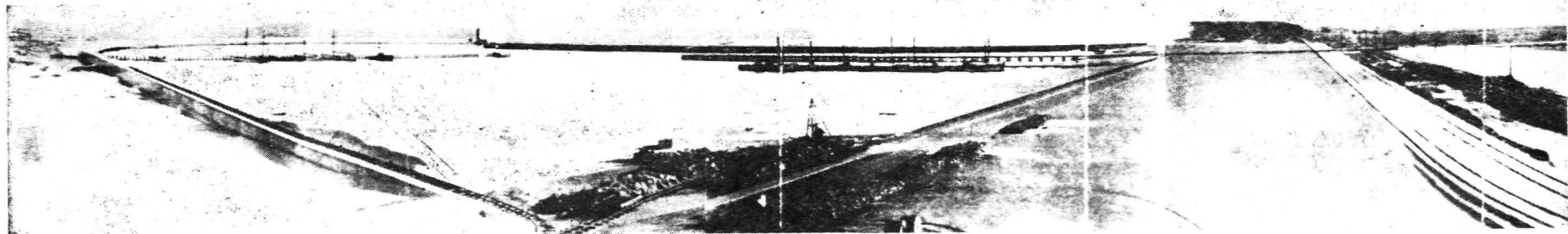
ma setkami polskich żołnierzy bronił się we wrześniu 1939 r. siedem dni i nocy, mimo że uzbrojone bojówki hitlerowskie rozwydrzonych nacjonalistów gdańskich wspierał hitlerowski pancernik.

W Gdyni przed najazdem Wehrmachtu bronili się nie tylko marynarze, a także „czerwoni kosynierzy”. Opór Oksywie trwał kilkanaście dni. Na Helu działa Marynarka Wojennej zamilki dopiero w październiku. Polacy potrafili na morzu nie tylko budować, lecz także o brzeg morza walczyć.

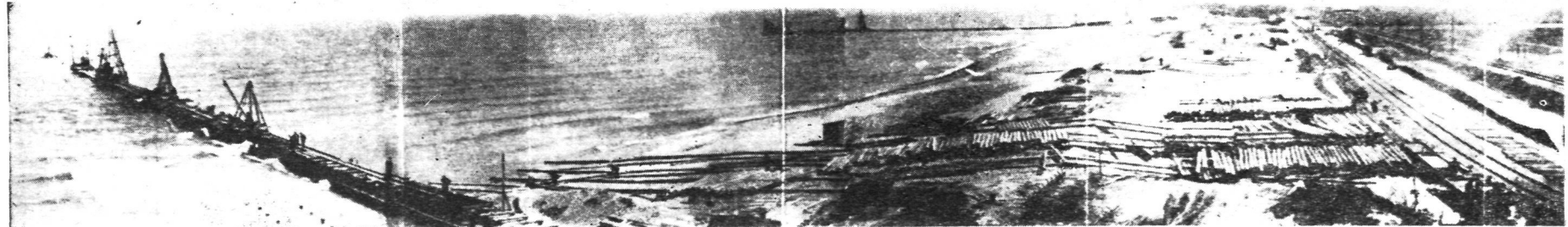
Tych zaś, którzy umacniali Polskę nad Bałtykiem, ścigała zemsta nacjonalistów niemieckich. Nie tylko obrońców Polskiej Poczty w Gdańsku i kilkunastu spośród obrońców Westerplatte — rozstrzelano bez sądu. Represje spotkały zarówno działaczy polskich w Gdańsku, jak i wybitniejszych obywateli Gdyni. Charakterystyczne, że atak rozwścieczonych Niemców skierowany był przeciw budowniczym portu. Wszystkich poszukiwano, a inżynier Bukowski, który zajął miejsce inż. T. Wendy w Kapitanacie Portu — za swoje przywiązanie do Gdyni, bo został na miejscu — zapłacił życiem. Znalazł się w 1939 r. jako jeden z pierwszych wśród 12 000 rozstrzelanych obywateli Wybrzeża.

Gdańscy faszyci oraz ich pomocnicy myśleli, że teraz wystarczy Gdynię nazwać „Gotenhafen”, czyli „port Gotów” by sprawa była ostatecznie i raz na zawsze załatwiona. Pomylili się... Jeszcze o tym napiszemy.

Jan LIKOWSKI



Początek budowy nie wyglądał efektownie (zdjęcie dolne), ale już po roku (zdjęcie górne) betonowe molo zamykało morze, tworząc basen. Port się narodził, choć w tym właśnie 1924 roku zawinęło doń tylko 27 statków



Zdjęcia archiwalne



Juliusz SŁOWACKI



Menhiry w bretońskiej Carnac. Te druidyczne kamienie ustawione zostały setki lat przed naszą erą

WAKACJE ze SŁOWACKIM

MAMY oto pełnię lata i sezonu wakacyjnego. Mnóstwo przedsięwzięć przemysłowych i handlowych jest zamkniętych na cały miesiąc. Opuściliśmy Paryżem zawładnięci słomiani wdowcy i zagraniczni turyści. Życie spowolniało także i na prowincji. Pół Francji nie ma w domu. Dzieci nabierają ciała, smagłości i sił na koloniach letnich, dorośli wypoczywają w miejscowościach uzdrowiskowych, bądź też smażą się na plażach, wielu emigrantów i Francuzów pochodzenia polskiego przemierza w tej chwili wzdłuż i wszerz stary nasz kraj. Ale nie wszyscy wyjechali na wczasy. Jednych trzyma w domu choroba, drugich brak pieniędzy, innych jeszcze takie czy inne obowiązki. Tym wszystkim, którzy nie mogli wyruszyć w wakacyjny świat, proponujemy, aby zechcieli łaskawie puścić wodze wyobraźni i wsiąść wspólnie z nami do wehikułu czasu.

Wehikuł czasu wymyślił pisarz angielski **Herbert George Wells**, który żył w latach 1866—1946 i stworzył w swoich powieściach fantastycznonaukowe wizje przyszłości świata. Wehikuł czasu (tak zatytułował Wells jedną z najgłośniejszych swoich książek) jest

to pojazd służący do przenoszenia się w przeszłość. My jednak nie będziemy dzisiaj wybiegać myślą w czas, który ma nastąpić, lecz weźmiemy kierunek na przeszłość. Przeskoczmy okragłe sto dwadzieścia dziewięć lat, wylądujemy w roku pańskim 1843 i spędzimy, jeśli nic przeciwko temu nie macie, wakacje z jednym z najznakomitszych poetów polskich — **Juliuszem Słowackim**.

„Muszę pojechać nad ocean”...

W 1843 r. Słowacki miał trzydzieści cztery lata. Od grudnia 1838 r. mieszkał stale w Paryżu. Trawiła go gruźlica, która zabrała go w sześć lat później, w początku kwietnia 1849 r. Malarz krakowski **Wojciech Korneli Stattler**, który bawił wówczas w Paryżu i portretował autora „Kordiana”, powiada w swoich o nim wspomnieniach, że „wydawał się być ruiną dawnej świątyni, której ledwo drobne ślady pozostały, a każde z osobna o innej części gmachu i o innym użytku mówiły”. Dręczyły wtedy także poetę doznania mistyczne. Był to okres, w którym głosił o twarcie, że pisze za podszeptem aniołów.

„Malując jego portret, dostrzegałem w jego spojrzeniu całą potęgę widzenia, a na ustach jego całą moc lania obrazami bez końca — czytamy we wspomnieniach Stattlera. — Wspominałem o tym, a on w odpowiedzi położył gorącą dłoń swoją na mej dłoni. „Muszę pojechać nad ocean — rzekł — by zmaleć, by ostygnąć”.

Lekarze odradzają ludziom chorym na płuca spędzać wakacje nad morzem. „Ale Słowacki nie słuchał lekarzy. Ufał jakiejś nieznanej sobie sile, a przede wszystkim własnemu duchowi” — pisze współczesny poeta **Paweł Hertz** w swojej monografii o Słowackim. 31 sierpnia 1843 r. o godzinie piątej po południu wyjechał z Paryża do Pornic.

Dzięki jego raptularzowi — raptularzem nazywano dawniej zeszyt do odrębnego spisywania różnych wiadomości i zdarzeń — wiemy dokładnie, jak ta podróż przebiegała. Najpierw udał się poeta koleją do Orleanu, gdzie zatrzymał się na nocleg i gdzie następnego dnia zwiędził w godzinach rannych katedrę. 1 września w południe popłynął statkiem do Tours, gdzie również zatrzymał się na nocleg i gdzie 2 września zwiędził katedrę Saint-Gatien. 3 września o świcie odpłynął z Tours do Nantes, gdzie stanął o godzinie ósmej wieczór. Dzień 4 września spędził w Nantes, a 5 września przybył do Pornic i spędził tam cały miesiąc.

Pierwowzór Sinobrodego

Pornic jest to, jak donosił Słowacki matce, „mała miejscina nad oceanem, gdzie wiele ludzi zjeżdża się na morskie kąpiele”. Leży ono w Bretanii, w departamencie Loire-Inférieure, i liczy obecnie niespełna 3 tysiące mieszkańców. Wtłoczone jest między bezmiar Atlantyku a ciągnącą się w nieskończoność — z rzadka porośniętą zieliskiem równinę, która przywodziła poecie na myśl stepy jego rodzinnego Wołynia. Składa się z małego portu rybackiego, piaszczystych plaż, pagórka, do którego tula się stare dzielnice, bogatych will strzeżonych przez parasolowate sosny i zamku. Zamek zbudowano z granitu na przelomie trzynastego i czternastego stulecia. Stanowił on własność demonicznego Gillesa de Rais, który żył w latach 1404—1440 i który najpierw walczył dzielnie u boku Joanny d'Arc przeciwko Anglikom, a po śmierci Dziewicy Orleańskiej mordował małych chłopców. Podobno pewien nekromanta, czyli osobnik parający się rzekomym wywoływaniem duchów zmarłych, zapewnił potwornego Idziego (polskim odpowiednikiem imienia Gilles jest imię Idzi), że jeśli składać będzie w ofierze szatanowi ręce, serca, oczy i krew małych i ładnych dzieci, książę ciemności uczyni go w zamian za to bogatym. Gilles de Rais został powieszony i spa-

Burza na Atlantyku przed bretońskim półwyspem Quiberon



lony w Nantes w trzydziestym szóstym roku życia w obecności ogromnego tłumu. Makabryczna ta figura natchnęła w siedemnastym wieku bajkopisarza Perrault do stworzenia postaci Sinobrodego (po francusku: „Barbe-Bleue”).

Czy Słowacki znał historię Gillesa de Rais? Z pewnością tak. Przecież nie opodał od Pornic, w Tiffauges, znajdują się ruiny zamczyska, w którym Gilles dopuszczał się swoich niewiarogodnych zbrodni. Z pewnością któryś z poznanych przezeń w Pornic Francuzów opowiadał mu, że złowrogi cień zbrodniczego marszałka — bo Gilles de Rais został w nagrodę za swoje przewagi rycerskie mianowany przez króla Karola VII marszałkiem Francji — błędzi nocą po okolicy w asyście biesów. Może zapoznał go z dziejami Gillesa de Rais miejscowy lekarz, o którym pisał do matki, że „mógłby stać za model do figury jakiego romansu” i że „pokój jego, pełny gratów starożytnych, jak zwyczajnie u człowieka, który w małej miejscinie życie bez burz żadnych przeżył i wśród tych gratów umrze zapewne” napęłnił go „dziwną melancholią”? Może wtajemniczył go w te okropne zdarzenia były wojskowy nazwiskiem Carader, o którym czytamy w raptularzu, że „bogata wzięła i milionową żonę, ale pieczęć oficerstwa mocniejsza niż nowe państwo małżeńskie”? Albo właściciele hotelu, w którym się stołował — „oberżysta z żoną, staruszkowie jak Filemon i Baucis”?

Wśród druidycznych kamieni

Może. Ale Słowacki zaprzętny był wtedy czym innym. Innymi duchami. „Po skałach w Pornic błądził jak duch, podobny duchom, których naprawdę nie ma, ale które sobie uroił i pewny jest, że w końcu przychwyci je wzrokiem, jeśli będzie im na przyrętej rzucił czerwone róże między druidyczne kamienie” — pisze w swoim „Portrecie Słowackiego” Paweł Hertz.

Przymiotnik „druidyczny” pochodzi od słowa „druid”. Druidzi byli to kapłani cel-

tycy, przedstawiciele silnej politycznie kasty kapłańskiej w starożytnej Galii (czyli Francji), Anglii, Irlandii. W Anglii i Bretanii, a także i w Skandynawii spotyka się duże, pionowe bloki kamienia nieciosanego (tzw. menhiry) oraz grobowce przedhistoryczne złożone z wielkich, pionowo ustawionych kamieni przykrytych z wierzchu płytą kamienną (tzw. dolmeny). Menhiry i dolmeny są zabytkami dawnej kultury celtyckiej. Język literacki nazywa je kamieniami druidycznymi. Wśród takich właśnie przedwiecznych pomników przechadzał się w Pornic autor „Beniowskiego”. „Duchy Druidów, które zakląłem, pomagają mi muszę. Dziś odwiedzając druidyczne świątynie znalazłem przed głazami różę świeżą zerwaną — kto ją porzucił? Zdawała mi się duchów ofiarą... po dwukroć rzuciłem ją do wnętrza grot, chcąc, aby jak lampa świeciła w ciemności — ale zaw sze zapadała tak między kamienie, że ją wydobywać musiał — w tym być musi jakaś tajemnicza nauka duchów, ale jej odgadnąć nie mogę” — zapisał w raptularzu.

Romans z oceanem

Widok oceanu wprowadził go w ekstazę. „Com uczuł, droga moja, spojrzawszy na ocean, tego Ci wyrazić nie mogę — tłumaczył matce w liście pisanym już po powrocie z wakacji w Paryżu. — Między tym morzem a mną jest tajemniczy jakiś związek, sympatia — i ta musi być prawdziwa, albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku”. „Weseliłem się jak student albo jak ptaszek” — upewniał także panią Salomeę (matka Słowackiego miała na imię Salomea — red.). Ale nostalgia ziemi rodzinnej po staremu dawała mu się we znaki: „Nigdzie od wspomnień uciec nie można — nigdzie od łez — i od tęsknoty” — stwierdzał z rezygnacją.

Pornic tak mu przypadło do serca, że wybrał się tam ponownie w 1844 r. Tym razem



Pastereczka z Pornic. Rysunek wykonał Słowacki

pojechał nad Atlantyk w lipcu. Paweł Hertz wysuwa w swojej książce przypuszczenie, że „tym razem nie był tu już sam”, że „spędzali tu okres letni również członkowie domu Czartoryskich”. Mieszkańcy Pornic natychmiast go sobie przypomnieli i przyjęli z otwartymi ramionami. „Tu, w Pornic, nic się nie zmieniło — donosił Joannie Bobrowej. — Ten sam żebrak siedzi na drodze i każdy łachman jego jest taki jak dawniej. Moje druidyczne kamienie nie osunęły się do ziemi, mój doktor nie postarzał, oberżysta nie został deputowanym, sługi mnie poznali, żebrak, oberżysta, doktor nie zapomnieli”.

Lustro dla dulejnei

Joanna Bobrowa była bogatą damą kresową, która gustowała w sztukach pięknych i podróżowała po Europie. Przez pewien czas dzielił z nią łóżko Zygmunt Krasiński. Słowacki kochał się w niej platonicznie. W lipcu 1844 r. kupił jej w Pornic lustro oprawione w skórę jaszczurczą. „Przeszedłem przed tym lustrem, jak może przed pań (tzn. Joanny Bobrowej i jej córek — red.) pamięcią, nie zostawiwszy na tym szkłe żadnego rysu — ale oczy moje w nim były” — pisał do swojej wielkoświatowej dulejnei.

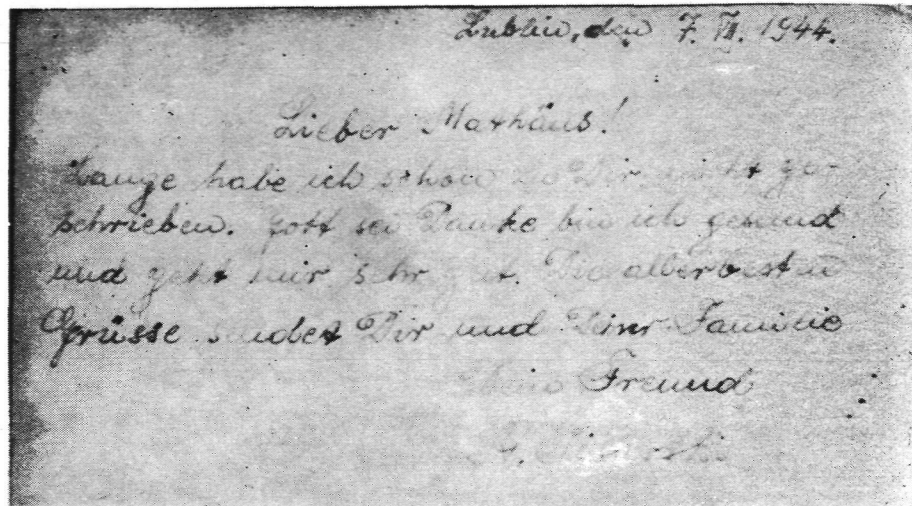
Majestat oceanu podziałał na poetę zapładniająco. W Pornic powstał pomysł „Genezis z ducha” — utworu, w którym zespoliły się ze sobą w sposób bardzo ścisły poemat religijny i traktat naukowy, i w którym Słowacki wyprzedził pod pewnymi względami poglądy głośnego francuskiego filozofa i teologa katolickiego Teilharda de Chardin (1881—1955).

W trakcie drugiego swojego pobytu w Pornic, autor „Króla Ducha” narysował w swoim raptularzu szkic ołówkowy przedstawiający „pastereczkę siedzącą na druidów kamieniach”. Głębokie przeżycie, jakiego doznał na widok małej, ubogiej dziewczynki w otoczeniu druidycznych głazów nad oceanem, natchnęło go także do napisania wiersza, którego początek brzmi następująco:

Boże, błogostaw tej małej pasterce
Na druidycznych siedzącej kamieniach,
Tak, że jej głowa w zorzowych płomieniach
Była... a za nią morza pas — po serce,
A jej chodaki na białych krzemieniach
Podkute jasnym ćwiekiem w półmiesiące,
A włoski złote z wiatrem igrające,
A jakieś przeszłe anielstwo w spojrzeniach.

Dolmen zwany Stołem Kupców w miejscowości Locmariaquer w Bretanii





PORTRET W CZARNEJ RAMCE

9 kwietnia 1942 roku listonosz zadzwonił do mieszkania przy Füllerweg 11 w okupowanych Katowicach. List adresowany był do pana Mathiasa Daniela, ale odebrała go jego żona. Zaniepokojona, odczytała w pośpiechu nagłówek niemieckiej poczty polowej. Serce jej zabiło, kiedy podpisywała pokwitowanie na list polecony Nr 795-943. Już od dłuższego czasu brak było jakichkolwiek wieści o jej synu Antonim, który na froncie wschodnim walczył z „bol-szewickim zalewem za Führera i Ojczyznę”.

Zatrzasnęła drzwi za sobą i przeczuwając najgorsze, zabrała się do czytania listu podpisanego przez porucznika i dowódcę kompanii:

„Wielce Szanowny Panie i Pani Daniel! Musimy dziś podać państwu żałobną wiadomość, że syn państwa od dnia 1 marca 1942 zaginął pod Nikolską. Wczesnym rankiem tegoż dnia stał on na warcie jakieś półtora kilometra od tej miejscowości. Gdy nadeszła zmiana, zastała posterunek już opustoszały. Natychmiastowe poszukiwania okolicy, tak daleko, jak tylko to było możliwe, nie dało niestety żadnych rezultatów. Należy przeto przyjąć, że syn państwa został przez Rosjan zaatakowany i zabity, albo też żywcem przez nich uprowadzony. W imieniu jego kolegów wyrażam państwu nasze najgłębsze współczucie. Nadal będziemy się starać, aby się dowiedzieć czegoś o losach syna państwa, a wtedy przekażemy to natychmiast państwu. W serdecznym współczuciu...”

Listów takich przynosiła wtedy poczta na Śląsk bardzo wiele. Pani Daniel oprawiła zdjęcie ukochanego Antka w czarną ramkę. Ojciec zaginionego — stary hutnik z hut „Baildon” w Katowicach — ciężko przeżył stratę syna.

29 lipca 1944 roku listonosz przyniósł jednak kartkę pocztową. Znaczek wydany przez „Niemiecką Poczta Wschód” przedstawiał fragment „Burgu Krakau”, zwanego przez Polaków Wawelem. Znaczek ostemplowany był przez urząd pocztowy w „Leczna über Lublin”. Treść na jej odwrocie była nieco zagadkowa dla obcego człowieka:

„Lublin, dnia 7 lipca 1944 roku.

Kochany Mateuszu!

Od dawna już do ciebie nie pisałem. Chwała Bogu jestem zdrow i bardzo dobrze mi się wiedzie. Najlepsze pozdrowienia przesyła tobie i twej rodzinie twój przyjaciel

A. Pisarski”.

Kartka napisana była w poprawnej niemieckiej. Państwo Daniel poznali od razu charakter pisma. To pisał ich syn, Antek, zaginiony bez wieści w bezkresnej Rosji. Kartka nie miała adresu zwrotnego, tylko: „A. Pisarski, Lublin”. Widocznie nadawca nie życzył sobie, aby do niego pisano.

Wojna jeszcze ciągle trwała, z głośników radiowych ciągle dobiegały jeszcze butne pogróżki i wrzaski. Na ulicach śląskich miast i miasteczek ciągle jeszcze słycać było twardy krok podkutych butów. Ale w tym jednym mieszkaniu polskiego hutnika — nadzieja stała się znowu gościem. Nie bardzo rozumiano kuliszy ostatniej kartki, ale ludzie ci, mający za sobą wielowiekową tradycję

Na łamach „Tygodnika Polskiego” wielokrotnie pisaliśmy o ludziach walczących w ruchu oporu przeciwko hitlerowskiemu agresorowi. Polacy zapisali swymi czynami bojowymi wiele pięknych kart w współczesnej historii narodu polskiego. Polscy bojownicy europejskiego ruchu oporu rekrutowali się w znacznej mierze ze środowisk polonijnych we Francji, Rumunii, Węgier i w Związku Radzieckim. Znamy dobrze wspaniałe dzieje bohaterstwa i poświęcenia członków ruchu oporu w zachodniej Europie. Do nich należeli także tzw. komandosi zrzućeni na tereny zajęte przez Niemców. Losy natomiast żołnierzy, którzy zostali przerzuceni na tyły frontu wschodniego, jakoś do tej pory uszły uwadze historyków II wojny światowej.

Sądzymy, że dla naszego Czytelnika interesujące będzie zapoznanie się z jednostką zwaną „Batalionem Szturmowym”. Działał on w latach 1943—45 początkowo na terenie ZSRR, a później na ziemiach polskich. „Batalion Szturmowy” szkolili i przygotowywali do zrzutów na zapleczu wojsk niemieckich specjalnie dobranych ochotników. Ludzie ci zrzućeni byli pojedynczo, lub w niewielkich grupach. Mieli przeważnie zadania wywiadowcze, lub dywersyjne. Działali w mundurach hitlerowskich, lub polskich, a niekiedy w cywilu. Niektórzy z nich dotarli aż pod Berlin. Tropieni przez niemiecki kontrwywiad, a także specjalnie sformowane oddziały policyjne — żołnierze ci prowadzili „wojnę podstępów”, werbując współpracowników wśród miejscowej ludności. Niemal co noc odbywały się ich tajne radiostacje, przekazując z „Małej Ziemi” na „Wielką Ziemię” (jak w gwarze grup desantowych zwaną zaplecze wroga i własne zaplecze) informacje wykorzystywane następnie przez sztab wojsk polskich i sztaby sojusznicze. Z uwagi na specyficzny charakter tej walki liczni żołnierze przygotowywani do zrzutu w „Batalionie Szturmowym” rekrutowali się z Polaków ze Śląska, Poznańskiego lub Pomorza, zmuszonych do służby w Wehrmachcie. Polacy ci nie chcą walczyć przeciwko koalicji antyhitlerowskiej przechodzili przez front wschodni, docierając po pewnym czasie do Wojska Polskiego.

Warto dodać, że żołnierzom „Batalionu Szturmowego” wykładano historię oddziałów spadochronowych. Wiedzieli oni, że w 1783 roku Francuz Lenormand dokonał pierwszego skoku na prototypie współczesnego spadochronu. Skok odbył się z niewielkiej wysokości — bo z drzewa, ale od czegoś trzeba zacząć. W 14 lat później jego rodak Garmerin skacze w Paryżu z balonu już z wysokości 700 metrów. Jego żona — Jeanne zostaje pierwszą kobietą spadochroniarzką! Bratanica zaś Eliza wykonuje między rokiem 1815 a 1836 ponad 40 skoków, także w Warszawie — w Ogródku Saskim.

Otóż przed I wojną światową spadochroniarstwo zdobywa sobie prawo obywatelstwa w lotnictwie. W czasie I wojny spadochroniarzy wykorzystano do przerzucania agentów na tyły frontu. W lecie 1918 roku major armii francuskiej Everard wraz z dwoma żołnierzami wyskoczył nad Ardenami. W ślad za nimi zrzućono na spadochronach nadajnik radiowy i materiały wybuchowe. Spadochroniarze podjęli też zrzuty i wykonali kilka udanych operacji dywersyjnych na liniach kolejowych. W czasie II wojny światowej Francja była jednym z nielicznych krajów, które dysponowały oddziałami spadochroniarskimi.

Taka była prehistoria i historia spadochroniarzy. Teraz chcielibyśmy przedstawić Czytelnikom Antoniego Daniela — żołnierza „Batalionu Szturmowego”, którego zrzućono na tyły frontu. Jest on jednym z żołnierzy tej jednostki.

konspiracji i oporu przeciw przemocy — ciągle jeszcze nie zdejmowali ze ściany fotografii syna, wiszącej w czarnych ramkach. Gdy wreszcie wrócił, wisiła tam jeszcze ciągle. Antoni Daniel widział żałobę po sobie samym.

Trzeba jednak przyznać, że nie tylko to było niezwykłe w tych kilku wojennych latach młodego śląskiego hutnika, który tuż przed wojną zaczął u boku ojca pracę w hucie „Baildon”.

Odnaleźliśmy go na Śląsku w Chorzowie. Notowaliśmy wiernie jego słowa:

9 maja 1941 roku zostałem zmobilizowany do armii niemieckiej i wysłany do Magdeburga. Tam wcielono mnie do Panzernachrichtenabteilung. Miejsko byłem wysłany do Afrikakorps. Po wybuchu wojny z ZSRR w czerwcu przesłano mnie do Bernburga an die Saale. Przypominam sobie, że jak się żegnałem z matką i ojcem, to powiedziałem im, że będę się starał uciec z Wehrmachtu. Skierowano nas z Bernburga do Halberstadt. Tutaj formowano już oddziały. Mnie skierowano do tak zwanego Marschbatalionu. Zakładowano do wagonów i jazda na wschód! Mijałyśmy miasta i wsie. Zastanawiałem się: „Co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Co ja tu właściwie robię? Bronię hitlerowskiego porządku, a tam na Śląsku ci sami hitlerowcy mordują moich braci. Ojcowie byli powstańcami śląskimi, a ja z hakenkreuzem na pasie mam strzelać do ludzi, którzy nie tylko, że mi nic nie zrobili, ale których nigdy nie widziałem.”

Decyzja ucieczki

Przydzielono mnie do 290 dywizji piechoty. Stanowiska niemieckie biegiły nad rzekami Lowat i Pola, dopływały jeziora Ilmen. Były to raczej linie obronne. Chodziliśmy na patrole i zwiad. Natrafiliśmy na ulotki w języku polskim i niemieckim. Adresowane były do Polaków w armii niemieckiej. Wyobraziłem sobie: podniosłem z ziemi kawałek papieru i zobaczyłem na nim fotografię generała Sikorskiego, przyjmującego na trybunie defiladę oddziałów polskich. Boże! Wpatrywałem się w ten świstek, szukałem orzełków na niewyraźnym druku, naszych polskich orzełków! A więc jednak nie zginęła, nie jest tak źle! Jest polska armia, będzie i Polska. Może walczyć na moim froncie? Może są tu gdzieś blisko? Trzeba coś zrobić... Uciekać!

Przejsz przez front — nie taka łatwa sprawa. W niemieckim mundurze... Skąd Rosjanie, czy Polacy będą wiedzieli, że chcę przejść na ich stronę? Kto będzie się nad tym zastanawiał? Wygaranie na widok hitlerowskiego munduru, i koniec! Weź no jeszcze raz tę ulotkę... No tak, jak wół tam stoi, że ulotka służy za przepustkę przez linię radziecką.

W styczniu 1942 r. Armia Czerwona przystąpiła do natarcia. Otrzymałmśmy zadanie utrzymania pozycji na wzgórzu nad stawami. Dolina była zajęta już przez Rosjan. Było do nich około półtora kilometra. Postanowiłem mieć teraz uszy otwarte. Każde słowo wypowiedziane przez żołnierza czy oficera było ważne. Mogłem się zorientować, jak i kiedy zwiąć. Cały czas byliśmy na przedpolu. Wieczorem zlizowali nas i posłali do tyłu na kolację. W budynku, gdzie jedliśmy, krecili się wyżsi oficerowie niemieccy. Byli jacyś zdenerwowani i podnieceni. Może właśnie dlatego dopuścili się nieostrożności. Z ich rozmów dowiedziałem się rzeczy na pierwszy rzut nieprawdopodobnej: „O 5 rano rozpoczynamy natarcie przy użyciu czołgów i lotnictwa”. Więc tak to łatwo zdobywa się wiadomości! Nigdy nie przypuszczałem!

O godzinie 23 odesłano nas z powrotem na wzgórze. Dowódca drużyny wezwał mnie i powiedział: pójdziesz dwanaście metrów naprzód od naszego stanowiska i będziesz czuwał.

Odmaszerowałem. Miałem wrócić po pewnym czasie, aby trochę się ogrzać i zdać relację. Idę w dół ostrożnie, żeby tylko się nie zetknąć z jakimś patroliem lub oficerem inspekcyjnym. Karabin przewiesiłem przez plecy. Jeden granat miałem w kieszeni, drugi włożyłem do saperskiego buta z szeroką cholewą. Idę i idę na dół, zupełnie ciemno. Nagle stop. Słychać głosy. Z początku nie mogłem odróżnić brzmienia. Nigdy w życiu nie słyzałem przecież języka rosyjskiego. Niby polski, niby nie. Coś z tego rozumiem, ale nie bardzo.

Wsluchuję się uważnie. Boże, już są blisko. Przyjaciele, moi. Ale co to? Zaczynam rozumieć coraz lepiej. A ci się kłóca jak cholera — jeden drugiego strasznie objężdża. Potem zaczyna grać patefon. Jeden coś długo śpiewa, potem chór powtarza to samo i tak dokoła Wojtek. — No dobra, teraz Antos, wal naprzód! Teren był krzaczasty. Pełzam więc od krzaczka do krzaczka. Patrzę: ziemianka. Przed ziemianką stoi wartownik. Idę wprost na niego. Drgnął. Pochylił się do przodu, jak by nie

wierzył własnym oczom. A ja zapomniałem o całym świecie. Nic nie mówię, tylko walę na niego. „Stój! Ruki w wierzch!” Kula z bzykiem przeleciała mi koło głowy. Chybił. Oblał mnie zimny pot. Wołam do niego: „Nie strzelaj! Nie strzelaj! Ja nie Niemiec”. Kazał mi stać nieruchomo i zwołał resztę swoich kolegów. Zbiegło się kilku żołnierzy. Rozbrojono mnie, zaprowadzono do ziemianki.

Był tam młodszy lejtant. Poczęstował papierosem i zaczął rozmawiać. Mówił do niego, że mam ważną wiadomość do zakomunikowania.

„Piąta godzina... rano... Niemcy... Szturm... Stukasy... Tanki”.

On patrzy na mnie i zrywa się. Wysłał kogoś. Za kilka minut przyszli żołnierze i wzięli mnie do sztabu jednostki. Tam wysłuchał mnie major, kazał zaprząć sanki. „Pojdziesz do sztabu dywizji”. Major poczęstował wódką i dał zakaszkę. Czulem się zmęczony, jak bym cztery doby stał przy wielkim piecu w hucie.

Alarm na froncie

O 1-szej w nocy przyjechaliśmy do sztabu dywizji. Było tam trzech generałów. Musiałem wszystko opowiedzieć. Ile widziałem wojska, jakie uzbrojenie, ile może być tam dział itp. Nie przypuszczałem, że był to pierwszy meldunek zwiadowczy w moim życiu, a nie wiedziałem, że nie ostatni i karierę zwiadowcy dopiero rozpoczynam.

Poczęstowano mnie kolacją. Mimo wszystko zdawało mi się, że patrzę trochę podejrzliwie. Zaprowadził mnie do małego pokoiku. Było tam łóżko i miałem szczerzy zamiar momentalnie zasnąć. Położyłem się i nagle przychodzi mi do głowy straszna myśl: „A co będzie, jak Niemcy nie rozpoczną natarcia? Rosjanie będą myśleli, że ja chciałem ich w błąd wprowadzić. A jak Niemcy spostrzegą się, że mnie nie ma? Może któryś z nich przypomniał sobie, że byłem przy rozmowie sztabowców niemieckich?”

Rozmaite myśli przychodziły mi do głowy. Sen diabli wzięli. Zresztą na korytarzu był taki gwar i ruch, że chyba umarłego by obudzili. Terkotwały telefony. Tupały buty. Tam i z powrotem biegali ludzie. Ruch jak cholera. Boże, kiedy wreszcie będzie ta piąta godzina? Pierwszy raz w życiu oczekiwałem jak zbawienia kanonady artyleryjskiej. Zaczyna, czy nie zaczyna? Cicho... Z daleka nadbiegł ledwo, ledwo dosłyszalny szum, jak chrabąszcze. Kilka chrabąszczy. Ziemia zadrażała, ryknęły działa. Warkot potężniał... Bomby... Bomby... Bomby. Przez trzy godziny nikt do mnie nie zajrzał. Nagle otwierają się drzwi i wchodzi oficer. Była to godzina 9 rano. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu: „Niemcy zostali odparci... ponieśli poważne straty.”

Zupełnie inaczej na mnie patrzyli. Otrzymałem przydział na mieszkanie w ziemiance wraz z jednym oficerem i sierżantem. Byłem szczęśliwy. Chodziłem na patrol. Robiliśmy wyprawę za linie frontu „po języka”. Niedaleko „mojego niemieckiego” odcinka. Wreszcie zażądałem skierowania do polskiej armii. Odpowiedzieli mi: „Pojdziesz do polskiej armii, poczekaj trochę, będziemy razem grzmocić Niemców”.

W maju 1942 wysłano mnie do Krasnogorska pod Moskwą do niemieckiego obozu jeńców. Pełniłem tam funkcję brygadzysty jenieckiej brygady pracy. Rąbaliśmy drzewo. W 1943 r. zebrano około dwustu Polaków i wysłano w październiku do Sielc. Przyjął nas generał Berling. Powiedział nam, że w tej chwili i dywizja imienia Tadeusza Kościuszki odebrała już swój chrzest bojowy, a my wędzimy do II dywizji im. Dąbrowskiego. „Od tej chwili jesteście już żołnierzami polskimi” — powiedział generał.

Pewnego dnia wezwany zostałem na rozmowę przez jednego z oficerów. Pytał się skąd pochodzę, jakie znam języki. Mruknąłem coś jak mu powiedziałem, że niemiecki, o to i owo jeszcze zapytał, a w końcu mówił tak: a chcielibyście do Batalionu Szturmowego? Szturmowy — myślę sobie — to znaczy taki, co szturmuję pozycje. Ale każdy oddział szturmuje, więc ten to chyba taki jakiś specjalny, co to może na pierwszy ogień. „Dobra — mówię — niech będzie szturmowy”.

— Wysłano mnie do Bielej. Dowódcą był tam major Toruńczyk. Skierowano mnie do kompanii radiotelegrafistów. Potem skoki, ćwiczenia w terenie itp. I tak nas ćwiczyli od listopada 1943 do marca 1944. A potem pod Równę do Żytyńia.

Pierwszy skok

7 maja 1944 zostałem wyrzucony wraz z całą grupą kilkoma samolotami w Lubelskiem koło Włodawy. Przeznaczeni byliśmy jako „fachowcy” — radiotelegrafisci, minierzy, zwiadowcy dla grupy Satanowskiego. Lecę więc na parasolu na oczystą ziemię, chociaż nie tak wyobrażałem sobie powrót do Polski. Zbliżałem się do ziemi i skóra na mnie cierpnie. Biegają ku mnie Niemcy. No, jasne mundury niemieckie. Przecież nie myślę się, sam też łachy nosiłem! Chwytam za broń. Jestem już nisko. Słyszę jak wołają po polsku: „Trzymaj nogi... razem nogi”.

To byli partyzanci w zdobycznych niemieckich mundurach. I tak rozpocząłem karierę radiotelegrafisty dla specjalnych zadań. Pewnego dnia zatrzymaliśmy się w kwaterze na plebanii. Ksiądz poradził mi, żebym napisał do rodziców — list pod innym nazwiskiem: „Matka na pewno pozna syna po charakterze pisma”.

Przerwaliśmy naszemu rozmówcy jego wywody. Wydawało nam się, że okres jego pracy jako radiotelegrafisty w oddziałach „Jeszcze Polska nie zginęła”, dowodzonych przez pułkownika Satanowskiego, wymagały chyba bliższych wyjaśnień. Co nadawano przez radiostację nadawczą? Jak zdoby-

wano raporty o nieprzyjacielu? Powiedzieliśmy Antoniemu Danielowi: — „Czy aby pan nie sugeruje się zbyt wyostrzoną znajomością rzeczy! Naszym zdaniem to powinno zainteresować czytelników”.

Antoni Daniel rzekł: — „Ja byłem tylko radiotelegrafistą. Otrzymywałem tekst do nadania, nadałem w określonym czasie na określonej długości fali, umownym szyfrem. I to wszystko — chyba jeszcze i to, że starałem się, aby mnie Niemcy nie złapali. Chciałem żyć i walczyć dalej. Ale odszukajcie pułkownika Satanowskiego — on to będzie najlepiej wiedział...”

Pułkownika Satanowskiego odnaleźliśmy w Bydgoszczy, gdzie był... dyrygentem w miejscowej Filharmonii. Pułkownik Satanowski nosi się z zamiarem opublikowania swych wspomnień. Nie ma wątpliwości, że będzie to ciekawa lektura: inteligentny i wrażliwy człowiek pisze o swych przeżyciach w warunkach, w jakich zazwyczaj milczą muzy.

W archiwach zachowało się wiele materiałów dotyczących działalności na Lubelszczyźnie pułkownika Satanowskiego i innych grup zasilanych przez ludzi, którzy spadli z nieba. Są to mianowicie raporty samego pułkownika Satanowskiego, jak i... raporty gestapo oraz żandarmerii polowej. Jedne i drugie noszą stempel „Ścisłe tajne” względnie „Geheim”. Niedługo były to najbardziej strzeżone tajemnicą tajne dokumenty z wojny podstępów.

Ludność miejscowa dostarczała wiadomości o ruchach wojsk npla w najbliższym sąsiedztwie, zwykle podczas akcji niemieckich. Wiadomości te, zbierane niefachowo, mimo najszczerzejszych chęci składających meldunki, nie przyczyniały się do wyjaśnienia sytuacji, były jednak ostrzeżeniem dla oddziałów partyzanckich.

Wywiad ludności miejscowej dla drużyn minerskich (dostarczanie przewodników) również w znacznym stopniu ułatwiał pracę. Oto najbardziej charakterystyczne dane zdobyte przez wywiad:

Z początkiem maja na terenie powiatu włodawskiego rozpoczęły się próby zastosowania nowej broni niemieckiej. Pociski raketowe kształtu samolotu miały być wypuszczane spod Kraśnika. W ostatnim momencie nateżenie pracy silnika wzmacnia się i raketa pikując prostopadle uderza o ziemię. Siła wybuchowa bardzo duża, odłamki w promieniu 300 metrów, głębokość 4—5 metrów, rozrzut 5—10 km.

4.7.44. Na poligonie pod Garwolinem wypróbowują nowe pociski artyleryjskie. Pocisk zawiera ciemno czerwony płyn zapalający. 50—60% pocisków nie rozrywa się.

12.6.44. Cel dla lotnictwa. W południowym krańcu wsi Krynki, na 21 km linii kolejowej B. Podlaska — Łuków, odchodzi w kierunku półn.-zach. w las bocznica kolejowa, widoczna na białym tle piasku. Przy końcu bocznicy znajduje się duży skład amunicji, prawdopodobnie dywizyjny. Bocznica i magazyn zbudowane w przeciągu ostatnich 3 miesięcy.

8.6.44. Garnizon Łęczna. W mieście stoi zmotoryzowany dywizjon artylerii SS. 75 mm. „Wiking”. Swego czasu brał on udział w boju pod Czerkaszami. Dywizjon przybył do Łęcznej z Lublina. Większa część jednostek zmotoryzowanych kwateruje w parku majątku Podzamcze, na północ od ujścia rzeki Świnki do Wieprza.

Miasto stanowi jeden wielki skład amunicji i benzyny. Na placach, ulicach i podwórzach stoją samochody i czołgi.

W pałacu majątku Podzamcze mieści się sztab dywizji. Na noc przyjeżdża często sztab garnizonu miasta Lublina i czołowe osobowości władz dystryktu z gubernatorem Zörnerem na czele.

Obrona przeciwlotnicza: bateria, reflektor, aparat podsluchowy i nadawczo-odbiorczy znajduje się w parku kościelnym na wschód od rynku. Ludność na noc ucieka z miasta.

Wiadomości od BCh

I jeszcze raz przenieśmy się teraz z powrotem na drugą stronę barykady. Oddziały pułkownika Roberta Satanowskiego nie tylko same zbierały informacje wywiadowcze o wojskach niemieckich, ale otrzymywały je od innych organizacji. Informacje, które nadawał później w eter Antoni Daniel, czy inny radiotelegrafista — trzeba było dopiero zdobyć. Opowiada o tym komendant podokręgu włodawskiego Batalionów Chłopskich — Edward Duda.

Początkowo BCh nie zajmowały się wywiadem ani rozpoznaniem położenia wojsk niemieckich. Nie miały własnej siatki wywiadu i z tej przyczyny nie posiadały żadnej komórki organizacyjnej, zajmującej się tymi sprawami. Komórki takiej nie było na żadnym szczeblu. Oczywiście istniało rozpoznanie ruchów niemieckich, ale tylko doraźne na własny użytek. Rozpoznanie to służyło za samoobronę przed pacyfikacjami czy oblawami itp. i miało ograniczony zasięg terenowy. Dopiero w kwietniu 1944 sprawa ta we włodawskim i chyba i w innych okęgach przybrała nieco inny obrót. W tym czasie nasi łącznicy donieśli, że w lasach włodawskich znajduje się jakiś nieznaną oddział, świetnie uzbrojony, który nosi polskie mundury i orzełki. Ponieważ BCh na tym terenie była najsilniejszą organizacją, zrozumieli więc, że chcielibyśmy wiedzieć, kim są ci ludzie i do czego dążą. Przez jednego z łączników nawiązaliśmy kontakt z dowódcą oddziału i uzgodniliśmy termin i miejsce spotkania. Spotkanie odbyło się w domu komendanta obwodu, Bolesława Pyszki. Dowódcą oddziału, który wiedział już kim jesteśmy, przedstawił się jako kapitan Baczyński, dowódca pododdziałem zgrupowania partyzanckiego „Jeszcze Polska nie zginęła”, pod komendą pułkownika Satanowskiego. Baczyński oświadczył, że jego oddział jest regularnym oddziałem WP i że mają kontakt z Armią Polską za pośrednictwem Sztabu Partyzanc-

kiego. Baczyński zaproponował nam konkretną współpracę: zbieranie przy pomocy ludzi z BCh informacji o garnizonach niemieckich, ich sile, postojach, ruchach wojsk, transportach na front itp. Współpraca ta nabrała jeszcze większego rozmachu, gdy w 1944 wyładował sam Satanowski.

Jeżeli chodzi o lotniska, to za pośrednictwem chłopów pracujących przy budowie lotnisk, wśród których wielokrotnie byli również BCh-owcy, dowiedzieliśmy się, ile samolotów ląduje na lotnisku w Wisznicy pod Radzynie i w Białej. Dowiedzieliśmy się na podstawie materiałów budowlanych, dowożonych przez chłopów ze stacji na lotnisko, o rodzaju wykonywanych robót: czy buduje się hangary podziemne, czy zbiorniki, czy też bunkry.

Często stawało się po prostu w krzakach i zapisywało — oczywiście w pamięci — ile samolotów przelatuje i odlatuje, w jakim kierunku, jakie typu: bojowe, czy transportowe. Notowaliśmy także symbole znaków na samochodach niemieckich. Jednostki niemieckie miały swoje znaki, na przykład niedźwiadek czy lew. Pojawienie się w naszej okolicy większej ilości samochodów czy czołgów o nie spotykanym dotąd znaku, sugeruje, że Niemcy przerzucili na przykład z Francji jakąś jednostkę na front wschodni, lub też odwrotnie — przerzucają tę na zachód.

Myślmy, że teraz już chyba można sobie wyobrazić bliżej charakter pracy Antoniego Daniela, czy innych skoczków spadochronowych, zrzuconych z podobnymi zadaniami. Przepraszamy, przerwaliśmy panu, panie Daniel. Czy może pan dalej opowiadać?

Nad płonąca Warszawa

W lipcu 44 połączyliśmy się z frontem, a potem ruszyłem pod Lublin do Świdnika. Otrzymałem awans na starszego sierżanta.

Przygotowania do nowego zrzutu trwały do połowy września. Polegały one na zapoznaniu się z kodami, sposobami zakodowania, rozszyfrowania kodu, jak najszybszego nawiązania łączności. Potem skompletowano naszą grupę składającą się z trzech osób: porucznika Bernarda Szurki — dowódcy, porucznika Szewczyka — jego zastępcy, starszego sierżanta Antoniego Daniela — radiotelegrafisty.

Zadanie nasze polegało początkowo na wyładowaniu w okolicy Warszawy, aby zorientować się w sile i położeniu wojsk niemieckich.

A więc odlot. Lecieliśmy dłuższy czas w ciemności. Potem ciemne niebo zaczęło zwolna różowieć. Ledwie zarysowana kreska wyraźnie grubiała i zamieniała się w purpurę. Luna była coraz potężniejsza... Jeszcze kilka minut i całe morze czerwone rozlało się pod nami. Warszawa walczyła i płonęła. Nie byłem nigdy w Warszawie, nie widziałem jej dobrych dni. Ujrzałem ją dopiero w ogniu. Zdawało mi się, że razem z ludźmi tam na dole przeżywam tragedię tego pięknego miasta... Pięknego? Nigdy go nie widziałem, ale byłem pewien, że musi być piękne.

Moje rozmyślenia przerwało nagłe zakolysanie samolotu. Maszyna raptownie skręciła w prawo i pomknęła wzdłuż prawego brzegu Wisły. Na północ. I tu, o kilkadziesiąt kilometrów na północ, przelecieliśmy Wisłę. Nasz samolot nie był ostrzeliwany. Tuż przed skokiem Szurko nawalił spadochron. Pękł pokrowiec i bebeczy, czyli kopuła, zaczęły wychodzić na wierzch. Szurko zawołał „konduktora” i pokazuje mu ten cały gips. A on mówi: „Nu czto. Nic ci nie będzie... Przytrzymaj rękę...” No to dalej, skaczemy. Najpierw poszedł Szurko, potem ja, na końcu Szewczyk. Spadłem na pole. Ten skok był trudniejszy od tego na Lubelszczyźnie: nikt nas nie przyjmował. Zawsze to raźniej jak wiadomo, że na dole czekają na ciebie przyjaciele. Podniosą, pomogą, a tu — sam. Zaryłem nosem w ziemię, jak dzik w żerowisku. Szamotałem się z parasolem, ale w końcu się wyplątałem.

Naszym sygnałem rozpoznawczym był głos pułchacza. Huknąłem więc kilkakrotnie... Jest... Pułchaczem był Szewczyk, a gdzie Szurko? Okazało się, że Szurko wyładował na dachu jakiejś chaty. Wyobraźcie sobie przestkach mieszkańców — jak coś w środku nocy lupnęło im na dachu... Wyskoczyli, patrzają, a tu facet siedzi na dachu ze spadochronem i woła coś do nich. Złaził z dachu i mówi do ludzi: „Gdzie ja jestem, do jasnej cholery?”

Wyładowaliśmy w okolicach Gostynin—Gąbin, na terenach włączonych do Reichu. Poszliśmy w trójkę do lasu, naszego najlepszego sprzymierzeńca i zakopaliśmy spadochrony. Na pniach probiliśmy bardzo się to nam przydało. Muszę dodać, że ubrania mieliśmy cywilne, broń krótką — TT i finki. Poza tym mieliśmy sporo forsy: po kilkadziesiąt tysięcy złotych na głowę. W lasku czekaliśmy do rana.

O 5 rano rozpocząłem pierwszy seans w eterze. Moi towarzysze z niepokojem patrzyli na mnie. 5 rano była umówiona godzina porozumienia się ze sztabem, a w ogóle nawiązywać łączność mogłem co 30 minut i o pełnej godzinie. Najpierw wywoływałem sztab szyfrem. Potem przechodzę na odbiór. Piski, trzaski. Jest! Słyszę mój sygnał wywoławczy. Pytam ich, czy mnie dobrze słyszą, popiramiam i wreszcie wymieniamy sobie nasze hasła. Zasada była taka, że nadawać radiogram można było tylko przez piętnaście minut. Akurat tyle, aby niemiecka stacja pelengacyjna zdażyła nas ewentualnie wykryć, ale za krótko, aby Niemcy mogli nas otoczyć i przychwycić.



PORTRET W CZARNEJ RAMCE

Dokończenie ze str. 15

Powiedziano nam w sztabie, że działać będziemy do końca października. Mieliśmy fałszywe karty i uzgodnioną legendę dla ludności polskiej: „Uciekamy z robót na okopach w Reichu do Generalnej Guberni”. Dla Niemców mieliśmy starannie przygotowaną jeszcze w Brześciu legendę numer dwa: „Jesteśmy kułakami, którzy uciekają przed bolszewikami”.

Tak, a teraz wyrwać! Po wojnie, kiedy odwiedziłem miejsce lądowania, okazało się, że Niemcy następnego dnia zrobili tu ogromną oblawę.

W pasie przyfrontowym

Poszliśmy w kierunku Warszawy. Trzeba było przejść granicę: Reich — GG. Było jakieś dwa-dzieścia może trzydzieści kilometrów. Przebiegała w okolicach Sadnik. Mieliśmy forsę. Kupujemy więc żywność i tak wlecemy się na południe ku Warszawie. W końcu jakiś gospodarz wysłuchawszy naszej wstrząsającej opowieści o ucieczce z robót do domu, wskazuje nam, że jeden gospodarz mieszka tuż przy samej granicy i on może nam najlepiej pomóc. Zastajemy tylko żonę.

„Maż — mówi — przyjdzie dopiero wieczorem”. Dobra, zaczekamy do wieczora. Mówimy mu później w czym rzecz, ale on powiedział, że się boi.

„Niemcy chodzą z psami i pilnują” — tłumaczy. W końcu się zgodził, tym bardziej, że poparliśmy nasze prośby „szelerszącym argumentem”. „Podprowadzę was tylko — powiedział — dalej pójdzicie sami”.

Dobre i to. Postanowiliśmy poczekać do pierwszej w nocy. O tej porze patroli są już zmęczone. Podobno na okręcie też jest taka psia wachta, podczas której spać się chce jak cholera. Na lądzie z pewnością taką godziną jest 1—3 w nocy.

Wychodzimy na pole. Idziemy tyralierą, jeden od drugiego w odległości dwudziestu pięciu metrów, aby w razie salwy Niemcy nie położyli nas wszystkich za jednym zamachem. Wlekliśmy się, jak za pogrzebem.

Idziemy i stajemy. Nadsluchujemy. Idziemy. O rany! Tuż przed nami rozlega się salwa... Karabin maszynowy. Padamy plackiem. Przyklejamy się do ziemi.

Cisza... Nagle nad naszymi głowami zatrzepotały skrzydła. A niech to cholera! To kuropatwy zerwały się wstrząsane naszymi krokami i narobiły rumoru nagłym wzlotem, że wydawało się, iż to gruchnęła salwa karabinu maszynowego. Szliśmy jeszcze ze dwie godziny i w końcu okazało się, że znajdujemy się już osiem kilometrów w głębi GG. Przed nami mający biały domek. Pukamy do okna. Otwiera gospodyni.

„W jakiej miejscowości jesteście? Gdzie tu możecie przemocować?”

Wskazano nam gospodarza o kilka domów dalej. Przyjął nas gościnnie. Najedliśmy się i poszliśmy spać do stodoły. Pod wieczór ruszyliśmy dalej. Zadanie brzmiało jasno: jak najszybciej dotrzeć do Warszawy.

Szliśmy polami do Sochaczewa. Miało to swoje dobre strony. Unikaliśmy bitych dróg, na których łatwiej natknąć się na patrol, a po drugie rozpoczęliśmy już pracę wywiadowczą. Myślicie może, iż wkradliśmy się do sztabu IX armii stojącej nad Wisłą? O nie! Apetyty mieliśmy o wiele skromniejsze.

Idąc polami obserwowaliśmy po prostu system niemieckich okopów polowych i przeciwczołgowych. Robiliśmy szkice, dokąd i skąd biegać, jaka jest ich głębokość, szerokość. Jak są umocnione, w jakim się znajdują staniu. Zatrzymywaliśmy się w zaroślach i nadawaliśmy te dane do sztabu.

Jaką przedstawiają one wartość dla dowódcy dywizji, czy brygady pancernej? Czy wiecie, ile to jest zamieszania i nieprzewidywanych konsekwencji, gdy pancerne kolosy natrafiają na rowy przeciwczołgowe? A tu w czasie ataku nie ma czasu na rozglądanie się, gdzie jest przejście. Rozmieszczenie rowów i umocnień pozwala również na wyciągnięcie wniosków co do zamiarów obronnych przeciwnika, stanu jego przygotowań do walki.

Drogę ku Warszawie zagroziła nam Bzura. Mieliśmy nie skorzystać z mostów czy mostków, gdyż były obsadzone posterunkami, które często rewidowały przechodniów. Nie ma rady: wplaw. Kąpiel odbyła się w nocy. Dla zagrania wody poszedł pierwszy Szurko. Był najwyższy, więc służył za miarkę głębokości. Nie było jednak głęboko — po kolana. Naszą najdroższą rzecz — radio — niosłem wysoko w górę.

I tak szedł żołnierz borem lasem, aż doszedł pod Grodzisk. Tu zatrzymaliśmy się. Pole pokryte zagajnikami. Zabudowania stały na ogół oddzielnie i umożliwiały odseparowanie się, a jednocześnie obserwowanie z daleka, kto zbliża się do chałupy. Mieliśmy więc czas na schowanie radiostacji, czy też usunięcie innych kompromitujących przedmiotów.

20 września zatrzymaliśmy się w kolonii Żdżary, a właściwie na jej skraju. Kolonia ta położona jest między Izdebnem Kościelnym a Grodziskiem, jakieś trzydzieści kilometrów od Warszawy.

20 września otrzymaliśmy radiogram ze sztabu: „Ważne i pilne! Informujcie o ruchach wojsk niemieckich na linii Skierniewice — Warszawa (przez Grodzisk, Milanówek) oraz na linii Warszawa — Poznań (przez Kutno, Sochaczew, Błonie). Nadawajcie codziennie informacje. Ważne i pilne!”

Przez te dwie linie przechodziły transporty niemieckie i te szlaki w znacznym stopniu decydowały o ostatecznych losach miasta. Zatrzymaliśmy się u chłopca Juliana Kuśmierskiego, koło majątku Boża Wola. Odwiedziłem go po wojnie.

Początkowo udawaliśmy, że uciekliśmy z robót i prosiliśmy go, aby nas przenocował. Zgodził się. Kupiliśmy żywność, a żona zaczęła przyrządzać kolację. I tak gadu, gadu, trzeba było zabawić się w śledztwo, aby wybadać, co to za człowiek. I w końcu padło pytanie:

„A co sądzicie, jak przyjdzie Armia Radziecka...”

On: „Żeby tylko przyszła jak najprędzej i tych bandytów przepędziła, dość już tej poniewierki”.

Potem zjawili się synowie Kazik i Edek. Edek powiedział, że jest w AK. Widzieliśmy, że ci ludzie to uczciwi, dobrzy Polacy, mający do nas zaufanie. Nie było więc przeszkod do odkrycia naszych kart. Staremu Kuśmierskiemu powiedzieliśmy, że jesteśmy żołnierzami WP i z jakim zadaniem nas tu przysłano. Ten moment jest bardzo ważny. W ostatniej chwili gospodarz meliny może się zawahać. Samo wyrażenie zgody może być powodowane strachem przed spadochroniarzami. Jedynym autentycznym sprawdzianem jest reakcja kontrahenta na takie oświadczenie. Jak ją ocenić? Trudna sprawa: taka mniej więcej, jak wybranie momentu, aby oświadczyć się pannie. Stary Kuśmierski spojrział na nas i powiedział krótko:

„Dobra... mam dla was miejsce w stodole”. Apartament przeznaczony był właściwie tylko dla mnie. Pozostali moi towarzysze siedzieli w chałupie i czuwali w czasie „transmisji”. Z okien domu Kuśmierskiego widać było wszystko bardzo daleko i to niemal, jak na dłoni.

Radio w stodole

Melina była wykopana w stodole i z góry przykryta słomą oraz sianem. Wejście było od zewnątrz, jak do lisiej jamy. Antenę puściłem po podszyciu stodoły od wewnątrz po dachu, żeby broń Boże nikt jej nie zauważył.

No i rozpoczęła się moja robota w eterze. Szurko i Szewczyk mieli trudne zadanie do wykonania. Sztab żądał obserwacji przez okrągłą dobę. „Tylko siatka może nas uratować” — stwierdzili. Wciągnęliśmy do niej Edka, a potem poszło, jak lawina.

Jak się do robi? Nie ludźmy się, nie ma tu żadnej tajemniczej scenarii. Czasem wystarczy jedno słowo, czasem trzeba poprzec pieniędzmi. A w rezultacie żąda się od agenta nie tak wiele — patrz i melduj: Ile pociągów? Ile wagonów, jaki sprzęt? Nastroje wśród Niemców, nazwy miejscowości.

Punkty kontaktowe były w różnych miejscach: pod glazem, drzewem itp. Meldunki podpisywali pseudonimem. Szurko i Szewczyk organizowali, czuwali, a ja romansowałem w eterze. Wślizgiwałem się do swojej nory na leżać, przy świetle latarki elektrycznej wywoływałem korespondenta ze sztabu. A tam w „centralnej rozgłośni” przy aparatach siedzieli moi radiostuchacze i czekali na audycje z „Małej Ziemi”. Miałem kilka fal, na których mogłem się w każdej chwili porozumieć ze sztabem. O każdej porze nocy i dnia mogłem postukać w klucz i wiedziałem, że po drugiej stronie odezwie się ktoś, kto na mnie czeka.

Przez pięć minut nadawałem swoje hasło, a potem nawiązywała się rozmowa, oczywiście tylko przy pomocy sygnałów Morse'a, bo na fonie nasza stacja była za słaba. Zresztą nie mieliśmy mikrofonu. Rozmawialiśmy przy pomocy „żargonu”, to znaczy umówionych skrótów jawnych, nie stanowiących dla Niemców żadnej tajemnicy. Potem, jak już uzgodniliśmy techniczne warunki odbioru, przechodziłem na odbiór na inną falę, a miałem ich kilka. Na jednej długości wolno mi było nadawać tylko przez piętnaście minut. Potem przecho-

dziłem na drugą falę, nadając hasło tylko przez dwie minuty. Oni też nadawali za pierwszym razem hasło swoje przez pięć minut, a przy przejściu — dwie minuty. Powiedziałem wam, jaka to radość usłyszeć wśród świstów i gwizdów swoje hasło. Potem przechodziliśmy na tajny kod. Radiotelegrafiści podpisywali swoje raporty pseudonimami. Pewnego dnia omal nie wpadliśmy. Niemcy podjechali wozem pelengacyjnym o kilometr od naszego domu. Ja oczywiście o niczym nie wiedziałem, siedziałem w mojej dziupli i nadawałem. „S.O.S.” mojej obstawy i natychmiastowa zmiana fali uratowała nas. Niemcy zgubili ślad i pojechali.

Ostrzeżenie — Niemcy krążą

Dostaliśmy również ze sztabu wiadomość: „Uważajcie. W pobliżu waszego miejsca pobytu krążą niemieckie stacje pelengacyjne”. Skąd wiedzieli? A bo ja wiem. Zmieniliśmy melinę.

Nową przystań znaleźliśmy pod Jaktorowem u rodziny Łęcarskich. Nadawałem tam w chlewiku. Przy pomocy Łęcarskich i Kuśmierskich siatka się rozrastała. Należeli do niej przede wszystkim kolejarze z Błonia, Grodziska, Zyrardowa.

Córka Łęcarskich Filomena jeździła często do Sochaczewa, Milanówka, a także dowiadywała się od znajomych o rozmieszczeniu wojsk niemieckich w okolicznych majątkach. A sztab domagał się: dawajcie wiadomości o najmniejszych nawet oddziałach, transportach. O sile niemieckich garnizonów, jak są uzbrojone, gdzie są pola minowe, typy min, gdzie są zasieki, wysokość, szerokość, rozmieszczenie.

Pewnego dnia usłyszałem niemieckie głosy na podwórzu. Znieruchomiałem, ale słyszę, że gospodarz spokojnie coś odpowiada Niemcom. Okazało się, że przyszli po kontyngent. Wyszędem więc i porozmawiałem sobie z żołnierzem niemieckim, no cóż — to przecież niedawny jeszcze mój „kolega!”

W styczniu 45 roku ruszyły ze wschodu ofensywa. Niemcy uciekają. Z radzieckimi czołwkami połączyliśmy się pod Sochaczewem. Tu rozstałem się ze swymi kolegami. Pojechałem do Warszawy, a raczej do jej ruin, a z Warszawy do Włoch pod Warszawą.

We Włochach zgłosiłem się do radzieckiego komendanta wojennego i mówię mu: „Skoczek, zwiad, radiostacja”.

A on: „Tak, hm, no, no...” — I wsadził mnie do ciupy. Do wyjaśnienia.

W piwnicy siedział już Szlachowski, który był zrzucony pod Frankfurt. Również tak wracał do Batalionu Szturmowego. I tak siedzieliśmy chyba ze dwa tygodnie, podejrzewani o szpiegostwo na rzecz Niemiec. W końcu ogarnęła mnie rozpacz. Mówię do komendanta: „Jedźmy na miejsce, gdzie zostaliśmy zrzućeni, a zobaczycie spadochron. Tam są radzieckie stemple”.

Wsiadłem z kilkoma żołnierzami i pojechałem. Na szczęście zrobiliśmy znaki na drzewach, więc szybko odnalazłem nasze parasole. Nameczyłem się przy wykopywaniu. Ziemia stwardniała. Rosjanie zobaczyli spadochrony i uwierzyli. Wtedy dowiedziałem się od leśniczego, że Niemcy następnego dnia po wylądowaniu zrobili na nas oblawę.

Spotkałem się z Szurką i Szewczykiem, którzy dotarli w Kieleckie, gdzie połączyli się z frontem. Dowiedziałem się, że w międzyczasie awansowałem na podporucznika. Popiliśmy więc zdrowo, a było pod co: „pod nieboszczyka”. Koledzy myśleli, że zgnałem „na szlaku chwały”. Odnaczono mnie Srebrnym Krzyżem Wirtuti Militari. — No i, co chyba też nie było bez znaczenia: urlop. Od razu pojechałem do Katowic. Do rodziców. Myślałem, że nikogo tu nie zastanę. Prawie cztery lata nie było mnie w domu. Co się tam działo... lepiej nie mówić. Zastałem moją fotografię w czarnych ramkach.

Henryk KAWKA
Lucjan WOLANOWSKI

„MISS COUTURE”

A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives) tel. 52-08-86
Siedziba: 199, rue de Paris LILLE tel. 53-10-03

Konfekcja męska, damska i dziecięca
◆ suknie ◆ spódnice ◆ swetry
◆ bluzki ◆ popeliny, tergal i płaszcze
PIERZE ◆ WSYPY ◆ POSZWY ◆ DAMASY

! Ceny
! niskie

Na żądanie wysyłamy próbki

Depuis l'Antiquité la vogue de l'ambre, cet „or de la Baltique”, n'a pas faibli. Les conifères qui poussaient jadis à l'endroit de l'actuelle Baltique ont laissé cette résine fossile à peine plus lourde que l'eau. Les 90% des ressources mondiales d'ambre se situent sur le littoral sud de la Baltique entre Gdańsk et Kaliningrad. A droite de Westerplatte, l'ambre abonde.

La construction du port septentrional pose un problème et l'on étudie actuellement le moyen d'extraire l'ambre à l'aide de motopompes. Cette méthode a été utilisée depuis l'année dernière, illégalement, par ceux saisis de la fièvre de „l'or de la Baltique”. Il suffisait d'utiliser les conditions géologiques. Avec un outillage relativement primitif on pouvait tirer du sous-sol 400 l d'eau à la minute et avec cette eau des „pépites” d'ambre. On pouvait arracher au sous-sol sablonneux jusqu'à 10 kg d'ambre, et la valeur d'un kilo est de 600 zlotys! Maintenant des équipes de géologues forent le sol depuis Krynica Morska jusqu'à Słupsk. Des savants étudient des méthodes pour extraire au mieux l'ambre emprisonné dans le sol et le fond marin. L'ambre de la Baltique va-t-il conquérir le monde une seconde fois? Quand on a vu les magnifiques objets de cette précieuse résine exposés au Musée de l'ambre à Malbork, on est tenté de le croire.

ZŁOTO BAŁTYKU

CZYLI O JANTAROWEJ GORĄCZCE W GDAŃSKU I OKOLICY

SLOWIANIE nazywali bursztyn jantarem i sprzedawali kupcom, którzy duże bryłki surowca lub gotowe wyroby wieźli do imperium rzymskiego, a począwszy od wieku V n.e. także do Bizancjum i dalej do krajów Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Zaleceni bursztynu jest przejrzystość, niewielka twardość pozwalająca na obróbkę i nadanie gotowemu wyrobom charakterystycznego blasku mieniącego się 100 odcieniami. Barwy jego są urozmaicone od białej, poprzez herbaciana, żółta, złocista do zielonkawych i niebieskawych. Często zawiera domieszki obce w postaci naturalnych fragmentów roślin, owadów i innych przedmiotów.

Pod względem chemicznym składa się głównie z węgla, tlenu i wodoru, z nieznacznych domieszek siarki i popiołu. Bursztyn jest pozostałością lasów, które rosły kiedyś na obszarze Bałtyku. Ich szczątki zgromadziły się w geosynklinach czyli wgnieceniach geologicznych. Bursztyn ma ciężar większy zaledwie o jedną dziesiątą od wody i dlatego fale z łatwością go wypłukują, wyrzucając



Tak znajduje się bursztyn w „urobku” pompy wodnej, a tak się bursztyn wydobywa (u dołu).



W odpowiedniej temperaturze bursztyn się spieka i nadaje im odpowiednie kolory i odcienie kolorów

na brzeg. 90 proc. światowych zasobów bursztynu znajduje się na południowym brzegu Bałtyku między Gdańskiem i Królewcem.

Pod Gdańskiem najbardziej znane brzegi bursztynonośne znajdują się z prawej strony Westerplatte. Po każdym sztormie od wieków znajdowano tam na plażach „złoto Bałtyku”. Od roku zbieracze wydobywają bursztyn, używając do tego pomp ssąco-tłoczających. Wypłukują spod warstwy bagna i piasku nośną próchnicę i wybierają cenne, żółte bryłki.

Problem przemysłowego wydobywania bursztynu wynikł jednocześnie z budową nowego rejonu przeladunkowego dla statków 100-tysięczników tzw. Portu Północnego. Pogłębiarki zasypały bursztyn spora warstwą piasku. Obecnie szuka się sposobów technicznych odzyskania „złota Bałtyku” podczas procesu budowy. W bieżącym roku pogłębiarki przerzuci 1,8 mln m³ piasku, w którym występują warstwy bursztynonośne. Specjaliści twierdzą, że z powierzchni każdego 100 m kw. średnio powinno się uzyskać 9 kg bursztynu.

Przed rokiem wybuchła w Gdańsku prawdziwa „gorączka jantarowa”. Ktoś sprytny pomyślał i wykorzystując geologiczne warunki występowania bursztynu postanowił go wypompować spod ziemi. Sprzyjały temu tereny irygacyjne i kanały z wodą. Metoda jest prosta. Motopompa składa się z agregatu i strażackiego węża, do którego końcówki przywiązuje się aluminiowy pret. Na ziemi ustawia się żelazną studzienkę z „rekawami” zakończonymi gęstą siatką. Do jej środka wbija się pret, po którym tłoczona jest woda z szybkością 400 litrów na minutę. W bardzo krótkim czasie strumień wody draży tunel i wbija pret z wężem na głębokość 5—6 m. Stamtąd wypływa woda pod ciśnieniem wyrzucając piasek, próchnicę i bursztyn. Woda z piaskiem ucieka przez sita; pozostają w nich grudki bursztynu od drobnego mialu do dużych brył. Te mają wartość 6 tys. zł za kilogram. Chętnych jest więc więcej, niż miejsca nadającego się do tego typu eksploatacji. Stąd w ubiegłych sezonach letnio-jesiennych panowały tu prawa jak w Klondike. „Gorączkę bursztynową” podwyższał fakt, że szczęśliwi posiadacze pomp potrafili jednego dnia wydobyć po 10 i więcej kilogramów. Ludzie ci — nawiasem mówiąc — niszczyli miejski



Piękno bursztynów, zaskakujące odcienie, marzenie każdej kobiety

system irygacyjny i nie płacili podatków. Dlatego władze zarekwirowały 80 pomp. Nawiasem mówiąc, w nocy przywożono nowe. Od połowy marca tego roku wydobywają już bursztyn ludzie posiadający koncesje i płacący podatki. Chętnych jest w dalszym ciągu kilkakrotnie więcej niż miejsca.

W pierwszej kolejności będą eksploatowane tereny przeznaczone pod budowę urządzeń nowego parku. Władze gdańskie postanowiły wykorzystać zasoby i odkryte nasze możliwości ich eksploatacji. Bursztyniarstwo stanie się przemysłem regionalnym, który powinien znowu, jak przed prawie dwudziestu wiekami, zasłaniać na świecie.

O świetności rzemiosła i sztuki bursztyniarstwa kwitnącej w tym rejonie Europy w wiekach XV—XVIII świadczą znakomite wyroby bursztynowe w Muzeum Zamkowym w Malborku. Gdańsk pragnie nawiązać do tradycji cechu bursztynników, który w XV wieku skupiał 46 mistrzów. Obecnie jest ich znacznie więcej, ale swego cechu jeszcze nie mają. Wyroby z bursztynu chcą wyrabiać także artyści-plastycy. W Gdańsku, Sopocie i Gdyni obróbka bursztynu zajmuje się ponad 500 osób. Większość z nich wyrabia rozchwytywane w Kraju i eksportowane, zwłaszcza do Danii, NRF i USA, ozdoby i przedmioty, które choć ładne, nie są dziełami sztuki.

Na razie nieliczni rzemieślnicy wykorzystują swój talent w pełni. Jerzy Sankiewicz z Sopot wykonał w bursztynie dla Muzeum w Malborku piękną panoramę Gdańska, a także portretowe płaskorzeźby Marii Skłodowskiej-Curie, Mikołaja Kopernika i pierwszego kosmonauty Jurija Gagarina. Ukazał skalę możliwości współczesnych gdańskich bursztynników.

W XVII wieku mieszcianie gdańscy ofiarowali koronę wykonaną z bursztynu przez mistrza Krzysztofa Mauchera byłemu staroście puckiemu, przyjacielowi miasta, a wówczas już królowi Janowi III Sobieskiemu, po wspałym zwycięstwie nad Turkami pod Wiedniem. Odnotowali także w kronikach: „W roku 1688 gdańszczanin Michał Redlin wykonał piękną z bursztynu szkatułę, świecznik 12-ramienny i szachy, za które elektor brandenburski zapłacił 2282 floreny, to jest ponad 8 kg czystego złota”.

Plastycy, rzemieślnicy a nawet chałupnicy obrabiający surowiec bursztynowy otrzymali od władz jeden warunek: dołożenia maksimum starań, by wyrabiać z bursztynu przedmioty artystyczne. Jest to surowiec zbyt unikalny, zbyt piękny, by go przetwarzać w tandetę. Na bursztyn wzrasta moda w krajach europejskich, m.in. we Francji. Z bursztyniarzami podejmują współpracę metaloplastycy i jubilerzy.

Z centralnego budżetu państwowego wyasygnowano pieniądze na poszukiwanie złóż bursztynu na lądzie i w morzu. Ekipy geologów już rozpoczęły wiercenia. Przeprowadzi się je w pasie przybrzeżnym od Krynicy Morskiej po Słupsk. Jeżeli potwierdzą się przypuszczenia, zostanie utworzone wyspecjalizowane przedsiębiorstwo wydobywcze. Naukowcy opracują metody wydobycia bursztynu spod ziemi w pasie przybrzeżnym i z dna morską. Alfons Maśkiewicz z Gdyni zgłosił w Urzędzie Patentowym PRL projekt urządzeń do wydobycia bursztynu metodą hydrodynamiczną z głębokości do 15—20 m oraz platforme ze specjalnymi urządzeniami zasysającymi bursztyn z dna stawów i jezior. Do pracy wydobywczej na morzu trzeba będzie przystosować specjalny statek.

Wojciech ŚWIĘCICKI

Obserwuje się ostatnio w Polsce ciekawe zjawisko: nagradzanie i wyróżnianie ludzi, reprezentantów rozmaitych zawodów i grup społecznych przez samą opinię społeczną. Patronują poszczególnym akcjom i plebiscytem redakcje gazet i radia, organizacje społeczne i młodzieżowe. Są to wybory „bohaterów roku” w poszczególnych miastach i województwach, młodzieżowych bohaterów roku, przodujących rolników, najlepszych mistrzów — wychowawców młodzieży, najpopularniejszych aktorów i najlepszych sportowców. Nagrody są rozmaite, zawsze symboliczne — „złota maska”, „gwóźdź sezonu”, tytuł najlepszego lub nawet... order. Order, w odróżnieniu od nadawanych przez Radę Państwa,

a więc utożsamiany z władzą, przyznawany przez społecznie powoływane kapituły dla kandydatów wysuniętych przez opinię społeczną.

Przedstawić dziś chcemy dwa spośród licznych wyróżnień społecznych — **Order Bryły** i **Order Uśmiechu**. Pierwszy z nich, którego inicjatorem jest tygodniowy dodatek do dziennika „Życie Warszawy” — „Życie i Nowoczesność”, wręczany jest ludzimi dzielnym i wytrwałym, związanym w jakiś sposób z nauką i techniką. Drugi, któremu patronuje inny warszawski dziennik — „Kurier Polski”, przyznawany jest przez same dzieci swoim przyjaciołom. Przedstawiamy jednocześnie niektórych laureatów tych orderów.

ORDER BRYŁY

O scharakteryzowanie celów i założeń Orderu Bryły zwróciliśmy się do szefa „Życia i Nowoczesności”, znanego publicysty i pisarza, popularyzatora wiedzy i osiągnięć naukowych, **STEFANA BRATKOWSKIEGO**. Oto jego wypowiedź:

ORDER BRYŁY — to order za dzielność i wytrwałość. Wyraz szacunku i uznania opinii publicznej dla tych, spośród ludzi nauki i techniki, którzy są nie tylko twórcami nowych idei i nowych rozwiązań, ale także chcą i umieją walczyć o realizację postępu w praktyce — dla dobra Kraju. Ludzie propagujący to co nowe, często napotykają na brak zrozumienia, obojętność, przeciwności. Dla tych, którzy się nie poddali, nie zrezygnowali, umieli wcielić swoje idee i projekty w życie — przeznaczony jest właśnie ten order.

Patronem orderu jest **Stefan Bryła**, wybitny polski, w latach międzywojennych, konstruktor i naukowiec o temperamencie inżyniera-praktyka, badacza, organizatora, wychowawcy i... wojownika. Pionier — w skali Europy — spawanych konstrukcji mostowych zamiast nitowanych. Jeden z twórców wielkiego przełomu, który się dokonał w europejskiej technice w końcu lat dwudziestych. Był autorem pierwszych w Europie przepisów spawania w budownictwie i mostownictwie (1928) i twórcą również pierwszego w Europie mostu spawanego (1929) na rzece Słudwi pod Łowiczem, na trasie z Warszawy do Poznania. O tę rewolucję w technice walczył z niezwykłą energią; w swych wykładach na Politechnice Warszawskiej, w pełnych artykułach w prasie, w memoriałach przedkładanych biurokratyzowanemu urzędowi tłumaczył, przekonywał, atakował konserwatyzm, uprzedzenia, szablony.

Podczas okupacji hitlerowskiej prof. Stefan Bryła nie przestał kształcić przyszłych inżynierów — prowadził dalej nauczanie potajemnie. Organizował w podziemiu prace nad sporządzeniem wielkiej serii podręczników, które będą potrzebne młodzieży tuż po wojnie, przygotowywał plan odbudowy Warszawy. Rozstrzelany został przez Niemców w grudniu 1943 r. w masowej egzekucji pod murami zajezdni tramwajowej w Warszawie.

Pomysł stworzenia Orderu Bryły narodził się w redakcji „Życia i Nowoczesności” — dodatku do „Życia Warszawy” poświęconemu nauce i technice. Kilku dziesięciu najbliższych współpracowników tego dodatku — profesorów, inżynierów, dziennikarzy — utworzyło Kapitułę Orderu. Kandydatury nadsyłali czytelnicy.

Spśród ponad 30 kandydatów Kapituła wybrała siedem. Oto pierwsi Kawalerowie Orderu Bryły.

Walery Goetel. Geolog. Od 1919 profesor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i długoletni jej rektor. Prof. Goetel przez całe życie walczył o ochronę polskiego krajobrazu, polskiej przyrody. Jest współtwórcą Tatrzańskiego Parku Narodowego i inicjatorem pogranicznych, polsko-czechosłowackich rezerwatów w Tatrach i Pieninach. Jego dewiza brzmi: „Co technika zepsuła, technika powinna naprawić”.

Jacek Karpiński, wybitny konstruktor, twórca maszyn cyfrowych. Jest autorem wielu pionierskich rozwiązań konstrukcyjnych w dziedzinie elektronicznych maszyn analogowych i liczących.

Edward Lipiński, 83-letni nestor nauk ekonomicznych, wychowawca całych pokoleń ekonomistów polskich, autor wielu książek, studiów i artykułów prasowych. Jego najnowsza książka — „Karol Marks i zagadnienia współczesności”, która ukazała się przed rokiem, od razu stała się bestsellerem i przedmiotem ożywionych dyskusji i polemik, wykazując, że w myśl profesora pozostała jak

zwykle zadziorna i inspirująca.

Szczepan Pieniążek od paru dziesiątków lat działa wytrwale na polu popularyzacji nowoczesnego sadownictwa. Prof. Pieniążkowi i jego współpracownikom ze słynnego Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach przypada w wielkiej mierze zasługa stworzenia z Polski „kraju kwitnących jabłoni”.

Jan Szczepański, socjolog, wieloletni przewodniczący Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologów. Ten uczony światowej sławy nie zamyka się w kręgu teoretycznych badań, ale bierze niezwykle aktywny udział w życiu społecznym i politycznym kraju. Pod jego kierownictwem pracuje obecnie Komitet Ekspertów przygotowujący wielką reformę systemu oświaty w Polsce.

Jan Wyżykowski, odkrywca „wielkiej miedzi” w Polsce. Ryzykując całą karierę zawodową, wbrew powszechnemu już przekonaniu o fiasku poszukiwań, doprowadził je do końca uwieńczonego wspaniałym sukcesem.

W tym towarzystwie uczonych i inżynierów znalazł się też... rolnik. Jest nim **Jan Stach**, mieszkaniec podgórskich okolic nad Jeziorem Rożnowskim. Kiedy budowano ten sztuczny zbiornik wodny na Dunajcu, woda odciełała drogę prowadzącą do kilku-nastu gospodarstw. Produkty rolne na sprzedaż trzeba było nosić na plecach, lub wozic łódką przez jezioro. Stach namawiał sąsiadów do podjęcia wspólnej pracy przy budowie drogi. Nie chcieli, uważali, że koszt będzie zbyt duży. I wtedy Stach sam zbudował, według wszelkich zasad sztuki kamienny most przez głęboki parów — most 15-metrowej wysokości, 12-metrowej szerokości. Pracował cztery lata z niezwykłym uporem, dzień w dzień, a często i po nocach — i dopiął swego. Jego niezwykły most stał się symbolem protestu przeciw ludzkiej obojętności.



Jest energia w człowieku

JAN STACH, chłop na sześciu hektarach ziemi co nad Jeziorem Rożnowskim leży, stał się sławny w całej Polsce. Nakręcono o nim film krótkometrażowy, a Kapituła Orderu Bryły obdarzyła go tym wyróżnieniem. Ostatnio dostaje listy z całego Kraju, zaadresowane często tylko tak: „Jan Stach nad Jeziorem Rożnowskim. (Ten, który sam zbudował most)”.

Bo Jan Stach rzeczywiście sam jeden zbudował most. Kosztowało go to cztery lata wyteżonej pracy. Sam bohater tak skomentował to wydarzenie:

— *Moja, to była taka pierwotna praca. Bo jest energia w technice, ale i jest energia w człowieku.*

„Wyobrażam sobie Jana Stacha — pisze o nim reporter — jako kogoś na wzór starego Boryna, młikowego, ponurego, pochłoniętego jedną tylko myślą — w tym wypadku tylko o swoim moście. Kiedy sąsiadka, która pytałem o drogę do gospodarstwa Stacha, opowiedziała mi, że na jej prośby o zaprzestanie całej roboty, on tylko się śmiał, zrozumiałem jako przenośnię. Tymczasem to „śmiały się” było doświadczenie. Stach jest bardzo wesoły, bardzo rozmowny, bardzo — tak to trzeba określić — młodzińczy. Oprawdza po swojej

budowie opisując z wielkim zapalem i przebieg pracy, i gatunki skał (ta świadczy, że tu musiał być wulkan, a ta znów, że woda — bo tak kamień obtoczyła i wyszlifowała), i plany na przyszłość — bo chce most podnieść, zbudować nad nim balustradę, drodze dać taką nawierzchnię, żeby nawet czoiği mogły przejechać...”.

Przez wybudowanie zapory w Rożnowie, wody zalały jedyną drogę prowadzącą do gospodarstwa Stacha. Z jednej strony był głęboki jar z potokiem płynącym na dzień z drugiej zaś pola sąsiadów. Ci niezbyt chętnie patrzyli na to, że Stach przejeżdża przez ich pola i miedze.

— *Ten po dwa złote chciał za każdym razem, ten po pięć, ten dziesięć* — mówił później Stach — *nie miałem ani ścieżki, wszystkim na plecach nosił i łódką za wodę woził, a jak fala była, to mi nie jechał, bo miłsze człowiekowi życie niż śmierć...*

Nie zgodzili się też sąsiedzi na wspólną budowę drogi i wysmiewali się z niego, gdy sam się zabrał do roboty. Stach mógł się wprowadzić procesować o prawo przejazdu, bo mu się takie należało, wybrał jednak inne rozwiązanie: postanowił zbudować most przez jar.

Dziś most ten już stoi. Ci co go widzieli, uważają wprost za niewiarygodne, aby tak wielką budowę mógł przeprowadzić jeden człowiek. Setki metrów sześciennych kamieni trzeba było tu zwałić, wszystkie ułożyć i cementem zespoić. Kiedy dnia zabrakło, pracował także w nocy. Latem i zimą bez wytchnienia. A przecież praca przy sześciohektarowym gospodarstwie, przy tym wzorowo prowadzonym, też wymaga niemałych wysiłków.

Inżynierów, którzy oglądali dzieło Stacha zdumiewa inny fakt: most zbudowany został według wszelkich reguł sztuki budowlanej, jakby go zaprojektował specjalista.

Stach dokonawszy najważniejszego, nie pozostał pracujący. Tuż za mostem rozwidla się dwie nowo wybudowane drogi — jedna do domu Stacha, druga do sąsiedniego gospodarstwa. Sąsiad, starszy człowiek, nie mógł pomagać Stachowi, ale życzliwie odnosił się do jego przedsięwzięcia. A nad jeziorem ma zamiar wybudować parking dla turystów przyjeżdżających nad jezioro.

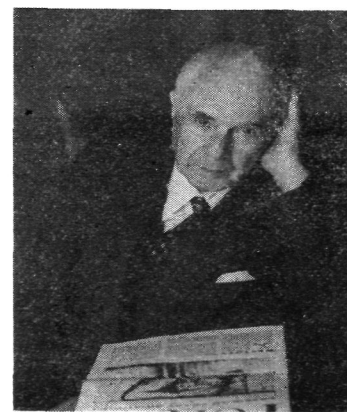
Jest więc energia w człowieku...

JESTEM OPTYMISTĄ

Profesor doktor Walery Goetel jest specjalistą w dziedzinie geologii. Ale jest jednym z twórców zupełnie nowej dziedziny wiedzy: zoologii, od greckiego „sozo” — „chronię, ratuję”, nauki o tym, jak uchronić człowieka przed skutkami, jakie niesie ze sobą współczesna cywilizacja.

— *Jestem optymistą* — mówi Profesor — *całe życie nim byłem, musiałem nim być, inaczej niczego nie udatoby mi się zrobić. Byłem nim nawet w najgorszych latach wojny. Przychodził do mnie mój przyjaciel, Juliusz Osterwa, zupełnie załamany po upadku Paryża. Przychodził Władysław Schaefer. Byli zgnębieni. A ja byłem niezachwianym optymistą. Dziś ja piszę pamiętniki, trzy grube tomy. I to będzie się nazywało: „Pod znakiem optymizmu”.*

Profesor Walery Goetel nie miał łatwego życia. Urodzony w 1889 roku w Suchoj niedaleko Krakowa, w wieku lat 14 utracił ojca — kolejarza i



musiał stać się samodzielnym człowiekiem.

— *Ojciec zmarł, została matka — wspomina — i żeby w ścianę. Dano jej tylko małą odprawę, musieli zająć się krawiectwem. Więc jak już miałem czternaście lat, trzeba było samemu stanąć na nogach*

Interesowały go wtedy zabytki, myślał, żeby pójść na architekturę, zająć się konserwatorstwem. Któregoś dnia kopiował łacińskie napisy na chrzcielnicach w Kościele Mariackim w Krakowie. Podszedł do niego ksiądz i zagadnął łamaną polszczyzną. Był to Francuz czasowo przebywający w Krakowie, który we Francji miał w parafii polskich robotników i chciał się nauczyć polskiego języka. Zaproponował Goetlowi, żeby go uczył. To były jego pierwsze lekcje, potem przyszły inne, szczególnie wiele lat trwające lekcje w domu Jacka Malczewskiego. Tak udało się mu ukończyć gimnazjum, potem podjął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, następnie na uniwersytecie w Wiedniu, gdzie w wieku 23 lat zrobił doktorat z geologii. Kiedy miał lat 26 był już docentem, 30 lat — profesorem nadzwyczajnym. Mając 32 lata był

Dokończenie na str. 20

Uśmiech za uśmiech

Dwa razy w roku zbiera się w Warszawie Kapituła Orderu Uśmiechu — jedynego na świecie odznaczenia, które dorosłym nadają dzieci. Ordery przyznawane są w pierwszy dzień wiosny i w ostatni dzień lata.

Uroczystość nadawania Orderów jest zawsze niezwykle radosna, nie może być zresztą inna, jak bowiem w innych okolicznościach brzmiałby tekst aktu dekoracji: „W imieniu dzieci polskich Kapituła Orderu Uśmiechu postanowiła nadać Ci najstoneczniejsze z odznaczeń. Pasuję Cię na Kawalera Orderu Uśmiechu i żądam byś na przekór wiatrom i burzom był zawsze pogodny i innym pogodę przynosił”.

Inicjatorem i opiekunem tej akcji jest popularna gazeta „KURIER POLSKI”. Jak zrodził się pomysł Orderu Uśmiechu? Kto i za co otrzymuje to odznaczenie? Z tymi pytaniami zwróciliśmy się do redaktora naczelnego „Kuriera Polskiego” — Cezarego Leżeńskiego.

ORDER UŚMIECHU jest jednym z najmłodszych orderów w historii odznaczeń. Istnieje dopiero od roku 1967. A jak do tego doszło? Tu muszę wykroczyć nieco poza ramy naszej redakcji. Pomysł bowiem nie narodził się wśród dorosłych. Inicjatorami takiego odznaczenia są dzieci. Znana autorka wierszy, przedstawień i telewizyjnej audycji na dobranoc „Jacek i Agatka” pani **Wanda Chotomska** w czasie jednego z licznych spotkań autorskich przebywała w sanatorium dziecięcym w Konstancinie. Chore, przykute do łóżek dzieci, chętnie rysują; uwagę pani Chotomskiej zwróciły rysunki jednego z chłopców malującego z zapalem ordery. Z wyjaśnień wynikało, że powstaje order — podarunek dla lekarza, który szczególnie dużo troski poświęcił swoim pacjentom. O zdarzeniu tym p. Chotomska opowiedziała w redakcji. Reszta była tylko kwestią czasu.

— Pomysł dany dzieci, a jak potoczyły się dalsze losy tego pierwowzoru orderu, wtedy gdy inicjatywę przejęli dorośli?

— Nie, nikt z dorosłych nie przejął inicjatywy, to właśnie jest najciekawsze w całej pięcioletniej historii tego odznaczenia. My, a właściwie Kapituła Orderu jesteśmy tylko wykonawcami woli dzieci. Dorośli służą pomocą i nadają imprezie formy organizacyjne. To wszystko.

— Kto jest autorem projektu orderu — stylizowanego uśmiechniętego słońca?

— Również dzieci. Gdy tylko na naszych łamach zaczęliśmy propagować pomysł nadawania takiego odznaczenia, równolegle został rozpisany konkurs rysunkowy. Nadeszło kilka tysięcy prac, większość, co charakterystycznie, przedstawiała w rozmaitych kombinacjach słońce. Pierwsze miejsce w konkursie zdobyła **Ewa Chrobak** z Głucholazów. Tak więc ona jest autorem Orderu. I tym razem dorośli tylko pomogli piaskie (specjalne) opracowanie graficzne dla medaliera zrobił pan **Szymon Kobylński**, a wykonawstwa projektu w medalu podjął się pan **Gorol**.

— Czy istnieje jakiś regulamin określający zasady nadawania Orderu Uśmiechu?

— Znowu zmuszony jestem powiedzieć — nie. Istnieją tylko pewne ogólne założenia dotyczące — za co; nie ma natomiast ograniczeń: komu oraz ile. Kawalerem Orderu może zostać każdy, kto niesie dzieciom radość i uśmiech niezależnie od pełnionych obowiązków.

— Nagradzana jest zatem dobroć?

— W zasadzie tak. Ale ta mądra dobroć, która niesie ze sobą również jakieś wartości życiowe, poznawcze, kształtujące osobowość. Dlatego wśród nagrodzonych dotychczas tak wielu pisarzy popularyzatorów poszczególnych dziedzin wiedzy, wychowawców, nauczycieli, działaczy społecznych. Któż zresztą lepiej niż dzieci, najbardziej bezstronni sędziowie i najwyżej odbierający poczynania dorosłych wie, kto przysparza im najwięcej ciekawych przeżyć, radości i dobrego uśmiechniętego dzieciństwa.

— Nagradzają dzieci i one właśnie muszą przedstawiać swoich kandydatów, wobec tego najwięcej głosów mają z pewnością osoby znane ogółowi dzięki radiu, telewizji, książkom itp. A inni kandydaci, którzy z racji swojej pracy znani są tylko nielicznym, ci chyba przepadają w konkurencji.

— Znowu nie. Najlepiej odzwierciedli to lista osób pasowanych już na Kawalerów Orderu Uśmiechu. Są na niej nazwiska osób nie znanych dotąd ogółowi. Świadczy o

tym chociażby zawody. Kawalerami Orderu są kowal i górnik, bosman i wychowawczyni z małej wioski. Kapituła Orderu, która rozpatruje listy od dzieci przedstawiające ich kandydatów składa się z ludzi szczególnie dzieciom oddanych i mających z nimi liczne kontakty. Należą do niej p. **Ewa Szalburg-Zarebina** jako przewodnicząca, przedstawiciele organizacji młodzieżowych, Towarzystwa Przyjaciół Dzieci oraz twórcy m. in. **Szymon Kobylński**, **Janusz Przymanowski**, **Jerzy Ludwik Kern** i inni. Ci ludzie bardzo wnikliwie i dokładnie analizują każdy list. Już z jego tonu i sformułowań można wysnuć



Jak Pan to robi?

SAM gospodarz otwiera mi drzwi. Dobrze znany głos z radia, dobrze znana sylwetka z TV, a jednak zaskoczenie. W moich wyobrażeniach wspaniała broda pana Szymona Kobylńskiego była czarna, wita mnie natomiast właściciel wypielęgnowanej ale rudej brody.

— Skoro mamy mówić o mnie, zacznijmy wobec tego od brody. Wiąza się z nią dwa dość ciekawe epizody. Pierwsze niezwykle zdarzenie miałem w lesie. Przyroda, a szczególnie zwierzęta, zajmują w moim życiu sporo miejsca. Wszystkie wolne chwile staram się spędzać w najbliższym z nimi kontakcie, a jednocześnie prowadzę obserwacje i graficzne zapiski. Otóż w czasie jednej z takich wędrówek spotkałem się oko w oko z wiewiórką, która widocznie zafascynowana kolorem mojej brody, ufała, że spotkała swego towarzysza, bez lęku podbiegła do mnie. Dopiero w ostatniej chwili ostrzegł ją instynkt.

Drugie zdarzenie to filmowa rola mojej brody. Za temat jednej z moich audycji telewizyjnych obrałem ubiory hetmańskie w dawnej Polsce. Aktor, który miał mnie w tym przedsięwzięciu wspomagać, tego dnia zachorował. Strój hetmański przygotowany, audycja za chwilę. Przebiegam się więc sam i okazuje się, że sztuczna przygotowana broda jest zbędna. To moja właśnie jest typowo hetmańska broda zgodną z ówczesnym modnym kształtem i długością.

— Przed kamerami występuje Pan od dawna i prowadził Pan sporo cyklicznych audycji, programów dla młodzieży.

— Tak, pierwsze były audycje dla dzieci, z tych mogę wymienić najwcześniejszy cykl noszący nazwę „Dwaj duzi małej Zuzi”, który potem przerodził się w telewizyjny „dobranocki”, czyli opowiadane i rysowane historie psiego żywota — Czikuni. To dla najmłodszych.

wiele wniosków, a dla pełnego wyeliminowania pomyłek czy niejasności często jedzie na miejsce jeden z przedstawicieli Kapituły. Raport z „wizji lokalnej” staje się dodatkową pomocą w ustaleniu werdyktu. Ale muszę tu zaznaczyć, że ogromnie rzadko zdarzają się rozbieżności między tym, co napisały do nas dzieci, a stanem rzeczywistym. Najlepszym dowodem jest liczba 66 Kawalerów Orderu Uśmiechu.

— Dorośli, którzy otrzymali Order są z niego bardzo dumni, przechowują go pieczołowicie, często się nim chwają. Jak dzieci oceniają ten przez nich nadawany symbol uznania?

— Równie entuzjastycznie jak dorośli. Świat dziecka sterowanego nakazami, zakazami, poleceniami dorosłych nagle pęka. Następuje moment wyrównania władzy z dorosłymi. Daje to dzieciom ogromną satysfakcję, że to one mogą w sposób tak uroczysty przekazać swą wdzięczność, że to one podejmują niczym nie skrupowaną decyzję. Jest to — wydaje mi się — niezwykle ważny aspekt w procesie kształtowania charakterów i osobowości.

— Czikunia i jej przygody stały się bardzo popularne, uczyły właściwego stosunku do zwierząt, propagowały odpowiednie formy zachowania i... pozwały podziwiać Pana kunszt rysownika.

— Cokolwiek robię, staram się, aby miało to walory wychowawcze, a z drugiej strony przyczyniało się do poznawania świata, zdobywania o nim wiadomości.

— Zapewne tymi przesłankami kierował się Pan przygotowując następny cykl audycji, który obejmował bardzo wdzięczny temat — mitologię oraz trzeci z serii: historia militariów...

— Tak. Te audycje miały, w moim przynajmniej zamierzeniu, pobudzić wyobraźnię młodych odbiorców, zachęcić ich do lektur. Przecież to wspaniała nauka, a jak inaczej odbierana, gdy „badaczem” można stać się z własnej woli a nie z przymusu „bo zadali w szkole”. Zresztą muszę tu zdradzić, że zarówno mitologia, jak i militaria, to moje prywatne hobby.

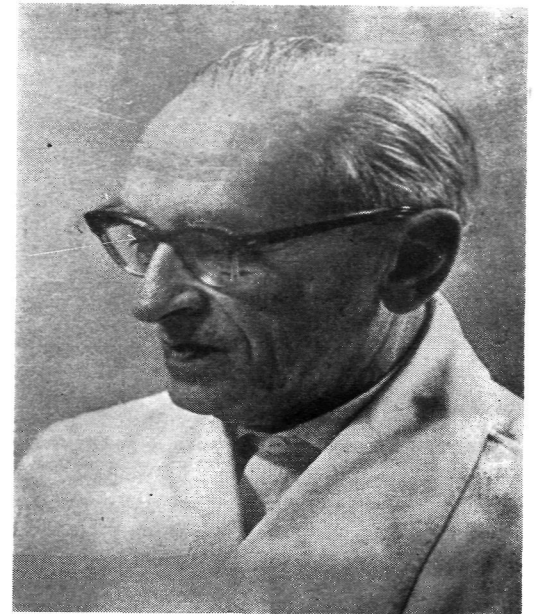
Istotnie w mieszkaniu państwa Kobylńskich stara broń, miniatury zbroi, szyszaków zdradzają zainteresowania gospodarzy. Jednak mitologia i militaria to tylko część zainteresowań. Jest jeszcze historia sztuki — pogadanki radiowe prowadzone przez Szymona Kobylńskiego, równie plastyczne jak rysunki, przyciągały do radiodbiorników rzesze młodych słuchaczy, jest przyroda i oczywiście plastyka, ale u podstaw tych różnorodnych zamiłowań leży pasja zgłębiania świata, zdobywania maksimum wiedzy i przekazywania jej młodszemu i starszemu odbiorcom sztuki naszego roznówecy.

Liczne audycje, publikacje, wystawy i ilustracje książkowe sprawiły, że pana Szymona Kobylńskiego nie potrzeba przedstawiać żadnemu dziecku w Polsce. Prze-

Dokończenie na str. 20



Pan Kobylński przedstawia na tym rysunku: psa Czikunię, kawke i jeża, bohaterów jego opowieści dla dzieci. U góry: Order Uśmiechu



LEGITYMACJA NUMER 1

NAZWISKO profesora doktora **Wiktor Dega** znajduje się na początkowym miejscu długiej listy odznaczonych. Jest on posiadaczem Orderu Uśmiechu, a w załączonej doń legitymacji widnieje cyfra 1. Nie bez przyczyny ten starszy, znany i szanowany w poważnych kręgach naukowych pan zajął tak szczególne miejsce w sercach i umysłach dzieci. Wszak zasługa to Profesora, że setki tysięcy maluchów mogło o własnych siłach opuścić łóżka, poruszać się bez pomocy inwalidzkich wózków czy kul. Dzięki niespożytej energii, ogromnej wiedzy i talentowi prof. Dega opanowano w Polsce straszliwe skutki choroby Heinego-Medina. Zwrócił on uwagę na rolę i opracował nowe zestawy ćwiczeń rehabilitacyjnych przywracających utraconą za sprawą choroby władzę w bezwładnych kończynach.

Niezwykle cenne są również badania profesora nad zwłknięciem stawu biodrowego u noworodków. Z jego to inicjatywy rozpoczęto na szeroką skalę stosować badania każdego nowego narodzonego dziecka właśnie pod tym kątem. Ilu w ten sposób uniknęło operacji, ilu zmartwień zaoszczędzono matkom, ilu cierpień malcom — tego nikt nie jest w stanie zliczyć. Nie wyliczył się także, ile, dzięki pracy i wytrwałości Profesora, uśmiechów zakwitło na buziach dzieci, jak często przerażenie i rozpacz zamieniały się w radość i pogodę.

Wiktor Dega piastuje wiele odpowiedzialnych stanowisk, pełni wiele najwyższych funkcji. Jest przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Walki z Kalectwem, ekspertem Światowej Organizacji Zdrowia, członkiem Polskiej Akademii Nauk oraz profesorem Akademii Medycznej w Poznaniu. Poza tym zawsze znajduje czas na pracę społeczną. Nigdy do małych pacjentów nie pochodzi z zasmuconą twarzą. Często, przełamując zmęczenie, potrafi dla każdego z nich znaleźć inny rodzaj ciepłego, serdecznego uśmiechu jedynającego mu sympatię, przywracającego otuchę. Potrafi też, co przy różnicy wieku (Wiktor Dega urodził się w 1896 roku) jest sztuką, znaleźć z dziećmi wspólny język.

Za zasługi Polska uhonorowała Profesora wieloma odznaczeniami, m. in. Orderem Budowniczych Polski Ludowej, w 1968 r. prof. Dega otrzymał nagrodę państwową, polskie dzieci ofiarowały mu co miały najlepszego — Order Uśmiechu. O stosunku profesora do życia, o tym, jak wielkim i wspaniałym jest człowiekiem najlepiej świadczy jego słowa, gdy dziękując za otrzymany Order Uśmiechu powiedział... „mimo iż posiadam najwyższe odznaczenia państwowe, wiadomość o mianowaniu mnie Kawalerem Orderu Uśmiechu przyjąłem z ogromnym wzruszeniem, ponieważ jest to decyzja dziecięcych serc. Wielka jest siła dzieci skoro uczyniły mnie kawalerem, chociaż jestem żonaty. Ten order wymaga przyrzeczenia, że będzie się zawsze pogodnym, że będzie się wywoływał uśmiech u innych, uśmiech, którego tak nam w życiu potrzeba”.

O D czasów starożytnych i średniowiecza do lat czterdziestych XIX wieku łączność niewiele się zmieniła. Wiadomości były przekazywane przez gońców, przez gołębie pocztowe, systemem ogni zapalanych w różnych punktach, za pomocą sygnałów z broni palnej, rakiet sygnalizacyjnych, itp. Od XVIII wieku wprowadzono w Europie telegraf świetlny, zwany też optycznym.

Wszystkie te środki łączności miały wiele wad. A więc musiało upłynąć sporo czasu, aby wiadomość dotarła do adresata; niektóre metody przekazu mogły być stosowane tylko na krótkich odległościach, jeszcze inne tylko przy sprzyjających warunkach atmosferycznych. Toteż zarówno władze cywilne, jak i wojskowe nie ustawały w poszukiwaniach lepszych sposobów łączności. Przed odkryciem zjawiska elektryczności wszelkie projekty sprowadzały się do modyfikacji znanych dotychczas systemów. W Polsce również pojawiło się kilka pomysłów z tego zakresu. Jeden z nich, z roku 1787, ze względu na jego dużą oryginalność wart jest przypomnienia.

O autorze pomysłu — **Józefie Kromerze**, niewiele da się powiedzieć. Opis swego wynalazku zatytułowany „**Uwaga nad użyciem światła okazująca sposób, jak można w godzinie o kilkadziesiąt mil i więcej donosić wszelkie wiadomości i odbierać na nie odpowiedź...**”¹⁾ ofiarował Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu podczas pobytu króla w Krakowie w czerwcu 1787 r. Zapewne akt ten minął bez większego echa, gdyż w dość dokładnym dziarzu pożytku Stanisława Augusta w Krakowie, napisanym przez Filipa Lichockiego²⁾ nie ma na ten temat wzmianki.

Józef Kromer musiał być skromnym mieszczaninem krakowskim, skoro nie znajdujemy go w rejestrze przedstawicieli władz miejskich dopuszczonych do ucaławiania ręki królewskiej 19 czerwca



Polski projekt alfabetu Morse'a

ca 1787 r. Nie było go też na wystawnym obiedzie wydanym w dniu następnym na cześć monarchy, mimo że zaproszono wówczas ponad 400 przedstawicieli stanu szlacheckiego i mieszczańskiego.

Projekt Kromera jest próbą połączenia i ujednolicenia dwóch systemów porozumiewania się: za pomocą ogni rozmieszczonych w określonych punktach i telegrafu optycznego. Kromer zaznacza, że dzieło swe podjął dla uczczenia Najjaśniejszego Króla Pana Mego Miłościwego, Nauk Ojczystych Odnowiciela. Pomysł zawdzięcza wyłącznie własnej pracy i rozmyślaniam, co daje mu przekonanie o wysokiej oryginalności dzieła.

Na pierwszy rzut oka system wydaje się dość prosty. W sześciu oknach jakiegoś budynku lub na trzech wysokich drzewach nieco oddalonych od siebie należy umieścić sześć źródeł światła, które w stosunku do siebie pozostawałyby jak dwa przylegające kwadraty (!!!). Źródła światła — płonące ogniska — powinno się umieścić na możliwie najciemniejszym tle, by w ten sposób zwiększyć widoczność ognia. Po pokryciu całego kraju siecią takich punktów, wiadomości miały być przekazywane od jednej stacji do drugiej. Zasady działania stacji wyglądały następująco: każdy z sześciu otworów, mieszczących nie wygasające nigdy ognisko, zostanie zaopatrzone w specjalne drzewiczki lub zastonę, które — uruchamiane dźwignią — będą odsłaniały bądź zasłaniały ogień. Aby przyspieszyć przekazywanie tekstu, autor projektował wyposażenie każdej stacji w system 24 klawiszy, z których każdy poruszałyby kilka dźwigni. Uruchomienie jednego klawisza miało ustawiać zastony w poszczególnych otworach w ten sposób, żeby powstała określona figura według systemu znaków umownych, odpowiadających poszczególnym literom alfabetu łacińskiego.

L. P.	Znaki świetlne	Litery alfabetu	L. P.	Znaki świetlne	Litery alfabetu
1	.	a	13	...	n
2	..	b	14	...	o
3	...	c	15	...	p
4	..	d	16	.	q
5	..	e	17	...	r
6	...	f	18	.	s
7	...	g	19	...	t
8	..	h	20	..	u
9	...	i	21	..	w
10	.	k	22	..	x
11	.	l	23	...	y
12	..	m	24	..	z

Dla oddzielenia poszczególnych wyrazów transmitowanego tekstu autor przewidział zamknięcie wszystkich otworów na nieco dłuższą chwilę. Natomiast rozpoczęcie transmisji miało być sygnalizowane przez otwarcie wszystkich otworów na tak długo, aż sąsiednia stacja potwierdzi gotowość do odbioru wiadomości. Litery a, e, i, n, z, z, których nie zawiera alfabet łaciński, miało sygnalizować przez powtórzenie liter macierzystych (a, e, l, n, z).

System Kromera dopuszczał też możliwość stosowania różnych szyfrów, znanych tylko nadawcy i odbiorcy tekstu. Najbardziej nadawały się tu do zastosowania szyfry cyfrowe, polegające, według Kromera, na zastępowaniu liter odpowiednią cyfrą, według ustalonego przez korespondentów kodu.

Realizacja projektu wymagała wykształcenia licznej kadry obsługującej stację. Szybkość przekazywania informacji zależała przede wszystkim od jej biegiłości, przy czym autor projektu nie wątpił, że w ciągu godziny można przekazać wiadomość na odległość kilkudziesięciu mil (1 mila ok. 7 km — M. D.). W ten sposób w ciągu kilku godzin ważne wieści i rozporządzenia miały dotrzeć do najdalszych zakątków kraju. System ten mógł być stosowany zarówno w czasie pokoju, jak i podczas wojny, przy czym w drugim wypadku otwierało się pole do używania szyfrów w celu zachowania tajemności informacji.

Pomysł Kromera nie został nigdy wykorzystany w praktyce. Przede wszystkim na przeszkodzie stanął koszt tego przedsięwzięcia. Skarb Rzeczypospolitej pod koniec XVIII wieku nie mógł sobie pozwolić na wydatek zorganizowania na terenie całego kraju licznej sieci „stacji przekazywanych”. Plan zresztą wymagał od razu modyfikacji, gdyż wariant przedstawiony przez Kromera nie przewidywał łączności we wszystkich kierunkach. System dźwigni, konieczny do szybkiego manewrowania poszczególnymi źródłami światła, był zbyt skomplikowany na ówczesne możliwości techniczne. Ponadto każda stacja musiałaby trzymać spory zapas paliwa. Praktycznie w grę wchodziło tylko drewno, o które nie w każdej okolicy było jednak łatwo.

Tak więc wynalazek Kromera pozostał jedną z wielu ciekawostek technicznych, których nigdy nie próbowano zastosować w praktyce.

Marian DROZDOWSKI

¹⁾ Mówią Wieki nr 4/72.

²⁾ Dziarzu Przyjazdu Najjaśniejszego Stanisława Augusta Króla Polskiego, szczęśliwie nam teraz panującego, do Miasta Stołecznego Krakowa po widzeniu się z Józefem II, Cesarzem Rzymsko-Niemieckim i Katarzyną II Imperatorową Rosyjską na Granicy Państwa Swojego, spisany w Krakowie 1787.

Jak Pan to robi?

Dokończenie ze str. 19

ciwnie, gdy ktoś nieświadomy popularności artysty próbuje to zrobić, młodzież czuje się urażona. Książki ze wspaniałymi rysunkami pana Kobylińskiego czytali chyba wszyscy w Polsce. A ile te ilustracje dawały wrażeń, jak bardzo przybliżały czytelnikowi obraz wycharowany piórem pisarza.

— Czym kieruje się Pan ilustrując powieści, czy tylko własną wizją opisanych wydarzeń?

— Pracę nad ilustracjami do każdej książki poprzedzam wnikliwym zapoznaniem się nie tylko z jej treścią, ale także ze wszelkimi źródłami, które mogą mi naświetlić dane zagadnienie. Weźmy np. tak znaną powieść, jak „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza. Nic wydawałoby się prostszego, jak zilustrować przygody bohaterów. Ale trzeba przecież wiedzieć, jak wyglądają Murzyni ze szczerpu Alego lub w jaki sposób noszą burnusy Beduini.

— Przecież to powieść i można chyba trochę pofantazjować...

— Można i robi to autor wymyślając przygody swoich bohaterów, ale cała akcja dzieje się w konkretnie istniejących miejscowościach, krajach o określonej szacie roślin itd. To, co ja rysuję, musi odpowiadać tym realiom. Musi dostarczać wiadomości.

Zbierane starannie przez lata kompendia wiadomości z najrozmaitszych dziedzin same w sobie są sztuką a zarazem pracami naukowymi. Dokładne, precyzyjne rysunki poszczególnych elementów zbroi, mundurów, wyposażenia bojowego, to tylko jeden własnoręcznie stworzony przez pana Kobylińskiego podręcznik. Są i inne. Studium afrykańskie, które obejmuje stroje, faunę, florę, wizerunki wszystkich typów mieszkańców Czarnego Łądu oddało nieocenione usłuży ilustrowaniu „W pustyni i w puszczy” czy „Faraona” B. Prusa.

— A czy Pana częste spotkania z dziećmi mają jakiś wpływ na późniejszą twórczość?

— Nie tylko na późniejszą, ale i na aktualną. Przeprowadzam z młodymi konsultacje, dyskutujemy, pomysły rodzą się wspólnie. Np. baobab, schronienie Stasia i Nel oraz cała topografia okolicy to opracowanie moich małych rozmówców. Podobnie było ze słoniem. King jest na tych rysunkach o wiele za duży, cóż, taka jest siła wyobraźni dziecięcej.

Szymon Kobyliński wiele ze swej twórczości poświęca dzieciom, które w zamian postanowiły przyznać mu Order Uśmiechu. Ale twórczość dla dzieci to tylko część jego przebogatego życia. Świetne rysunki satyryczne zamieszczane regularnie na łamach czasopism „Polityka” i „Szpilki” są wykładnikami wielkiego poczucia humoru, wyculowanego zmysłu obserwacji, trafnego spojrzenia, głębokich przemyśleń ich autora.

Na długo też zapadły w pamięć radiostuchaczy prowadzone przez oboje małżonków Kobylińskich słynne „Pogwarki u Szymona”. Przewodnim motywem tych lekkich w formie i poważnych w treści audycji było pytanie „jak pan to robi?”, zadawane coraz to innym rozmówcom — ludziom mającym nieprzeciętne osiągnięcia w pracy zawodowej.

— Panie Szymonie, tyle tematów, tyle form, taka różnorodność zainteresowań, a przecież w tej rozmowie nie tknięte pozostały całe polacie Pana działalności — scenografia teatralna, film, publicystyka. Może więc i ja zadam pytanie. — Jak Pan to robi?

— Na to pytanie mogę odpowiedzieć tylko powtórzeniem tego co już powiedziałem. Lubię ponad wszystko poznawać życie, zgłębiać tajemnice świata i przekazywać to innym. Czyli cały czas robię właściwie to samo zmieniając tylko narzędzia pracy.

Jestem optymistą

Dokończenie ze str. 18

już profesorem zwyczajnym i kierownikiem katedry w Akademii Górniczo-Hutniczej.

Prowadził badania naukowe w Tatrach i na Kaukazie, wiele publikował, ogółem ogłosił 250 prac naukowych. Prócz tego zajmował się sportem — wioślarstwem i alpinizmem, był jednym z założycieli Akademickiego Związku Sportowego.

Jest twórcą idei międzynarodowych parków granicznych. Powstały już trzy takie parki na granicy polsko-czechosłowackiej — w Pieninach, Tatrach i Karlikonoszach, czwarty — na Babiej Górze jest w trakcie organizacji. Jako działacz Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody i Jej Zasobów jest inicjatorem utworzenia innych parków międzynarodowych — na pograniczu między Austrią i Niemcami, Włochami i Francją, Hiszpanią i Francją, Austrią i Jugosławią. Dziś zwracają się do niego o opinie organizatorzy Parków Narodowych w różnych częściach świata.

Ten nurt działalności — uporczywa walka o ochronę przyrody, jej zasobów i wszystkiego, co składa się na naturalne otoczenie człowieka — przyniósł Profesorowi światową sławę.

— Ochrona przyrody — mówi Profesor — ujmując rzecz historycznie, dzieli się na cztery okresy. Pierwszy to był okres romantyczny, okres Rousseau, łączyło się to wtedy z estetyką i moralnością. Drugi okres, który się zaczął około roku 1870, był okresem ochrony przyrody typu konserwującego. Trzeci okres narodził się w latach międzywojennych, ale nabrał wyraźnych cech dopiero po wojnie — to był etap ochrony przyrody i jej zasobów pojętej o wiele szerzej. Wreszcie teraz zaczął się okres czwarty: ochronny już nie tyle przyrody, ile człowieka i jego środowiska. To ma już zupełnie inne znaczenie: chodzi już nie o ocalenie poszczególnych gatunków fauny czy flory, ale o przetwarzanie i ocalenie ludzi. Uczestniczyłem czynnie w trzech ostatnich okresach.

— Jestem optymistą — kończy Profesor — wierzę, że ludzkość przetrwa, usunie te groźby, które sama stworzyła.

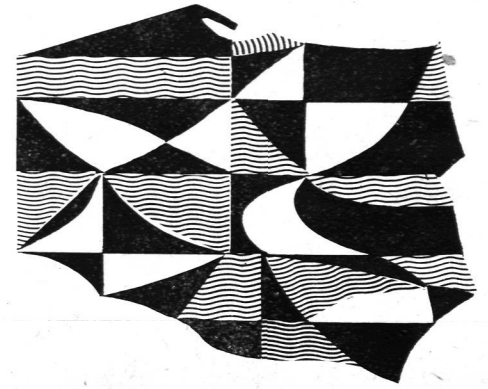
En général, dans les pays du sud de l'Europe, on assiste à une „urbanisation des tentes” dans les terrains de camping, elles s'empilent presque les unes sur les autres et un bourdonnement de toutes les langues se laisse entendre, absente en est la langue du pays visité. Si, dans le camping, vous recherchez un contact avec la nature et un air pur, si, de ce fait, les incommodités qui peuvent en découler ne vous rebutent pas, alors venez en Pologne. Aucun signe de „dégénération du camping” ne s'y manifeste, vous pourrez y goûter cette détente qui vous aidera ensuite à affronter les longs mois de labeur.

C'est dans cette intention que nous vous avons soumis durant les semaines passées, quelques propositions de camping en Pologne. Les routes sont bonnes et très bonnes. Sans hésiter vous pouvez emporter la tente sur le toit de la voiture ou mieux, tirer une caravane. Les routes ne sont pas encore encombrées, la conduite vous procurera du plaisir, c'est du moins l'avis de certains touristes.

Outre les nombreux charmes de la nature, vous trouverez en Pologne des monuments historiques de valeur, depuis mille ans la Pologne fait partie de la culture latine. L'art, l'architecture, donnent des formes spécifiques

aux divers styles, créant par exemple un style de „gothique de la Vistule”, il en fut de même avec l'architecture de la Renaissance. Vous verrez encore d'intéressants musées abritant de grandes collections qui mériteront un arrêt, des églises, des curiosités etc...

Voici quelques propositions pour ceux qui s'apprêtent à partir en vacances et ces mêmes propositions peuvent être reprises par ceux qui, mécontents des séjours en hôtels, préféreront l'année prochaine, s'adonner aux joies du camping en Pologne.

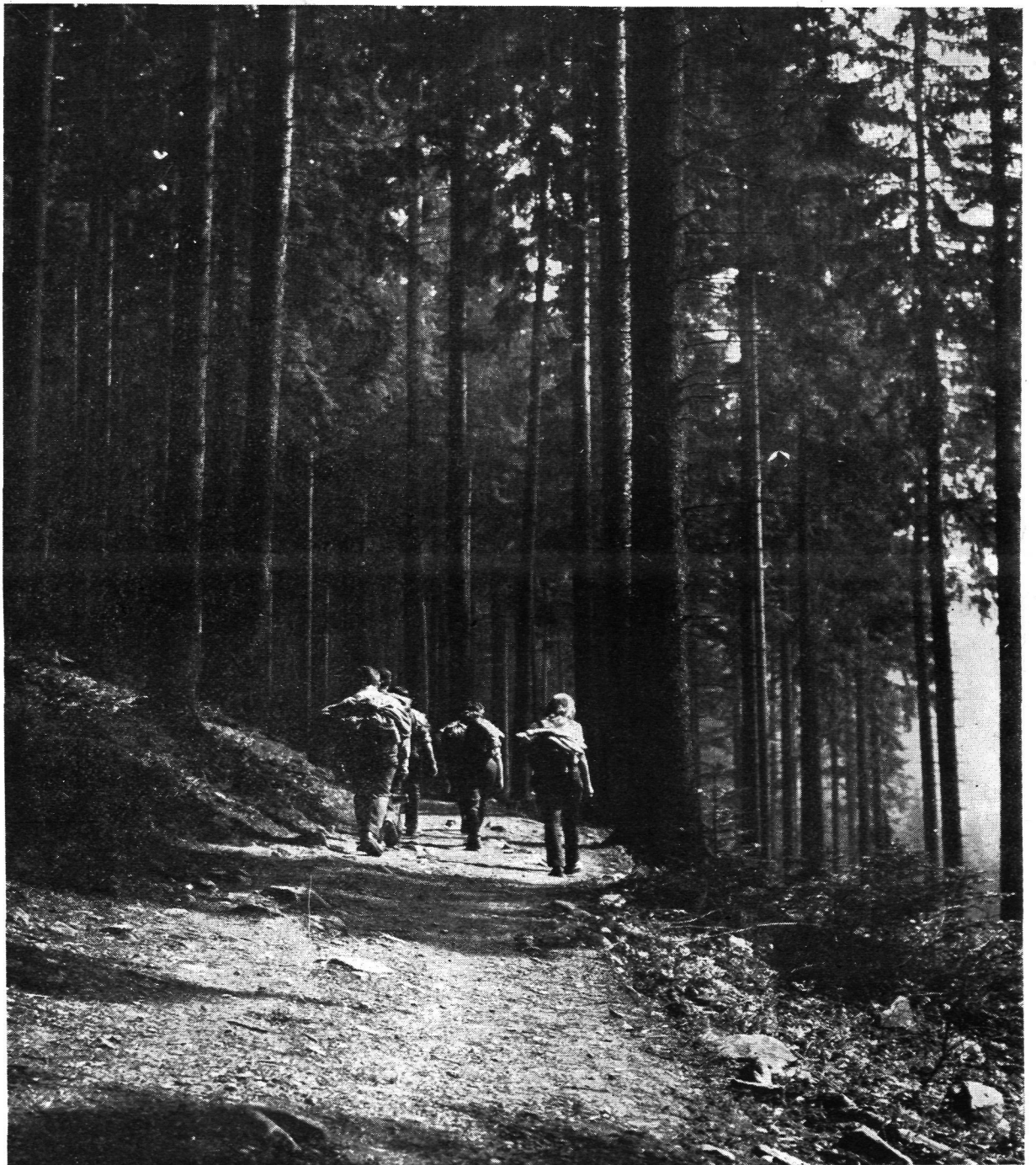


**QUE
TROUVEREZ-VOUS
EN POLOGNE?
LA NATURE
LES MONUMENTS
LES CURIOSITES**

◆

**CO ZNAJDZIESZ
W POLSCE?**

**PRZYRODĘ
ZABYTKI
RZECZY
CIEKAWY**



niektórych wygod i przyzwyczajęń, a chcecie zdobyć szansę bezpośredniego kontaktu z przyrodą, wybierzcie się do Polski z namiotem, a jeszcze lepiej przyczepą campingową. Wówczas osiągniecie taki właśnie cel. Przewidywać trzeba trudny przejazd zatłoczonymi autostradami do granicy niemieckiej; od tego miejsca, a także przy przejeździe przez Polskę nie napotkacie większych trudności. Są dobre lub bardzo dobre drogi o nawierzchniach asfaltowych, a znacznie rzadziej betonowych, wystarczająco często stacje benzynowe. Jazda jest często nie zatłoczonymi szosami w Polsce sprawia, jak twierdzi wielu kierowców, dużą przyjemność.

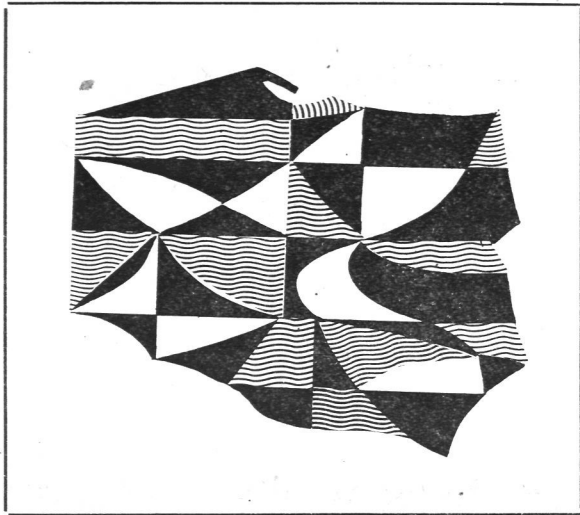
Doradzaliśmy w „Tygodniku Polskim” miejscowości lub krainy, gdzie natura nie

została jeszcze zepsuta przez cywilizację, gdzie można zakosztować prawdziwego wypoczynku i odprężenia za cenę rezygnacji z niektórych wygod lub przyzwyczajęń gastronomicznych, oszczędzając jednak sporo pieniędzy. Urlopy przez nas proponowane nie są drogie!

Spróbujcie!

Niezależnie od wartości polskiej przyrody, jest ona krajem pełnym ciekawych zabytków oraz miejsc, które warto zobaczyć. Kilka propozycji przedstawiamy dla tych, którzy jeszcze nie wyjechali oraz dla tych, którzy być może, po doświadczeniach mieszkania w hotelu o tekstylnych przepierzeniach, wybiorą się na prawdziwy camping do Polski w przyszłym roku.

PODOBNO według szacunku znawców w tym roku aż 7 milionów Francuzów zamierza spędzić wakacje pod płachtami namiotowymi; a więc co szósta lub siódma rodzina. Część tych z 7 milionowej rzeszy wyjedzie na obozowiska campingowe poza Francję. Ci, co zostaną — muszą się liczyć z tym, że campingi są właściwie „urbanizacjami namiotowymi”. Niektóre swą organizacją wewnętrzną nawet przypominają miasteczka; ulice i placiki mają swoje nazwy, obozowiska numery — zupełnie jak kamieniczki lub wille; istnieją dzienne handlowe i rejony sanitarne. W naszym cyklu propozycji przedstawialiśmy natomiast cele wyprawy na camping w Polsce głównie w takiej intencji: jeśli jesteście gotowi do rezygnacji z



DWA MIASTA KOPERNIKA

Z Poznania do Torunia jest przez Gniezno, Inowrocław 151 km. Wśród starych murów Torunia, liczących często ponad 500 lat — urodził się (1473 r.) i wychował Mikołaj Kopernik. Kiedyś miasto odgrywało dużą rolę administracyjną i handlową; dziś jest przede wszystkim siedzibą uniwersytetu i centrum nowoczesnego przemysłu włókienniczych. Rozwinęło się nowe budownictwo, dające zaskakujące efekty (zdjęcie u dołu po lewej).
WARTO ZWIEDZIC: ratusz (zbud. 1393 r.), a przed nim pomnik Mikołaja Kopernika, zabytkowe kamienice w Rynku — nie tylko gotycki, lecz także w stylu renesansowym i barokowym — kościół św. Jana z przełomu XIII i XIV w. Przy ul. Kopernika 17 — gotycki dom, miejsce urodzin „tego co wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię”.

Drugim „miastem Kopernika” jest Frombork (zdjęcie górne). Mistrz-astrolog był tu kanonikiem kapituły warmińskiej. Warta zwiedzenia przede wszystkim katedra z „wieżą Kopernika”, gdzie mieściła się jego pracownia i gdzie mieszkał.

DOJAZD Z GDAŃSKA: droga E81 do NOWEGO DWORU GDANSKIEGO (40 km) i ELBLĄGA (62 km), a stamtąd lokalną drogą przez Milejowo, Pogrodzie do FROMBORKA (93 km).



La ville natale de Copernic, Toruń, autrefois important centre commercial et administratif, est aujourd'hui une cité universitaire et le centre de l'industrie des fibres synthétiques. De très beaux monuments de style gothique, Renaissance, baroque. Deux cités s'y opposent, l'ancienne et celle moderne grandie avec l'industrie nouvelle.

L'autre ville de Copernic est Frombork où l'astrologue était chanoine du chapitre de Warmie. Une très belle cathédrale gothique et une „tour Copernic” où se trouve le cabinet de travail du savant.



POLSKIE PUSTYNI

POLSKA jest krajem zielonym, o rozwiniętej roślinności, dużej ilości lasów, na północy — jezior, ale mimo wszystko ma dwie pustynie, które warto zobaczyć.

PUSTYNIA ŁĘBSKA (zdjęcie z lewej u dołu) powstała w wyniku usypania się potężnego wału wydm między Morzem Bałtyckim a Jeziorem Łebskim. Duże pagóry obrosnięte są skąpą roślinnością. Teren ogromnych wydm zwany „Pustynią Łebską”, podobnie jak Jezioro Łebskie, pobliskie jezioro Gardno oraz 30 kilometrów brzegu morza — objęty jest Parkiem Narodowym.

DOJAZD z GDYNI: kierunek Wejherowo (25 km), Lębork (60 km), Wicko (78 km), Łeba (89 km). W Łebie dobre warunki campingowe; wycieczka na pustynię piechotą — dla dobrych wędrowców ok. 12 km — całodzienna; można również dotrzeć motorówką od strony Jeziora Łebskiego, gdzie utrzymuje się stałą komunikację wycieczkową.

PUSTYNIA BŁĘDOWSKA, leżąca na granicy Śląska i Krakowskiego, jest autentyczną pustynią w Polsce, choć małą — bo obejmuje powierzchnię nieco większą niż 30 km². Widzimy ją na zdjęciu u dołu po prawej. Ma 8 km długości i mniej więcej 4 km szerokości; środkiem przepływa Biała Przemsza, dając złudzenie oazy na pustyni. Zresztą wrażeń pustyni powiększa zjawisko zbliżone do fatamorgany

(tak!). „Lis pustyni”, niemiecki gen. Rommel urządził tu w 1941 r. obóz ćwiczebny swego „Afrika Korps”. Głębokość pokrywy polodowcowych piasków sięga 18 m. W Błędowie nad Przemszą (dojazd tylko o boczną drogą z Dąbrowy Górniczej 20 km) kościół, z którego wieży kapitalne widoki na pustynię.

DOJAZD do DĄBROWY GÓRNICZEJ: z KRAKOWA drogą E22 do OLKUSZA (41 km) i DĄBROWY GÓRNICZEJ (65 km); z KATOWIC circa 20 km; z CZĘSTOCHOWY drogą E16 do Koziegłówek (26 km), SIEWIERZA (42 km), BĘDZINA (60 km) i DĄBROWY GÓRNICZEJ (68 km).



Dans ce pays aux lacs étendus, aux vastes forêts, pensez-vous pouvoir trouver deux déserts? Le premier, le désert de Łeba, s'étale entre la mer Baltique et le lac de Łeba. Ce lac, autrefois baie, fut coupé de la mer par des courants qui formèrent un cordon littoral qui, envahi par les sables prit de plus en plus d'importance pour finir par présenter le désert de dunes actuel. Parfois le vent découvre le faite des arbres d'un bois enfoui sous le sable, ce sable très fin, toujours en mouvement sous l'action du vent venu du large. C'est pourquoi l'on dit de ces dunes qu'elles sont mouvantes. Ce désert est enserré par le parc National Słowiński.

Le désert Błędowski se trouve au sud de la Pologne, entre la Silésie et la voïvodie de Cracovie. Bien que d'une faible surface — 30 km², 8 km de longueur pour environ 4 km de large — c'est un authentique désert où peuvent se produire des mirages. La rivière Biała Przemsza qui le traverse donne l'illusion d'une oasis en plein désert. Durant la dernière guerre, dans ce désert, s'entraînaient les soldats de l'„Afrika Korps” du général Rommel. La couche de sable atteint 18 m. Malheureusement ce désert est exploité et la Ligue pour la Protection de la Nature lutte pour faire cesser cet état. On a une excellente vue sur le désert depuis la tour de l'église de Dąbrowa Górnicza.



UZDROWISKO DLA SERCOWCÓW

NALĘCZÓW był znany jako uzdrowisko już dawno, a w końcu XIX w. było to już bardzo modne uzdrowisko. Oprócz źródeł szcaw żelazisto-wapiennych, miejscowy mikroklimat jest szczególnie polecany ludziom, którzy mają dolegliwości sercowe. Są tu pensjonaty, pokoje do wynajęcia — nie ma campingu. Warto zwiedzić pałaciki po dwu klasykach polskiej literatury. Bolesław Prus pisał tutaj wiele swoich dzieł, podobnie, jak Stefan Żeromski „Chata Żeromskiego” (na zdjęciu).

KAZIMIERZ n/Wisła to z kolei miejscowość turystyczna, uczęszczana chętnie przez Lublinian i Warszawiaków. Za bardzo dawnych czasów — 600 lat temu, zaczęto stąd spławiać Wisłą pierwsze ładunki zboża. W rynku niedługo bogatego miasta renesansowe kamieniczki, i bogaty wystrój (patrz zdjęcie) siedziby władz municypalnych. Dobry camping, możliwości noclegu.

DOJAZD z LUBLINA: Nałęczów (23 km), Kazimierz (44 km). **Z RADOMIA:** Zwoleń (31 km), Piławy (58 km), Kazimierz (71 km). **Z WARSZAWY:** wzdłuż Wisły po stronie Saskie Kępy w kierunku na Otwock — aż do **KARCZEWIA** (30 km), Warszewic (45 km), **WILGI** (60 km), Maciejowice (82 km), **KAZIMIERZA** (140 km).

☆
Station de cure réputée, Nałęczów était très à la mode à la fin du XIXe siècle. Elle est plus particulièrement recommandée aux cardiaques. Ceux qui ne souffrent pas de tels maux y goûteront un total repos. Outre les sources minérales, le microclimat est bénéfique. On y trouve des pensionnats, des chambres à louer chez l'habitant. Les souvenirs laissés par deux grands classiques de la littérature polonaise — Bolesław Prus et Stefan Żeromski — méritent une visite.

Kazimierz sur la Vistule est une localité touristique par excellence. Sur la place du marché des maisons Renaissance qu'il faut voir. Une région très pittoresque.



CIEKAWY MUZEUM POD KRAKOWEM

MUZEUM zegarów słonecznych w **Jędrzejowie** powinno mieć przydomk „rodu Przypkowskich”. Ofiarowali oni nie tylko swoje zbiory prywatne na własność publiczną, lecz także całe muzeum zorganizowali (doc. dr Tadeusz Przypkowski — na zdjęciu). Jędrzejowski jest drugim największym na świecie zbiorem zegarów słonecznych. Jeśli zostało Wam trochę czasu, a lubicie tradycje — warto odwiedzić położone o 15 km w kierunku Szczekociny — **Częstochowa** — **Nagłowice**. Gospodarował tam i tworzył ojciec polskiej prozy **Mikołaj Rej z Nagłowic**.

☆
DOJAZD z WARSZAWY: Droga E7 przez Kielce 214 km; z Krakowa 79 km; z Częstochowy przez Szczekociny 95 km.

☆
Sur la route menant à Cracovie, le Musée des cadrans solaires de Jędrzejów mérite un arrêt. Son importance en fait le second du genre dans le monde. Il est attaché à la famille des Przypkowski qui légua ses collections privées au bien public.



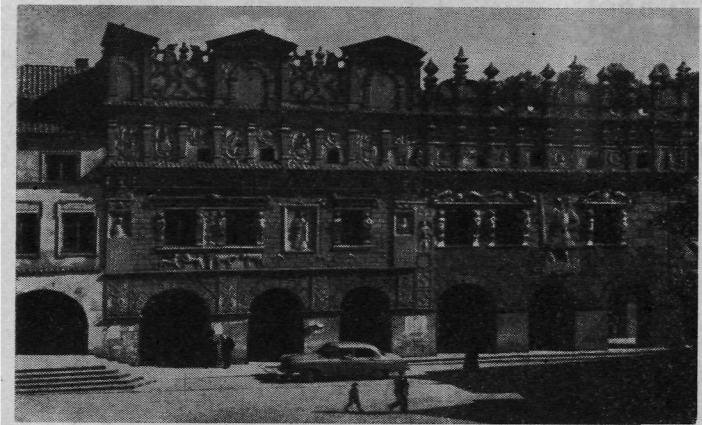
NA TRATWACH-PRZEŁOMEM DUNAJCA

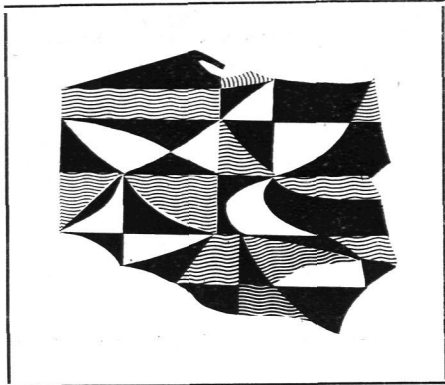
TRUDNO opisywać w szczegółach wrażenia, jakie zapewnia wzięcie udziału w spływie flisackich tratw przełomem Dunajca w Pieninach. Jest to wycieczka niezapomniana i wcale niedroga. Sam zaś przełom rzeki przez Pieniny uchodzi za jeden z piękniejszych na świecie, a chyba nie mający równych sobie w Europie. Strome, głębokie doliny górskich rzek bywają piękne, ale nie są na tyle spławne, by można było po nich bezpiecznie wozic turystów.

☆
DOJAZD z KRAKOWA: trasą wiodącą na Zakopane do **NOWEGO TARGU** (85 km) a dalej 15 km do **DĘBNA**, gdzie słynny w Europie drewniany kościół — koniecznie trzeba go zobaczyć, a dalej do Czorsztyna (łącznie 110 km) i do **NIDZICY** (113 km), gdzie odjeżdżają tratwy; już obok bardzo ciekawy, godny zwiedzenia średniowieczny zamek.

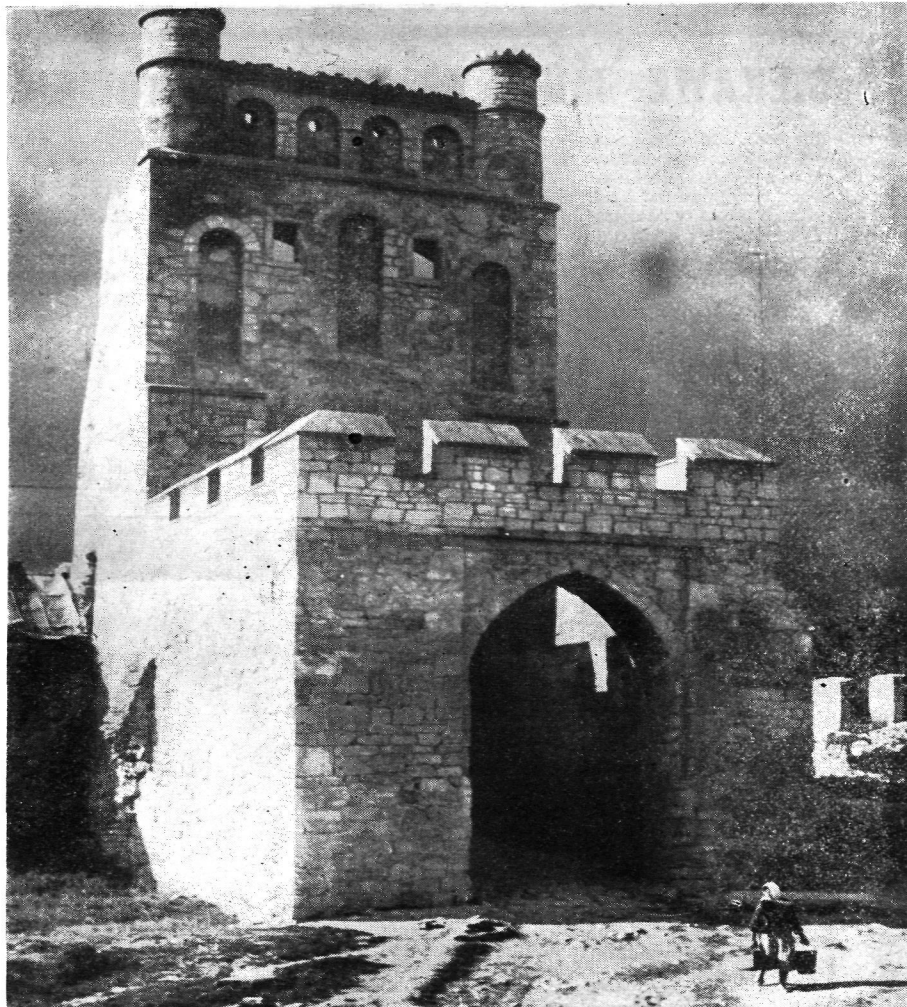
☆
La descente des gorges du Dunajec sur des radeaux particuliers à cette rivière des monts Pieniny est une grande attraction qui laisse un souvenir inoubliable. Les eaux impétueuses portent les radeaux conduits par d'habiles bateliers. Le paysage est magnifique et sauvage. Le Dunajec coule entre des gorges abruptes et en fin de parcours on découvre une très belle et calme vallée. Une des plus grandes curiosités mondiales; l'excursion est d'un coût tout à fait abordable.

A Dębno, non loin de Nowy Targ, il faut voir absolument l'église en bois, célèbre dans toute l'Europe. Le château médiéval de Nidzica mérite aussi un arrêt. (Pour la descente du Dunajec on embarque à Nidzica).





ZABYTEK z POŁOWY XIV w.



Z okresu budownictwa króla Kazimierza Wielkiego (połowa XIV w.) („zastał Polskę drewnianą, zostawił murowaną”) nie zachowało się zbyt wiele architektury. Najczęściej zamki ulegały ruinie, a inne budowle przerabiano według późniejszych stylów. Także budowle z tego okresu — powstałe w Szydłowie przerabiano wielokrotnie, ale w zamku szydłowskim zachowało się sporo „czystych” elementów ówczesnej twierdzy. Także zespół miejski uchodzi za najcenniejszy zabytek średniowiecznego budownictwa w centralnej Polsce.

DOJAZD Z KIELC: szosa nr 128 do Chmielnika (31 km), gdzie skręt na szosę lokalną do Szydłowa (51 km); **DOJAZD Z SANDOMIERZA:** szosa nr 217 w kierunku Krakowa do miejscowości OSIEK (30 km), gdzie skręt do STASZOWA (50 km) i SZYDŁOWA (61 km).

✱

Du roi Casimir -le -Grand ont dit qu'il a trouvé une Pologne en bois et l'a laissée en maçonnerie. Malheureusement il ne reste guère d'exemples architecturaux de ce XIV^e siècle. Presque tous les châteaux sont tombés en ruines, ou bien il furent transformés pour être adaptés aux nouveaux styles. Ce fut le cas pour le château de Szydłów dans la région de Kielce. Il fut maintes fois transformé, mais pourtant, bien des parties ont gardé des éléments de son aspect premier. De même, l'ensemble urbain qui s'étale sur la colline passe pour être un des

plus précieux monuments médiévaux de la construction dans la Pologne centrale.

POLSKIE STAROŻYTNOSCI W OKOLICACH POZNAŃA

KTO zatrzymał się w Poznaniu — warto by zapoznać się z polskimi starożytnościami. W katedrze Poznańskiej na Ostrowiu Tumskim w podziemiach domniemany grobowiec Mieszka I i Bolesława Chrobrego, pierwszych historycznych władców Państwa Polskiego.

Ich stolicą było także **GNIEZNO** (53 km), gdzie w katedrze, jednej z najciekawszych zabytków w Polsce — słynne spiżowe „drzwi gnieźnieńskie”, płaskorzeźba przedstawiająca w osiemnastu scenach życie, śmierć i męczeństwo św. Wojciecha. Uważane jest za jedno z najwybitniejszych dzieł romańskiej metaloplastyki na świecie. Następnie drogą R83 jedziemy 30 km do Gąsawy, a stamtąd ok. 4 km do **BISKUPINA**, gdzie znajduje się odkryta i pogładowo zrekonstruowana prasłowiańska osada warowna sprzed 2200—2600 lat. Składała się ze 105 drewnianych, tzw. „kurnych” chat; mogła więc liczyć ok. 1.000 mieszkańców.

Krótką wyprawą z **POZNAŃA** do **KORNIKA** (20 km) drogą nr 38, gdzie piękne, ciekawe zbiory w miejscowym muzeum należącym do Polskiej Akademii Nauk: zbiory broni, wiele unikalnych egzemplarzy zbroi husarskich, kapitalne meble, zbiory etnograficzne z Australii i Polinezji, biblioteka o 200 tys. woluminów i 12 tysięcy rękopisów wśród nich III część „Dziadów” i Słowackiego „Hymn o zachodzie słońca”. Największy w Polsce park dendrologiczny — obejmujący ponad 10 tys. drzew i krzewów.

13 KM OD KORNIKA — ROGALIN, gdzie nie tylko bogato wyposażone muzeum w pięknym pałacu barokowo-klasycystycznym (zdjęcie u góry) dawna magnacka siedziba — lecz także skupisko słynnych starych debach o pniach dochodzących do 9 metrów w obwodzie. Jest ich ponad 900 — a wielu malarzy z upodobaniem te stare drzewa uwieczniło (m. in. Wyczółkowski).

✱

Lors d'un arrêt à Poznań il vaut la peine de voir les antiquités qui s'y trouvent. Dans les souterrains de la cathédrale de Poznań se trouvent les supposés tombeaux de Mieszko Ier et de



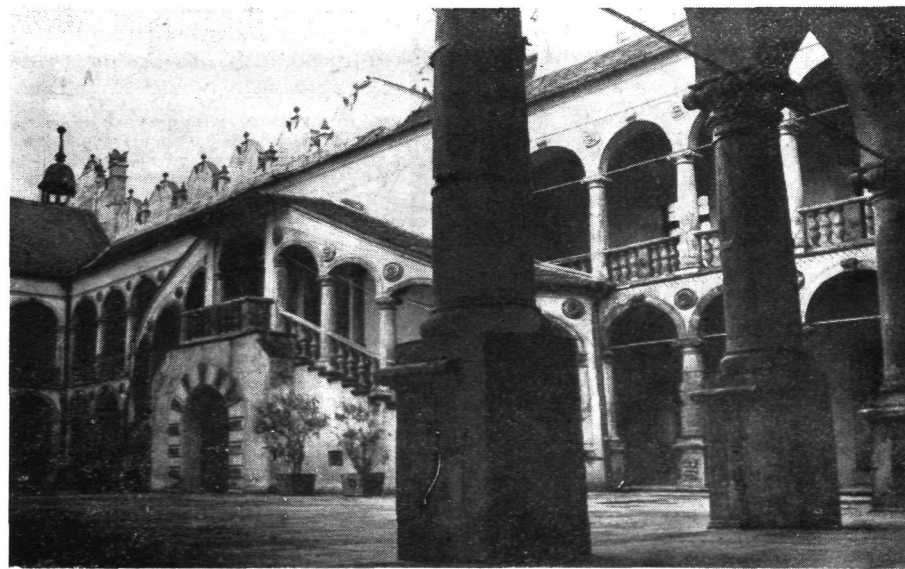
Boleslas-le-Vaillant, premiers chefs historiques de l'Etat Polonais. Leur capitale était Gniezno connue également pour les portes de bronze de sa cathédrale, bas-relief représentant en dix tableaux les scènes de la vie, du martyre et de la mort de Saint Adalbert, un des plus grand trésor de l'art roman.

A Biskupin on découvrira la cité lacustre fortifiée des Proto-Slaves datant d'il y a 2200—2600 ans. Dégagée par les archéologues et en partie reconstituée avec ses onze rues parallèles bordées de 105 habitations où devaient vivre environ 1000 personnes c'est un exemple unique de site lacustre fortifié.

A 20 km de Poznań, Kórnik appartient à l'Académie Polonaise des Sciences. Des collections uniques d'armement, de mobilier, ethnographiques, une immense bibliothèque. Le plus grand parc dendrographique de Pologne comprenant plus de 10 000 arbres et buissons.

A 13 km de Kórnik, Rogalin. Un riche musée dans un magnifique palais de style baroque. Dans le parc, de magnifiques chênes (plus de 900) aux troncs de plus de 9 m de diamètre.

BARANÓW SANDOMIERSKI



JEDNYM z cennych zabytków architektury późnorenansowej (przełom XVI i XVII wieku) jest pałac w **Baranowie Sandomierskim**. Niektórzy odważnie porównywali go z siedzibą królewską — mówiąc o nim, że jest „małym Wawelem”. Oczywiście do siedziby królów polskich — pałacowi, a na początku zamkowi obronnemu, bardzo daleko. Zbudowany był jednak z renesansowym rozmachem, jak to najlepiej widać na fotografii dziedzińca.

DOJAZD Z SANDOMIERZA: na trasie Warszawa—Rzeszów: z SANDOMIERZA w kierunku Rzeszowa do Tarnobrzega (14 km), a dalej w kierunku na Mielec (19 km).

✱

Certains disaient de ce château de style Renaissance qu'il était un „petit Wawel”. Si la comparaison est audacieuse elle suffit toutefois à donner une idée de la splendeur du château de Baranów Sandomierski. La vaste cour d'honneur du château conçue avec un grand dynamisme architectural laisse entrevoir les beautés de l'ensemble.



wicz. Sam gospodarz pozostaje wierny skrzypcom — na których po mistrzowsku wykonuje, obok innych utworów — „Taniec czarownic” Paganiniego.

Do Lwowa wkracza Armia Radziecka. Dr Kielanowski zostaje powołany do wojska. W wyzwolonym Lublinie, na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie dr Kielanowski habilituje się u prof. L. Hirschfelda — w mundurze podpułkownika Ludowego Wojska Polskiego lustruje punkty szpitalne na przyczółku otwockim — aby wieczorem, w tym samym mundurze, mając jeszcze w uszach świst frontowych kul — prowadzić posiedzenie rady wydziału UMCS. Za frontowe i powojenne zasługi marszałek Rola-Zymierski osobiście udekoruje później prof. Kielanowskiego Złotym Krzyżem Zasługi.

Magnificencja gra w ping-ponga

Dziekan, a potem rektor UMCS prof. dr Kielanowski przenosi się do Białegostoku, aby tu przez pięć lat sprawować funkcję rektora Akademii Medycznej. Gdy studenci ogłaszają turniej ping-pongowy, rektor Kielanowski zgłasza się jako uczestnik, dzielnie sobie poczynając z celuloidową piłeczką.

Studenci są zachwyceni: — Mamy taaakiego rektora! Ich entuzjazm równa się jednak zgorzeniu nie-studentów: — Magnificencja i gra w ping-ponga ze studentami? Gdzie powaga?

trycznej Akademii Medycznej. Powstają jego dalsze prace naukowe z dziedziny walki z gruźlicą (dziś ilość naukowych publikacji dr Kielanowskiego przekroczyła 300). Ukazują się trzy kolejne wydania znakomicie napisanego podręcznika „Propedeutyka medycyny”, tłumaczonego następnie na język rosyjski (obecnie w przygotowaniu wydanie czwarte). Przy jego konsultacji powstaje obszerny „Słownik lekarski francusko-polski”. Zostaje doktorem honoris causa akademii w Białymstoku, członkiem *Royal Society of Medicine* w Londynie, a w roku 1963 — członkiem francuskiej *l'Academie Nationale de Medicine* (za swe zasługi w walce z gruźlicą).

To właśnie we Francji, tuż po wojnie, powstały liczne otwarte sanatoria przeciwgruźlicze, dla których wzorem stało się lwowskie sanatorium prof. Kielanowskiego. Gdański uczony stał się więc piątym Polakiem (w ich liczbie była Maria Skłodowska-Curie), uhonorowanym członkostwem francuskiej Akademii Nauk Medycznych.

Przed dwoma zaś laty otrzymuje zaszczytną nagrodę naukową im. Batel-Rouviera, dającą tytuł laureata francuskiej Akademii Nauk Medycznych.

Gdy przed 3 miesiącami odbywały się we Francji uroczystości 150-lecia paryskiej *l'Academie Nationale de Medicine* — dr Kielanowski, jako jeden z kilku zagranicznych referentów, piękną francuszczyzną wygłosił wobec uroczystego plenum akademii odczyt „Le droit à la santé et le droit d'être malade” (Prawo do zdrowia i prawo do choroby).

Filozofia życia

— Prawo do zdrowia — mówi dr Kielanowski — na to się wszyscy zgadzamy. Ale to prawo nie może oznaczać braku tolerancji wobec ludzi, w jakikolwiek sposób upośledzonych — kalek, starców, ciężko chorych. Więc — prawo do zdrowia, ale i prawo do chorowania!

— Należy nieustannie przypominać, że wartości życia ludzkie-



Jak znaleźć szczęście?

PIEKNE jest Nancy latem. W upalnym słońcu złocą się zabytkowe budowle, zawikłaną linią rysują się na tle bujnej zieleni misterne kraty przy *Place Stanislas*. Nawet nieczuły na powaby przyrody właściciel „*Restaurant Stanislas*” wychodzi w południe przed swą witrinę, aby przyjrzeć się gołębiom okrążającym pomnik z napisem: „*Stanislas Leszczyński, bienfaiteur de Lorraine*” — Stanisław Leszczyński dobroczyńca Lotaryngii.

Wysoki młody człowiek w sportowym dresie zwalnia kroku przy *Place Stanislas*. Zna dobrze wyryty na posągu napis. Jest dumny, że Polska tak pięknie zapisała się w pamięci mieszkańców Lotaryngii mądrym panowaniem polsko-francuskiego monarchy. Kocha i podziwia Francję, wie, że będzie tu przez całe swoje życie wracał.

Od prawa do medycyny

A na razie matura na karku, treningu jednak opuścić nie wolno. Gra w drużynie piłkarskiej juniorów — zobowiązuje. A potem, po meczu, jeszcze godzina bokserkiego sparringu. Jak tu wieczorem utrzymać w zmęczonych dłoniach skrzypce, aby oddać wszystkie niuanse koncertu Brahmsa?

Wyrok rodzinnego aeropagu zapadł, gdy piłkarski talent miał jeszcze 10 lat: — Tadeusz musi zostać skrzypkiem! Chce być lekarzem? Niewdzięczny zawód! Już

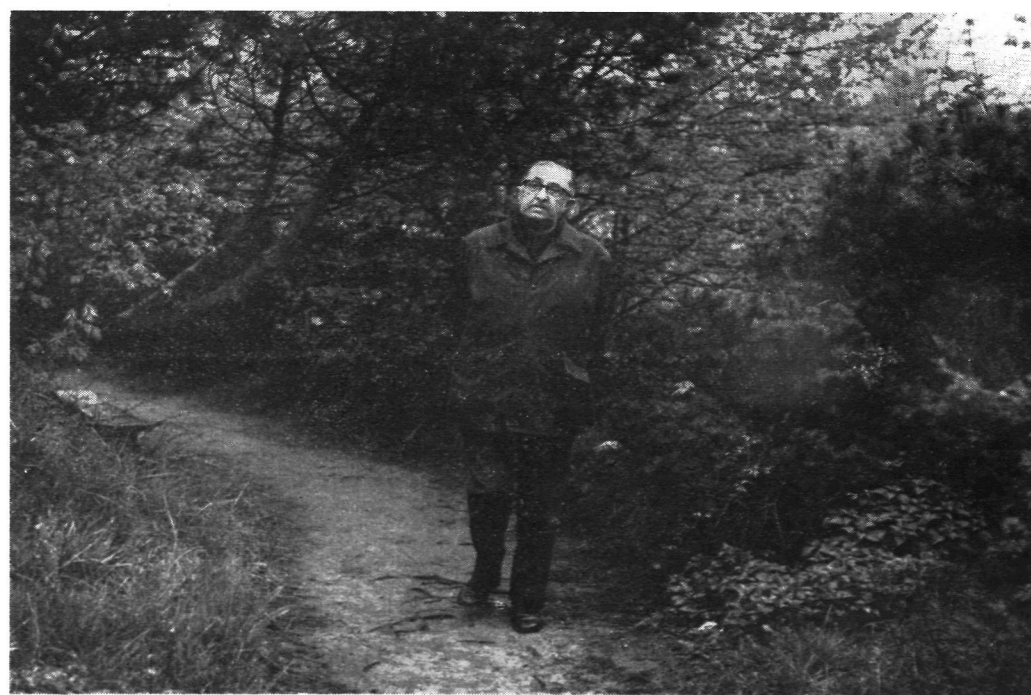
raczej prawo. O, to coś spokojniejszego.

Ale wydział prawa paryskiego uniwersytetu niewielką będzie miał pociechę ze smukłego sportowca o tak trudnym do wymowienia nazwisku. *Monsieur Thadée Kielanowski* zdaje wprawdzie wszystkie egzaminy na „*faculté de droit*” z prawdziwą jednak pasją studiuje drugi wydział, ścisłą filozofię. Wiedza o sensie życia i śmierci, wiedza o człowieku — to pociąga najbardziej niedosłatego mistrza boksu.

Prawniczy „*bakalaureat*” nie zadowala *monsieur Thadée*. Wstępuje na medycynę, aby ją chlubić — po pięciu latach pobytu we Francji — ukończyć we Lwowie. Specjalista-ftyzjatra (choroby płucne) obejmuje parę lat po dyplomie (1937 r.) kierownictwo sanatorium przeciwgruźliczego dla studentów — zostaje jego pierwszym dyrektorem. O wynikach swej pracy mówi Tadeusz Kielanowski w Zurichu (Szwajcaria) na międzynarodowym zjeździe poświęconym walce z gruźlicą.

Jest maj 1939. Na październik przewidziane jest powtórzenie wykładu w Paryżu. Ale przed październikiem — jest wrzesień.

Nastaje okres walki, pracy konspiracyjnej w AK. Dr Kielanowski — konspiracyjny pseudonim „*Kołek*” — pracuje w lwowskim szpitalu, wieczorami oddając się umiłowanej muzyce. Na „tajnych koncertach” w jego mieszkaniu występują: *Andrzej Hiolski*, dyrygent *Stanisław Skrowaczewski*, muzyk i literat *Jerzy Broszkie-*



Jak znaleźć szczęście?

Dokończenie ze str. 25

go nie wolno mierzyć miarą produktywności. Dla nas lekarzy — życie słabego, niedonoszonego noworodka, życie pełnego sił fizycznych i twórczych intelektualisty, robotnika czy technika fachowca, i życie starca — ma absolutnie tę samą wartość i z taką samą energią, poświęceniem i uporem musimy o zachowanie życia wszystkich tych istot ludzkich walczyć.

Począwszy od Platona — zawsze tworzono wizję świata wolnego od chorób i — chorych. Ale społeczeństwa biologicznego, wolnego od chorób, nie ma ani w świecie zwierzęcym, ani roślinnym. Bywają natomiast społeczeństwa wolne od chorych (np. owady). Chora mrówka zostaje natychmiast zabita przez inne mrówki, a szczątki jej wydalone z mrówiska. Tak więc myśl o społeczeństwie wolnym od chorych może okazać się ryzykowna. Widzieliśmy jak w czasie ostatniej wojny starano się ją realizować.

Ukończyłem niedawno i oddałem wydawnictwu „Wiedza Powszechna” pracę pt. „Rozmyślenia o przemijaniu”. Uważam, że powinniśmy wszyscy trochę bardziej trzeźwo myśleć o śmierci, mniej się jej obawiać, uważać ją za zjawisko w pełni naturalne, a nie przypadkowe, groźne, przeciw nam wymierzone: Slogan „Nauka walczy ze śmiercią” jest więc fałszywy — nie można walczyć z czymś, co jest naturalne. Można natomiast żądać od nauki, aby śmierć stała się mniej bolesna.

Leczyć do ostatniego tchu

W swojej klinice zatrzymuję umierających — lekarzowi nie wolno takich chorych odsyłać do domu z werdyktem: — tu się już nic nie da zrobić, wypadek beznadziejny, choroba nieuleczalna. Umierający musi być pod troskliwą fachową opieką do ostatniej chwili swego życia. Najbardziej zaniedbaną dziedziną medycyny jest leczenie nieuleczalnie chorych, opieka nad umierającymi. Wtedy właśnie człowiek oczekuje wsparcia i pomocy od otoczenia, od lekarza. Bo nie ma takiego momentu w życiu chorego, w którym lekarz nie mógłby coś zrobić. Choćby — złagodzić cierpienia, przynieść pocieszenie. Dlatego też sprzeciwiam się kategorycznie jakiegokolwiek formie skracania życia nieuleczalnie chorym przez lekarzy, tzw. eutanazji.

Często w medycynie zapomina się, że chory, to cierpiący człowiek. Widzi się zjawisko choroby poprzez analitykę, poprzez prawa fizyki i chemii. Ale wtedy medycyna przestaje być medycyną — jej obiektem przestaje być pacjent odczuwający ból i lęk. Fakt, że medycyna w coraz większym stopniu staje się nauką ścisłą, opartą na fizykochemii, na badaniach laboratoryjnych — nie może przesłonić głębokich, humanistycznych celów stojących przed tą nauką.



Przed pięcioma laty byłem współzałożycielem na Wybrzeżu pierwszego w Polsce „telefonu zaufania” pod hasłem „Anonimowy Przyjaciel” (czynny przez całą prawie dobę nr 31-00-00). Zaczęli się do nas zwracać o anonimową pomoc i poradę ludzie, którzy sami już nie byli w stanie znaleźć wyjścia z konfliktowych sytuacji w życiu rodzinnym, w małżeństwie — w sytuacjach, w które popadli w wyniku psychicznych depresji lub uczuciowych konfliktów.

Problem zaufania

Przy telefonie dyżurowali nie tylko lekarze. Godni zaufania, posiadający duże doświadczenie życiowe przedstawiciele różnych zawodów udzielali skutecznych porad tym, którzy wyczerpawszy wszelkie inne środki — nie chcieli ujawniać swego incognito. Rozstrzygaliśmy konflikty na tle zażądania (częste w narażonych na długie rozstania marynarskich rodzinach) i psychicznych zaburzeń (udało nam się zapobiec kilku planowanym zamachom samobójczym). Natomiast nie zdarzyło się nam spotkać z przypadkiem tragedii na tle utraty pieniędzy lub innego materialnego mienia. Świadczy to chyba — i jest to objaw pozytywny — o tworzeniu się nowej skali życiowych i społecznych wartościowań. Obecnie wszystkie miasta w Polsce wprowadziły swoje „telefony zaufania” — z różnymi tylko metodycznymi wariantami.

Co uważam za najistotniejsze w życiu? Nie wiem. Dla mnie życie ma wtedy wartość, gdy mogę innym służyć, pomagać. Być potrzebnym — to chyba jest najważniejsze.

Moje zamiłowania pozazawodowe? Trudno to oddzielić, wszystko się przecież jakoś ze sobą łą-

czy. Prócz umiłowanej muzyki (wiele utworów mógłbym dyrygować bez partytury), teatralnej pasji, jak świętych mamy artystów a Kucówna — czyż nie jest Wielką Aktorką przez duże „W” i „A”?

Jestem gorącym gdańskim, lokalnym patriotą. Przy egzaminach specjalistycznych przepytywałem nawet kandydatów z wiadomości o historii Gdańska. Miano mi to jednak za złe. A przecież lekarz, który ukończył gdańską Akademię Medyczną winien chyba wiedzieć wszystko o swoim mieście.

Często też chodzę — jak gospodarz — po Trójmieście i „kontroluję” będące właśnie w toku budowy. Śledzę postępy prac przy tunelu obok Bramy Wyżynnej, wyprawiam się do Portu Północnego, przyglądam dwupoziomowemu skrzyżowaniu ulicy Okopowej z Leningradzką. Chciałbym tylko, aby Starówka była lepiej oświetloną, czystsza — martwi mnie, że nie ma jeszcze hełmu na wieży kościoła św. Katarzyny.

Napiszę pamiętnik lekarza

Plany? Chciałbym napisać książkę, która będzie moim pamiętnikiem zawodowym (medycyna tak się przecież zmieniła w czasie mojego życia), a jednocześnie zawierać będzie spojrzenie w przyszłość. Zaczę pracować nad tym jesienią. A w klinice — eksperymentalne badania (dr Tyrakowska) nad uszkodzeniem wątroby myszy przez leki przeciwpłatkowe i alkohol.

Główną przyczyną niepowodzeń w leczeniu gruźlicy jest alkohol. Nawet bardzo zaawansowana gruźlica może być skutecznie wyleczona pod warunkiem, że chory nie jest alkohikiem: wątroba uszkodzona przez alkohol nie toleruje przeciwpłatkowych leków.

I to jest chyba ostatni wielki problem, jaki stawia przed nami ta zanikająca już, na szczęście, ale wciąż jeszcze groźna choroba.

Jak widzę lekarzy przyszłości? Chyba jako ludzi, którzy rozumieć będą świat szerzej i głębiej — nie w narzuconym przez specjalizację uproszczeniu. Technizacja życia niesie ze sobą — splotenie.

Lekarz — humanistą

Trochę to zresztą i wina naszych medycznych programów nauczania. Gdybym miał na to wpływ, wprowadziłbym na nasze studia wykłady z innych dziedzin — z filozofii, literatury, sztuki. Powinniśmy nie tylko uczyć, ale i wychowywać — w sposób pełny, wszechstronny.

„Nie będzie dobrym lekarzem, kto nie jest dobrym człowiekiem” mówił wspaniały wychowawca dr Biegański.

U podstaw zamiłowania do medycyny leży więc współczucie. Lekarz musi pozostać humanistą, a nie chłodnym przyrodnikiem, technikiem swej dyscypliny.

Laureat wielu nagród, członek wielu naukowych akademii i towarzystw, posiadacz najwyższych odznaczeń państwowych. Filozofia i medycyna, sztuka i teatr, muzyka i literatura, nauki społeczne, historia i futurologia. Ogrom zainteresowań, wspaniała, płodna umiejętność ich syntetyzowania. Więc — człowiek Renesansu — czy raczej — człowiek przyszłości? A może ktoś, kto posiadał mądrość i wiedzę — jak żyć dla innych? I jak w ten sposób osiągnąć — szczęście?

Tadeusz RAFAŁOWSKI
przedruk z „Głosu Wybrzeża”
Fot. B. LOPIEŃSKI

DRAMATY NAJMOCNIEJSZYCH

Zbigniew Rogowski

Fragmenty opowiadań o wyczynach sportowych

Bieg o północy

TRYBUNY nowojorskiej Madison Square Garden tonące w półmroku jarzyły się tysiącami ogników papierosów i cygar. Wielką halę wypełniał gęsty opar niebieskiego dymu. Panowała nieopisana wrzawa.

Męczący zgiełk potęgowany akustyką hali nie pozwalał się skoncentrować. Od paru chwil stałem na drewnianej bieżni obok pięciu innych zawodników. Czekaliśmy na sygnał do startu. Byłem faworytem w biegu na 600 jardów (580 m), rozgrywanym w ramach międzynarodowych halowych mistrzostw lekkoatletycznych USA.

Przed dwiema godzinami w tej samej hali pełnej gryzącego dymu wygrałem zawody eliminacyjne. Stawałem do dzisiejszych zawodów „opromieniony sławą” (ulubione powiedzonko sprawozdawców sportowych) biegu na 440 jardów w halowym mityngu rozegranym parę dni temu w Los Angeles. Bardzo chciałem wygrać dzisiejszy finał. Byłem tak podniecony, że nie odczuwałem wcale temperatury, która ciągle mnie nie opuszczała po krótkiej grypie (w Los Angeles trafiłem akurat na epidemię); jeszcze na trzy dni przed zawodami w Nowym Jorku miałem prawie czterdzieści stopni. Moja koszulka, gdy stawałem teraz na starcie, była cała mokra od potu. Czułem, jak kleiła się do ciała. Może to jednak z emocji?

Drewniana bieżnia była tak wąska, że tłoczyliśmy się na linii startowej, zachodząc nieledwie jeden na drugiego. Miałem na sobie kostium, który dostałem kiedyś w prezencie od pewnego francuskiego zawodnika — błękitna koszulka i białe spodenki. Był dla mnie szczęśliwy: właśnie w nim odnosiłem w 1965 r. zwycięstwa w Paryżu, Kolidii, Oslo, Helsinkach. Na tym punkcie jestem przesądny. Nowy kostium, dopóki nie zdobędę w nim sukcesów, ciąży mi jakby fizycznie. Nigdy nie biegam na ważnych zawodach w nowych kolcach.

Czy i dzisiaj mój biało-niebieski kostium przyniesie mi szczęście?

Oczekując na sygnał startera, czułem, jak narasta we mnie dobrze znane uczucie — lęk przed dystansem. Towarzyszy mi zawsze na moim dystansie 400 metrów, a cóż dopiero w biegu na 600 jardów. Czy podołam morderczemu tempu do samej taśmy?

Lęk przed dystansem osiąga u mnie kulminację w chwili, kiedy trzeba zdjąć dres po usłyszeniu komendy sędziego: — Na start! — Oddałbym wtedy wiele, abym mógł zejść z bieżni. Już nieraz sobie przysięgałem w takich chwilach, że będzie to ostatni mój start w karierze. (Oczywiście, potem nie dotrzymuję przysięgi...)

W hali krzyżowały się snopy światła rzucające na boisko przez reflektory. Po bokach nieczym karnawałowe lampiony migotały kolorowe lampy. Wzdłuż boiska i na trybunach tkwiły nieruchomo barwne flagi, muskane raz po raz światłem reflektorów. Wszystkie to dawało wrażenie barwnego widowiska. Cyrk? Amerykanie to lubią. Zawody halowe w tym kraju swoją oprawą bardziej chyba przypominają program widowiskowy niż imprezę sportową.

Zgiełk i rumor na trybunach przylegających — na wyciągnięcie ręki — do bandy bieżni, ciągle nie pozwoliły mi się skupić. (Notabene moment największej koncentracji osiągam zwykle na jakąś godzinę przed biegiem gdy rozpoczynam rozgrzewkę. Gdyby

właśnie to była chwila startu, mógłbym bić wszystkie chyba rekordy). Dlatego też mocno chłonałem to, co się wokół mnie działo w Madison Square Garden.

Moje refleksje przerwał strzał dzentelmana w białym ubraniu. Postanowiłem wystartować bardzo ostro, pierwszy dobić do wewnętrznej bandy i przejąć prowadzenie biegu. Zamierzałem następnie trochę wyhamować, aby oszczędzić sił na końcówkę.

Biegając pośrodku bieżni, wyskoczyłem od razu mocnym szpurtem przed zawodników, aby pierwszy dopaść bandy. Już właściwie dobiegałem do toru przy bandzie, gdy w tym



Andrzej Badeński — bohater „Biegu o północy”

samym momencie jakiś amerykański zawodnik błyskawicznym rzutem ciała wepchnął się — pomagając sobie przy tym bezceremonialnie rękami — w wąską szczelinę, oddzielającą mnie jeszcze od bandy.

Straciłem równowagę i przewróciłem się. Uderzyłem plecami o drewnianą powierzchnię bieżni.

Tempo biegu było mordercze, takie jak na setkę, więc wydarzenia rozegrały się błyskawicznie. Zanim się zorientowałem, co właściwie zaszło, zobaczyłem nad sobą kłębowski nóg uzbrojonych w kolce. Jednocześnie poczułem bolesne ukłucia.

Zawodnicy znajdujący się za mną, nie mogąc widocznie zwolnić, tratowali mnie nogami. Przebiegli niemal dosłownie po mnie...

Potem zrobiło się nagle wokół mnie zupełnie pusto. Wydawało się, że zapanowała absolutna cisza. Na moment straciłem świadomość tego, co się stało i gdzie się znajduje.

Prawa noga broczyła krwią. Bardzo nie lubię widoku krwi. Zrobiło mi się niedobrze. Czułem, że jestem bliski omdlenia. W następnym ułamku sekundy wróciła jednak pełna świadomość. Myślałem błyskawicznie: „Podnieść się i biec dalej? Czy leżeć i czekać na pomoc?”

O odpowiedź postarali się dwaj rośli policjanci, którzy szybko podnieśli mnie z bież-

ni i wzięwszy na ręce, zanieśli do jakiegoś małego pomieszczenia.

Wstyd pali mi policzki, gdy mnie tak nieśli przed trybunami. Leżąc na rękach policjantów, dostrzegłem kątem oka, że moi rywale wracali z powrotem na start. A więc sędzia zatrzymał bieg.

W parę chwil później przyjechało pogotowie. Powitałem z ulgą ludzi z noszami, gdyż ból w nodze stawał się coraz bardziej dotkliwy. W czasie jazdy przez miasto chwilami wydawało mi się, że zapadam w półsen. Ocknąłem się dopiero na stole szpitalnym. Ujrzałem pochyłonego nade mną jakiegoś mężczyznę — z cygarem w ustach! Był ubrany w jesionkę, głowę przykrywał kapelusz o szerokim rondzie. To miał być lekarz? A gdzie czysty biały kitel?

Mężczyzna z cygarem, podkasawszy rękawy palta, przyglądał się z obojętną miną krwawiącej nodze, po czym zaczął grzebać jakimś przyrządem w świeżych ranach. Miałem ochotę zdieleć go w kark.

Po chwili, nie rozstając się z cygarem, tak jak stał w kapeluszu i jesionce, zabrał się do szycia. Przygryzłem wargi, żeby nie krzyknąć z bólu. Okazało się, że na prawej nodze miałem cztery rany: trzy przy kości piszczelowej i jedną — najgłębszą — na łyżce.

Z oblepioną plastrami nogą zanieosono mnie z powrotem do karetki. Wydawało mi się, że teraz jedziemy znacznie szybciej nowojorskimi ulicami, które jarzyły się mnóstwem wesołych neonowych reklam i światłami niezliczonych samochodów.

Z ulgą pomyślałem, że wiozą mnie do hotelu. W skrytości ducha byłem właściwie zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Przestał mnie wreszcie trapić lęk przed startem. „Ciekawe — pomyślałem — kto zdobył tytuł halowego mistrza USA?”

Wóz pogotowia zatrzymał się nagle. Dwaj sanitariusze wzięli mnie pod ręce. Co to? Nagle do moich oczu dotarła znajoma wrzawa. Byłem znowu w Madison Square Garden! Oszaleli?

Wprowadzono mnie na środek boiska. Zdawało mi się, że trybuny na moment ucichły i 18 000 par oczu wpatrywało się teraz tylko we mnie. Sen? Jawa?

A jednak jawa! Nagle podeszło dwóch dryblasów i zaprowadzili mnie na start. Tam już stało pięciu moich rywali. Wśród nich oczywiście ci, którzy mnie tak dotkliwie okaleczyli. Nie! Mój start zakrawał na drwinę! Chciało mi się krzyknąć.

I właśnie wtedy usłyszałem nagle głośne brawa; tu i ówdzie na trybunach wykrzykiwano moje nazwisko. Moment bardzo krótkiego wahania. Nie, nie wycofam się! Pokażę, jak się walczy choćby z okaleczoną nogą!

Starter, po nieprzewidzianej prawie godzinnej przerwie, miał nas za chwilę po raz drugi wypuścić do biegu na 600 jardów. Machinalnie przycisnąłem się na drewnianej bieżni, na tym samym co poprzednio torze, machinalnie jak nakręcony automat poderwałem się po strzale do biegu.

Refleks miałem przytępiony, nie było też mowy o koncentracji. Wyszedszy ze startu, biegłem na trzeciej pozycji. Nie zdołałem na razie wydusić z siebie więcej sił. Okaleczona noga osłabiała tempo mego biegu.

Mieliśmy zrobić pięć okrążeń. Przez pierwsze dwa biegłem myśląc wyłącznie o kontuzjowanej nodze. Zawody przestały mnie w ogóle interesować. Biegłem, ponieważ organizatorzy postawili mnie w takiej sytuacji i bieg ten stał się sprawą mojej ambicji. Łatwo się to powiedziało, a tymczasem ból był tak dotkliwy, że zaprzętała całą moją uwagę, ograniczał zdolność wysiłku.

Nagle — było to po drugim okrążeniu — zauważyłem, że wyprzedzam jednego z zawodników. Przyszło mi to łatwo. Znalazłem się na drugiej pozycji. A więc nie było ze mną tak źle. Musiałem mieć zupełnie dobre tempo.

Wyprzedzenie rywala coś we mnie przekreśliło. Przestałem myśleć o poturbowanej nodze, która, jak mi się zdawało, już nawet mniej bolała. Bieg zaczął mnie znowu wciągać. Nie było już dla mnie w tej chwili nic ważniejszego na świecie!

Obmyśliłem błyskawicznie taki plan taktyczny: pobiegnę jeszcze dwa okrążenia na drugiej pozycji, aby się zbyt nie zmęczyć i — dopiero na ostatnim wyskoczę przed prowadzącego Yermana.

Plecy przeciwnika rosły mi w oczach. Znakomity ten zawodnik biegł o jakiś metr, półtora przede mną. Pamiętałem: na olimpiadzie w Rzymie walnie przyczynił się do wywalczenia dla USA złotego medalu w sztafecie 4 × 400 metrów.

Yerman wyglądał właściwie dość niepozornie. Biegając teraz za plecami Amerykanki, śledziłem dość niezdarnie, przyciężkie ruchy tego dobrze zbudowanego, niemłodego już zawodnika, startującego w okularach. Na czubku jego głowy połyskiwała łysina.

Pojawienie się Yermana na bieżni w Madison Square Garden zostało przywitane śmiechem. Wkroczył z pewną miną na boisko w dresie z latami na pośladku. Widocznie jeszcze rzadziej niż ja zmieniał swój kostium sportowy.

Zbliżało się ostatnie okrążenie. Mój dystans do Yermana zmniejszał się wydatnie. Już tylko niecały metr, pół metra... Widziałem teraz wyraźnie, jak na barczystych plecach napinały się mięśnie. Były potężnie usztywnione. Znak, że mój rywal musiał już być mocno zarznięty tempem. Ostatnie okrążenie! Wprowadzam błyskawicznie w życie mój plan! Mijam Yermana.

„Jakież to było łatwe” — stwierdzam ze zdumieniem.

Ale chyba jeszcze bardziej był zaskoczony Amerykanin: w momencie, gdy go wyprzedzałem, rzucił zza okularów mocno zdziwione spojrzenie.

Wypełniała mnie błoga radość. Kto nie biega i nie znajdzie się w podobnej sytuacji, nie zna smaku tej radości odczuwanej niemal fizycznie... Poczuję się lekki i świeży. Czyżbym miał wygrać ten bieg rozpoczęty tak niefortunnie?

Ale uczucie radości szybko ustąpiło miejsca zwątpieniu. Czy wytrzymam tempo? Czy nie opadnę z sił na ostatnich metrach?

Do mety pozostawało jakieś 120 metrów. Teraz — 100! Potem już tylko 80 metrów! Ale wtedy właśnie zaczęły występować najbardziej groźne oznaki zmęczenia. Czuję coraz większy odpływ sił, osłabienie woli walki.

Do mety było już nie więcej niż 50 metrów. Z najwyższym trudem podnosiłem w górę kolana. Plecy przygniatał jakiś niesamowity, narastający ciężar. Jakby ktoś sadyście dokładał co chwila sztabę żelaza.

Nie, nie poddam się. Będę walczył do końca.

Biegłem więc dalej z rozpaczą w sercu, zły i nieporadny, w poczuciu bezsilności. Meta była tuż, tuż. Ale ja coraz bardziej wątpiłem w swoje szanse.

W miarę jak stawka zawodników zbliżała się do taśmy, wrzawa na trybunach nasilała się. Wymachiwano zwiniętymi w rulon gazetami. Niektórzy kibice tłoczący się przy samej bandzie przewieszali się przez drewnianą barierę i usiłowali poganiać papierową maczugą co leniwszych zawodników.

Zdawało mi się, że i ja mam swojego „kata”... Był to rosły chłop o rudej czuprynie. Wyraźnie się na mnie wznosił, ilekroć bowiem przebiegałem obok niego — miałem już za sobą cztery okrążenia — widziałem jego nieprzyjazną gębę. Wychylał się głęboko w moją stronę — wyraźnie chyba niezadowolony — z ręką uzbrojoną w rulon jakiejś kolorowej gazety. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że przy najbliższej okazji wyrznie mnie w głowę. Gdy przebiegałem obok rudego, odchylałem się machinalnie, aby nie oberwać...

Do taśmy już chyba nie dalej niż 40 metrów. Ostatnia krótka prosta 30 metrów! Było ze mną coraz gorzej. W skroniach słyszałem rytmiczne uderzenia młotów. Płuca wypełniał tępy ból. Z trudem chwytalem oddech. Jakby ktoś od bioder po szyję skrępował mnie mocno sznurem. Nogi odmawiały coraz bardziej posłuszeństwa. Chwilami wydawało mi się, że stoję w miejscu. Marzyłem o tym, aby się zatrzymać, a potem paść na zniechęconą bieżnię i długo, dłu-

go leżeć bez ruchu. Tymczasem musiałem dalej walczyć z rywalami, z czasem, z przestrzelenia, no i z samym sobą.

I właśnie w momencie najcięższego kryzysu doszedł do mnie Yerman! Machinalnie zamknąłem oczy... Niemał zawsze gdy walczę z rywalem w ramieniu na ostatniej prostej, gdy zwątpię w swoje siły — przymykam oczy. Wydaje mi się, że meta przyjdzie szybciej, że za moment — gdy otworzę oczy — będę już po tamtej stronie taśmy.

W ogóle boję się biec spoglądać w stronę mety. Dziwne: nigdy nie myślę o mecie jako o miejscu triumfu. (Z przymkniętymi oczami na ostatnich kilkudziesięciu metrach biegałem na wielu już zawodach, także na olimpiadzie w Tokio).

Yerman zaatakował mnie i próbował wyprzedzić. Nie stać mnie już było na podjęcie walki. Zdobyłem się na jedną jedyną rzecz, która mi pozostawała — blokowałem rywala, nie pozwalając mu wyjść do przodu. Chwył ten mieścił się w zwyczajach amerykańskich, choć w Europie uchodziłby za postępek niezbyt fair.

W momencie więc gdy Yerman zbliżył się na tyle, że mógł mnie wyprzedzić, odskoczyłem gwałtownie w prawo. Ale w ułamku sekundy później Amerykanin odpowiedział zręcznym manewrem: zwolnił nieco i potem wyprzedził mnie szybkim szusem z lewej strony. Odbiegłem bowiem na tyle od lewej bandy, że mógł się zmieścić pomiędzy mną i poboczem bieżni. Zobaczyłem znów jego plecy...

Ćwierć doby w wodzie

WYPIĘM na czczo pół litra tranu, który zagryzłem bułką. Tłuste śniadanie dawało uczucie sytości, będę mógł płynąć przez parę godzin bez konieczności trawienia cennych minut na odżywianie. Tran był też jednym ze składników mieszanki, którą wysmarowałem ciało od stóp po szyję.

O szóstej rano, gdy wstawałem po kiepsko przespanej nocy — właściwie była to drzemka — stan morza wynosił 3° w skali Beauforta. Zawody stały więc pod znakiem zapytania. W dodatku temperatura wody była poniżej regulaminowych 18°.

W półtorej godziny później zrobiło się cieplej, morze trochę się uspokoiło i start do maratonu pływackiego Hel—Gdynia wyznaczono ostatecznie na godzinę dziesiątą.

Ustawiliśmy się w jednej linii w wodzie po pas na plaży u samego czubka Półwyspu. Mając 25 lat byłem najmłodszym uczestnikiem zawodów, jednym z 12 startujących. Najstarszy zawodnik Tadeusz Leśniewski z Warszawy liczył prawie dwa razy tyle.

Czekając na wystrzelenie rakiety spojrzałem mimo woli na rysujący się mglisty — raczej w wyobraźni niż w pełni uchwytny zmysłem wzroku — kontur brzegu, hen po drugiej stronie. Od mety w Gdyni dzieliło nas osiemnaście i pół kilometra! Ogrom tego trudnego dystansu przerażał.

Gdy wreszcie biała rakietka poszła w niebo, rzuciłem się błyskawicznie w wodę. Pierwsze wrażenie było takie, że natłuszczone ciało miało pożądaną poślizg, a to wpływało dobrze na samopoczucie. Złudzenie dobrego ślizgu (w praktyce efekt minimalny, ale jaki chytry chwyt psychologiczny) miałem także dlatego, że przed zawodami zgoliłem włosy z klatki piersiowej oraz z rąk i nóg. Dzięki temu jestem bardziej opływowy! Oczywiście ogoliłem starannie twarz. W czasie poprzedniego maratonu jeden z zawodników, nie usunawszy dokładnie zarostu, podrapał sobie ramiona o szpicz. Przecież płynąc na tak długim dystansie zawodnik wykonuje — jak ktoś obliczył — do 40 tysięcy ruchów ramion i głowy.

Kędzia narzucił z miejsca tempo sprinterskie, chcąc się oderwać od przeciwników. Poszedłem natychmiast za nim i płynąc obok starałem się zachować ten sam rytm rąk. Czuję szybszość i to dawało mi dobre samopoczucie. Szedłem z Kędzią ramieniem w ramię przez 2 km. Przy nabieraniu oddechu zauważyłem wówczas jakby zdziwioną twarz rywala, który był chyba zaskoczony, że tak diugo mu towarzyszę, mimo piekielnego tempa. Tymczasem knulem wobec Kędzi niecy plan: będę się go trzymał możliwie najdłużej, a na końcu spróbuję uciec! Czuję przed nim respekt, ale oczywiście nie wyzywałem się myśli o zwycięstwie nawet nad tak renomowanym maratończykiem.

A swoją drogą — czy jeszcze parę lat temu mogłem przypuszczać, że będę rywalizował z mistrzami crawla? I to w morderczym maratonie! Oddałem się wspomnieniom, podczas gdy ramiona i nogi puszczane w ruch pracowały regularnym rytmem. Pływając na dłuższych dystansach chętnie zabijam czas rozmyślaniami o różnych sprawach. Niekiedy puszczam sobie „film” z fragmentami zyciorysu. Na przykład chętnie wspomina-

Mistrzostwo USA na dystansie 600 jardów miałem więc z głowy. „Nie będą dla mnie wielką pociechą laury wicemistrza” — przekmnęło mi przez myśl.

Zbyt jednak pośpiesznie przydzieliłem sobie tytuł wicemistrza. W ostatnim, dośłownie, ostatnim ułamku sekundy, właśnie już na mecie — Amerykanin Tomeo desperacko rzucił się na taśmę. Fotokomórka ujawniła później, że był lepszy o centymetry...

Ze zmęczenia i emocji przez dłuższą chwilę nie mogłem ochłonąć. Stałem na linii mety na środku bieżni, jakby mnie nagle sparaliżowało. Opamiętałem się trochę dopiero wtedy, gdy podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zdecydowanym gestem zabrał mnie z bieżni. Za chwilę rozpoczął się następny bieg.

Ruszyłem przed siebie. Chciałem zaszyć się w jakiś odludny kąt. Na zapleczu trybun znalazłem puste pomieszczenie, do którego prowadziły wąskie schody. Było to zdaje się zapasowe wyjście na ulicę. Postanowiłem tutaj przeczekać do końca zawodów, w których tej nocy startowali jeszcze Czernik i Baran.

Byłem odrętwiały z goryczy, zdenerwowania i gorączki. W miarę jak opadała ze mnie emocja przebytej walki, potęgował się ból w nodze. Nie wiem, jak długo przesiedziałem na schodach. Dostrzegł mnie tam przypadkowo niemiecki 800-metrowiec, Bogatzki — zmęczonego do ostatnich granic i złamanego odwiózł do hotelu. Tej nocy nie mogłem zasnąć.

przeszłość z okresu, nim zostałem zawodnikiem. Dzisiaj nadarza się nie byle jaka okazja do „rozmyślań z nudów” — spędzę aż 6 godzin w wodzie. Cwierć doby! Oddając się deliberacjom, zachowałem oczywiście czujność, bacząc, by mój rywal nie umknął do przodu.

Czy mogłem jeszcze przed 5 laty mieć nadzieję, że zostanę zawodnikiem? Przecież zacząłem pływać bardzo późno, bo mając lat 20. Zrobiłem to raczej dla fasonu; żeby na plaży nie być obiektem kpinek. Pamiętam docinki kolegów i nauczyciela od WF:

— Stary koń — mówili (miałem wtedy 17 lat) — a zachowuje się w wodzie jak pokraka...

Rzeczywiście pływałem wtedy bardzo pociesznie: tylko na boku, młóćąc przy tym rozpaczliwie pod wodą jedną ręką.

W trzy lata później trener cieszyńskiego „Piasta” powiedział:

— Na „starość”, bo masz już 20 lat, możemy się uczyć tylko stylu. O pływaniu wyczynowym zapomnij!...

Trener miał niewątpliwie rację. Gdy się chce uprawiać pływanie zawodniczo, trzeba rozpocząć edukację w wodzie w wieku 5—6 lat.

A jednak nie dałem za wygraną! Słowa trenera podrażniły moją ambicję. Wziąłem się ostro do treningu. Po 2 latach przyszedł, o dziwo, pierwsze sukcesy: finał mistrzostw Polski na 400 m, a w rok później, w 1964, udział w maratonie Hel—Sopot. Nawiasem mówiąc, przed tamtym maratonem trenowałem niewiele, robiąc tylko po 5—6 km dziennie — i to zaledwie na miesiąc przed zawodami — podczas gdy dzienna porcja pływacko-maratończyka powinna dochodzić do 20 km.

Zabrakło mi wtedy wytrzymałości fizycznej. Być może było to skutki niedożywienia z minionych lat. Opuściwszy dom dziecka w Cieszynie, zacząłem pracować w kopalni Kleofas w Katowicach, przez cały okrąg rok. Żeby sobie to i owo sprawić, nie dojadłem. Praca w kopalni była dla 16-letniego młodzieńca o wątej konstrukcji fizycznej zbyt ciężka. Później wstąpiłem do szkoły zawodowej. Odczuwałem wtedy, rzecz jasna, jeszcze większy niedostatek, niż kiedy pracowałem w kopalni.

Po ukończeniu szkoły wróciłem do Cieszyna. W międzyczasie odnalazłem matkę, uwięzioną w 1943 r. przez gestapo po aresztowaniu ojca. Spotkaliśmy się dopiero po wielu latach. Ojciec został rozstrzelany przez Niemców, gdy miałem 3 lata. Gestapo przyszło po niego w dniu, kiedy przekradł się na krótko do domu z partyzantki w lasach cieszyńskich. Zaopiekowali się mną obcy ludzie. Po wojnie trafiłem do domu dziecka. Ani w sierocińcu, ani później w okresie nauki w szkole zawodowej nie było warunków, które by mi pozwalały nabyć tężyzny fizycznej przyszłego zawodnika.

Wzbierająca fala w Zatoce Gdańskiej przywołała mnie do rzeczywistości. W dodatku mój najgroźniejszy rywal zaczął się nieznacznie oddalać. Zaczęło się to w momencie, gdy nakryła nas w pewnej chwili spora fala. Kędzia wynurzył się z niej w prawie 2-metrową przewagę. Widząc, że zostaje w tyle, rywal uderzył mocniej ramionami i dystans między nami jeszcze się zwiększył. Nie poszedłem, wbrew początkowym założeniom taktycznym, za Kędzią, oszczędzając siły na finisz. Tyle, że nie pozwolę mu zbyt się oddalić.

Po 5 km rywał zyskał 500 m przewagi. Był to na pewno dystans do odrobienia. Ale właśnie wtedy dostrzegłem u siebie pierwsze objawy kryzysu. Uświadomiłem sobie, że słabnę. Dostałem dreszczy. Zimno, wróg nr 1 pływaka, zaczęło atakować mięśnie. Towot ściał się w chłodnej wodzie na skorupę i zaczął odpadać. Tego nie przewidziałem — groziło mi szybkie zmarznięcie.

Oddałem się na chwilę marzeniom o ciepłych morzach... Wyobraźnia to jednak stanowczo za mało żeby ogrzać drętwiejące ciało. I wtedy pomyślałem — wstyd przyznać — o kieliszku alkoholu. Groźna myśl. Wszak w czasie poprzedniego maratonu jeden z zwodników uraczył się rumem podanym mu cichaczem z łodzi. Skutek był taki, że alkohol poraził organizm. Zawodnik zasłabł na 200 m przed metą. Bliski utonięcia został wyciągnięty z wody przez ratowników.

Jednym z objawów kryzysu była nerwowość ruchów. Straciłem rytm i szybkość. Zimno stało się coraz bardziej dokuczliwe. Zacząłem się rozglądać za szalupą, żeby poprosić o coś gorącego do picia. Każdemu zawodnikowi towarzyszyła ubezpieczająca łódź wiosłowa (miała ten sam numer co pływak na czepku) na której znajdowało się 6 marynarzy, dowódca załogi i sędzia, będący zarazem ratownikiem.

Rozglądając się za szalupą spostrzegłem już drugą wystrzeloną rakietę. „A więc jeszcze jeden zawodnik zakończył wyścig” — pomyślałem. W myśl regulaminu łódź zawodnika, który wycofuje się z trasy, wystrzela rakieta. Wówczas pod wpływem inna łódź z lekarzem i zabiera delikwenta na pokład.

Poprosiłem o gorącą kawę. Po wypiciu zapytałem, jak daleko jest Kędzia. Znajdował się około 400 m w przodzie. „To niezbyt wiele” — pomyślałem.

— A następny za mną? — rzuciłem pytanie.

— Jakies 900 metrów — brzmiała odpowiedź. — Kriesie.

Ruszyłem mocno z zamiarem zbliżenia się do Kędzi. Promienie słoneczne przebijają tafle wody do głębokości jakichś 2 metrów — niżej rozciągała się absolutna ciemność. Tuż pod powierzchnią wody błyskały galaretowate kraszki meduz, których było coraz mniej, w miarę jak się powiększała odległość od cieplejszych wód przybrzeżnych.

Rytmicznymi wyrzutami rąk szedłem mocno do przodu, płynąc w niemal sprinterskim tempie około godziny. Po tym 60-minutowym pościgu uniosłem głowę żeby sprawdzić odległość od Kędzi. Ocenilem, że dystans dzielący mnie od rywala nie uległ zmniejszeniu. Z rozpaczy głośno jęknąłem. Ogarnęło mnie zmartwienie, czy w ogóle zdolam dojechać. Tym chętniej dałem posłuch zewnętrzny głosowi, aby po godzinnym wyczerpującym pływaniu napić się gorącej czekolady i chwilę odpocząć.

Regulamin przewidywał na odżywianie i odpoczynku 5-minutowe przystanki przy szalupie towarzyszącej — co godzina. Nie pożywając się i nie odpoczywając, można więc było zyskać na trasie do Gdyni całe pół godziny. Łatwo powiedzieć! Nawiasem mówiąc: doszedłem do wniosku, że w czasie maratonu nie powinno się podawać ani rosołu, ani czekolady. Są ciężko strawne. Należałoby raczej serwować soki owocowe czy inne lekkie strawne napoje.

Podniosłem rękę do góry — znak, by podплыnęła łódź. Poprosiłem o kubek rosołu. Był zbyt tłusty, więc żołądek oddał go Neptunowi... Nie podzielił natomiast tego losu kubek gorącej czekolady. Ruszyłem dalej wolnym, relaksowym tempem, ale po kilku minutach poszedłem ostro. Napiąłem przy tym zbyt mocno mięśnie i w efekcie doznałem skurczu w lewej nodze. Stałem w wodzie i zacząłem masować łydkę. Gdy to nie pomogło, uszczyptałem się kilka razy, pobudzając w ten sposób krążenie krwi. Kurcz zaczął powoli ustępować, więc ruszyłem wolno naprzód, by łagodnie pobudzić nogę do pracy. Posiłek przy łodzi i masaż zabrały mi około 6 minut. Tyle, ile potrzeba na przebieganie 400 metrów. Kriesie mógł mnie niedługo dojechać. Przyspieszyłem tempo, pracując ramionami harmonijnie, ale i ekonomicznie.

Po godzinie samotnego pływania osiągnąłem półmetek. Wtedy zimno stało się wprost nie do zniesienia. Ciałem wstrząsały raz po raz dreszcze — czułem jak drgają wszystkie mięśnie. Był to rodzaj zimna przypominający szczypanie mrozu.

Przywołałem znowu moją szalupę, ale nie zatrzymywałem się dłużej, niż tego wymagało wypicie kawy. Łykając gorący płyn tłumiliłem szczypanie zębów o kubek. Nadrabiając miną, próbowałem nawet gwizdać. Poprosiłem jeszcze dowódcę łodzi o zmierzenie temperatury wody. Samo odczytanie termometru przyparowało mnie o dodatkowy dreszcz — zaledwie 14 stopni! Inna rzecz, że płynąłem już w wodzie o temperaturze 12°. Po dwóch godzinach (tylko tak długo wytrzymałem) mógłbym kłuć ciało i chyba nie odczuwałbym żadnego bólu.

Załoga szalupy dodawała mi otuchy, jedynie sędzia przyczajony do dzioba zachował surową, urzędową twarz. W kilka minut później, gdy fala jeszcze bardziej się spiętrzyła, dostrzegłem pocziwego arbitra leżącego bez ruchu na dziobie z głową przewieszoną przez burzę. Było dla mnie w tym widoku coś krępującego; ja jednak, choć miotany falami, nie uległem takiej słabości.

Płynąłem przez większość trasy samotnie, nie miałem obok siebie rywala, z którym mógłbym się ścierać, co mobilizowałoby do jeszcze większego wysiłku. Znalazłem go nieoczekiwanie w... towarzyszącej łodzi. Udawało mi się ją raz po raz wyprzedzać, zwłaszcza kiedy szalupa wyrzucana na szczyt fali zwisła na moment jakby w próżni, a chwycyła majtkowie łapali na wiosła... powietrze. Słyszałem głośno wypowiedzianą komendę dowódcy: — czy—cztery. — Marynarskie czoła ociekały potem.

Niebo zaciągnęło się ciężkimi chmurami. Gdy łódź znowu zbliżała się do mnie, komendant krzyknął:

— Zbiera się na burzę! Będzie gorąco...

Odkrzyknąłem:

— To dobrze, fala popchnie mnie do mety!

Liczyłem jednak na własne siły, więc znowu poszedłem mocniej do przodu, dla zwiększenia tempa i rozgrzania mięśni. Płynąłem tak przez jakie pół godziny. I potem znowu nieco zwolniłem, oszczędzając siłę na finisz. Trochę z nudów, a trochę dla dodania sobie animuszu zacząłem śpiewać szlagiery z repertuaru mojego ulubionego zespołu „Czerwone gitary”. W tym solowym popisie przeszkadzała mi fala, zalewając znieczka usta.

Gdy szalupa ponownie się znalazła w pobliżu, zapytałem, jak wygląda sytuacja na trasie.

— Kędzia wyprzedził pana o 700 metrów. Kriesie znajduje się o jakies 600 metrów w tyle. Wasza trójka ma nad pozostałymi zawodnikami 2—3 km przewagi.

Wynurzywszy po chwili głowę, zobaczyłem w oddali betonowe moło w porcie gdyńskim. Do mety już tylko jakieś 3 km. To mnie wprost uskrzydliło. Poszedłem jeszcze raz ostro do przodu. „Muszę dojechać jak najbliżej Kędzi — postanowiłem. — I uciec Kriesemu!”

Ciężkie czarne chmury wisiały teraz bardzo nisko nad horyzontem. Fala wzmogła się jeszcze bardziej. Siła wiatru dochodziła bodaj do 5°. Czuliśmy, że lada moment rozsiale się burza. Gdzieś w oddali błysnęło się raz i drugi. Płynąłem dość ostro przez jakiś kwadrans.

Zatrzymałem się na chwilę, aby szybko wychylić kubek czekolady. I wtedy nagle zauważyłem, że po mojej lewej ręce, w odległości jakichś 200 m, wyprzedza mnie Kriesie. Zdebiłem. Zdawało się rzeczka niemożliwa, aby mógł mnie tak szybko dojechać. A jednak! Widocznie miał swój dzień. Zobaczywszy Kriesego nie dopiłem czekolady, lecz rzuciłem się ostro w jego stronę. Chciałem go koniecznie dojechać i nie dać się zdystansować. Zdawało mi się, że nie mam już dość odporności psychicznej, by płynąć dalej samotnie. Z drugiej strony widok rywala, który mnie doszedł i zaczyna zdobywać przewagę, odebrał mi wiarę we własne siły.

Dokuczała mi wysoka boczna fala utrudniająca dojeżdżenie Kriesego. I właśnie teraz zaczynał się mój największy kryzys od chwili startu: czułem, że po prostu nie mam siły dalej płynąć. Zimno paraliżowało mięśnie.

Przeklinałem dzień, w którym nauczyłem się pływać — nie tkwiłbym teraz w tej przeklętej słonej kąpieli.

Ale najgorsza była narastająca apatia, wraz z nią przyszła natrętna myśl o wycofaniu się... Po kilku minutach Kriesie znikł mi z oczu — musiał pójść ostro w kierunku mety. Zacząłem gorączkowo myśleć: „Co będzie, jeśli się wycofam? To byłaby kompromitacja! Mój klub (wtedy jeszcze bytomska Polonia — przyp. Autora) na pewno nie wysłałby mnie więcej na maraton”. Miałem przecież jechać na mistrzostwa Polski; władze klubowe pozwoliły się jednak prześlagać obietnicą dobrej lokaty w wyścigu na Zatoce Gdańskiej.

Nie mówię już o tym, że cały mój wysiłek poszedłby na marne. Wszak przygotowywałem się do maratonu przez dwa miesiące, przez dwa miesiące bałtycki wyścig śnił mi się po nocach! Czyżbym miał zrezygnować właśnie w chwili, gdy już tak niewiele kilometrów dzieliło mnie od celu? Nie! Niech to będzie ostatni w mojej karierze maraton, ale muszę go ukończyć!

Boczna fala bije w twarz — jak uderzenie dłoni. Niemal każda fala to także łyk wody. Czuję, że żołądek pęcznieje mi od tej solanki. Dobrze chociaż, że w momencie schodzenia z fali ów nagły dziwnie chłonny narząd zwracał wodę morzu...

Gdy mowa o żołądku: na parę kilometrów przed metą nawiedziło mnie uczucie potwornego głodu. Marzyłem o... kiełbasie. Królestwo za wianek krakowskiej! Przysięgałem sobie, że gdy tylko dotrę do Gdyni, rzucę się na bankietowa kiełbase.

Właściwie potrafię być wytrzymały na głód. Robiłem już takie eksperymenty, że piywając na czczo, sprawdzałem, jak długo wytrzymam w wodzie o pustym żołądku. Okazało się, że mogłem płynąć bez jakiegokolwiek posiłku przez 4 godziny. Nie odczułem przy tym ani zwiększonego zmęczenia, ani żadnych dolegliwości.

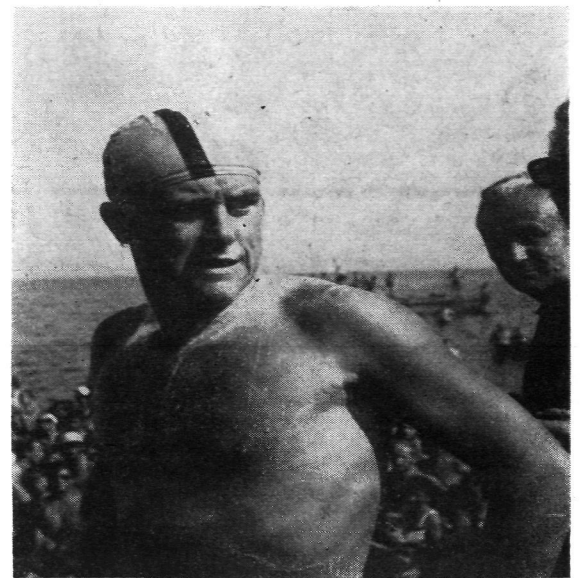
Od mety dzieliły mnie chyba już niecałe 2 km, gdy nagle z nieba posypał się grad. Lodowe kulki wielkości orzecha laskowego siekły z impetem wzburzone fale. Jednocześnie zrobiło się tak ciemno, że widoczność zmalała do niecałych 2 metrów. Niebo rozdierały raz po raz błyskawice; w chwilę później nad spienioną zatoką przetoczyły się grzmoty piorunów. Nie wiedziałem, że w tym czasie od podmuchów wiatru przewróciło się w Zatoce kilkanaście żaglówek startujących w regatach.

Słyszałem, jak na naszych łodziach zarządzone alarm: organizatorzy kazali wycofać wszystkich zawodników z trasy. Kędzia i Kriesie pewno już się zameldowali na mecie! Za mną płynęło już tylko trzech ludzi.

Gdy rozległ się alarm, natychmiast dałem nurka w wodę. Obawiałem się, że mogę być dostrzeżony, zwłaszcza, że na łodziach zapalono reflektory, aby łatwiej odszukać śmiałków zmagających się z przeciwnościami natury. Pozwolić się wyłowić właśnie teraz — tuż przed metą? Nigdy!

Trzech zawodników płynących z mną miało mniej szczęścia w swoim uporze. Wyciągnięto ich po kolei siłą. Słyszałem, jak na kilka minut przedtem sędzia na jednej z łodzi krzyczał do płynących:

— Bedziecie mieć maraton zaliczony, tylko wyłażcie z wody! Sędzia główny polecił przerwać wyścig!



Tadeusz Mazur przed startem do wyścigu

Gdzieś blisko w burzowym mroku, na łodzi ubezpieczającej wywołano parokrotnie moje nazwisko. Na szczęście załoga nie mogła mnie dostrzec. Dla pewności nurkowałem raz po raz, płynąc pod wodą możliwie najdłużej. Fala była teraz moim sprzymierzeńcem, kryjąc przed tropicielami z szalupy.

Wynurzając się, wystawiałem głowę i uszy na uderzenia gradu — odczuwałem wówczas szczypanie bólu. Nurkując na głębokości jakichś dwóch metrów, mogłem obserwować, jak lodowe pociski wpadały z impetem w wodę, zanuzały się na kilkadziesiąt centymetrów i roztopiały. Znowu wyszedłem po oddech i po chwili kryłem się w wodzie. Płynąłem tak przez jakiś kwadrans, przebywając około kilometra. Dobra nasza!

Gdy w pewnym momencie wynurzyłem się, serce zabiło z radości, że znajduje się między palami dźwigającymi moło! Meta była tuż, tuż. Niebo trochę się przejaśniło, a grad ustąpił miejsca rzęsystemu deszczowi.

Objąłem ramionami oślizły pal i chwilę odpoczywałem ciężko dysząc. Byłem u kresu sił. Przez gęstą ścianę deszczu niewiele mogłem dojrzeć, ale w pobliżu nie było chyba żywej duszy. Odbijałem się — pewnie już resztką sił — od pala do pala, nie będąc w stanie wyciągnąć rąk z wody. W ten sposób dobrałem do bramy wejściowej portowego akwenu*). I tu nagle... nadziałem się na moją łódź. Ktoś krzyknął:

— Tutaj. Tutaj jest!

Dałem nurka, starając się płynąć jak najdłużej pod wodą.

Od bramy do samej mety — w basenie jacht-klubu im. Zaruskiego — było jeszcze najwyżej 200 metrów. Zaciśnięte żeby i siłąc się na prawdziwy styl, chciałem popłynąć z fasonem mocno finiszującego zawodnika. Miałem uczucie, że serce podchodzi mi do gardła — głowa, ręce i nogi ciążyły jak powleczone ołowiem. Zamglonym spojrzeniem dostrzegłem na transparencie upragniony napis — Meta. Dosłownie wyciskałem z siebie ostatnie poty. Czuję, że nogi mi sztywnieją — cała nadzieja w rękach, które tnąc wodę mozolnie przesuwają ciało metr po metrze do przodu. Wbrew pozorom, na tej długiej maratonowej trasie ważny jest każdy metr, każda sekunda. Wreszcie nabrzeże!

Na nabrzeże wychodziło się po drabince. Wspinałem się niepewnie na pierwszy szczebel i... odpadłem. Druga próba również się nie powiodła. Dopiero koledzy klubowi wyciągnęli mnie z kąpieli; gdy szedłem z ich pomocą zalewany strugami deszczu, staniałem się na nogach. To, co się działo dokoła, nie docierało w pełni do mojej świadomości. Pamiętam, że ktoś narzucił mi na ramiona koc, oczy oślepił na moment reporterski flesz. Potem otoczyła mnie gromadka pokrzykujących dzieci, a publiczność zgromadzona pod daszkiem budynku fetowała brawami. Nie mógłbym ustalić z całą pewnością owej chwili, kiedy wiceadmirał Zdzisław Studziński ścisnął mi dłoń. Przyjmując te gratulacje musiałem być błąd jak papier, a sine z zimna usta z trudem wymamrotały słowa podziękowania.

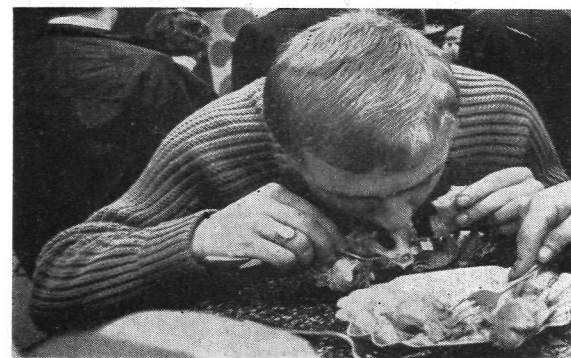
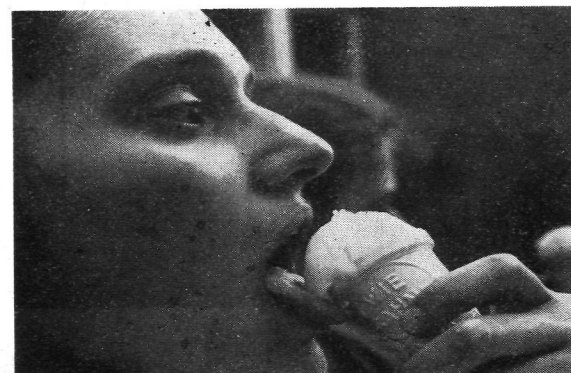
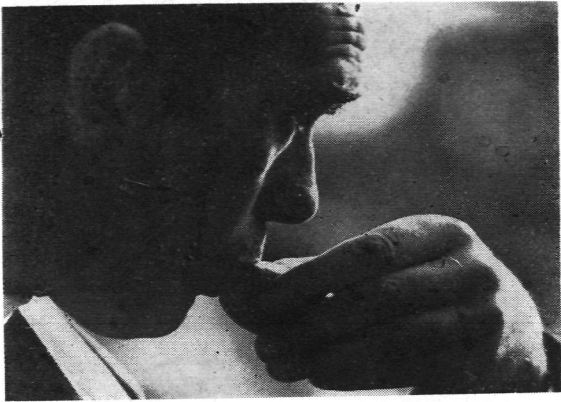
Zjawiłem się na mecie w 10 minut po Kriesem (przebywając w wodzie dokładnie 6 godzin, 5 minut i 30 sekund), którego zwycięzca maratonu, Kędzia, wyprzedził o 39 sekund. Tylko o 39 sekund! Zatokę pokonało więc zaledwie 3 zawodników, nie licząc trójki, którą wyłowiono tuż przed osiągnięciem celu.

Na mecie nie podano mi nic gorącego, lecz od razu zostałem zaprowadzony do lekarza: tętno miałem takie samo jak na starcie, za to temperatura ciała bliska była stanu hibernacji: 32°! I jeszcze jedno — w ciągu 6 godzin ubyło mi 2 kilogramy.

Po badaniu, kąpieli i masażu poszedłem do pomieszczenia, gdzie znajdował się skromny bufet. Jak w transie rzuciłem się na półmisek z kiełbasą. Zjadłem jej chyba z kilogram...

A potem zasnąłem na cztery godziny kamienym snem.

*) Obszar pokryty wodą.



Jak oni jedzą



NA ogół staramy się jeść elegancko, gdy ludzie naokoło patrzą na nas nie jak na anonimowego konsumenta, a towarzysza biesiady, gościa na weselu, imieninach, urodzinach, czy innej rodzinnej uroczystości. Jak jednak zachowujemy się do jedzenia, gdy nikt ze znajomych lub krewnych nie patrzy na nas?

Fotoreporterzy przyjrzeni się nam teleobiektywami swoich aparatów. Ich zdjęcia prezentują się trochę jak byśmy się sami sobie przyglądali w lustrze.

Czy tak właśnie próbujemy dojrzałą śliwkę jak to robi pan na górnym zdjęciu? Akurat w ten sposób szukamy smaku dopiero co kupionej porcji lodów? A może ogryzamy kostki mięsa równie nieapetycznie jak ten pan szeroko zasiadający nad stołem?

Przyznajmy, że w czasie posiłku na świeżym powietrzu, przy stole barowym lub ulicznym stoisku z gorącymi kiełbaskami, chcielibyśmy wyglądać jak ta starsza pani, zachowująca się z godnością, estetycznie, elegancko. To zresztą trudna sztuka: w pośpiechu być także eleganckim.

Foto: Al. Jałosiński (4) i Wł. Ochnio (3)

„TYGODNIK” na WAKACJACH

Dokończenie ze str. 3

duje się w pełni rozwoju zarówno gospodarstwa rolna, jak również i przemysł naftowy, metalowy, chemiczny i włókienniczy; przemierzam Podhale, któremu ongiś też doskwierało bezrobocie — przemierzam je i stwierdzam, że smętna pieśń Marii Konopnickiej o góralu porzucającym ojczyznę z głodu i nędzy należy dziś do przeszłości i że nie idzie już szukać chleba na obczyźnie dzielny i twardy lud z doliny nowotarskiej, bo znajduje pracę i zarobek we własnym kraju. Zwiedzam także pospołu z moimi właścicielami malownicze Pieniny, których zbocza są miejscami tak przepaściste, że nie może utrzymać się na nich żadna roślina i tylko nagie ściany wapienne przegładają się w bystrych wodach Dunajca; podziwiam dumnie sterczące granitowe turnie Tatr i ich poszarpane grzbiety, które tną płynące nisko chmury jak zębata piła, i tak dalej, i tak dalej. Moi czytelnicy — przypuszczam iż mimo że zapomniałem się przedstawić, to jednak poznaliście mnie po głosie i wiecie już, że jestem podwójnym, wakacyjnym numerem „Tygodnika Polskiego” — moi czytelnicy często powtarzają, że piękna nasza Polska cała. Ja oczywiście całkowicie to zdanie podzielam.

Moi czytelnicy, którzy są także moimi serdecznymi przyjaciółmi, czytają mnie od deski do deski. Niektórzy czytają mnie rano, inni w południe, a jeszcze inni wieczorem. Wszyscy czytają mnie z ogromnym zajęciem. Kiedy mnie otwierają, na twarzach ich widać wyraźne ukontentowanie. Cieszę się, że czytelnicy darzą mnie uczuciem, bo ja też świata bożego poza nimi nie widzę. Do czytelniczek moje papierowe serce czuje, rzecz jasna, szczególniejszą skłonność. Lubie, kiedy panie zabierają mnie ze sobą na plażę i zasłaniają się mną od słońca. Kiedy ich noski dotykają moich szpalt, wstrząsa mną dreszcz rozkoszy.

Mężczyźni tak nie robią. Na plaży udają, że mnie czytają, ale w rzeczywistości patrzą jak sroka w gnat na damskie pępki. Wielu z nich mnie chwali, ale są i tacy, którzy twierdzą, że jestem za szczupły. Za szczupły! Przecież nie mogę być taki gruby jak pan Józef Grzybek albo jak były król egipski Faruk. Gdybym był grubszy, byłbym z pewnością także i droższy, i wówczas może nie każdy emigrant mógłby mnie kupić. A przecież ja powinienem gościć każdego tygodnia w każdym emigranckim domu.

W tej chwili goszczę już wprawdzie w bardzo wielu polskich domach we Francji i Belgii, bo te osoby, które mnie kupują i abonują, pożyczają mnie swoim znajomym. Ja nie przeciw temu nie mam, wprost przeciwnie: lubię być pożyczanym. Ale bardzo chciałbym, aby ci, którzy mnie wypożyczają i którym się przecież podobam, też zaczęli mnie kupować. Bo jeśli będzie mnie kupowało i abonowało coraz więcej ludzi, redakcja będzie mogła uczynić mnie jeszcze ładniejszym i jeszcze ciekawszym. Dlatego byłbym strasznie rad, gdyby czytelnicy przysparzali mi przyjaciół i prenumeratorów nie tylko podczas trwania dorocznego Wielkiego Konkursu, ale w ciągu całego roku, a więc także i w czasie wakacji.

Mniej więcej godzinę temu przyjechałem z jednym starym emigrantem z Pas-de-Calais do Kościana, który jest jednym z najstarszych miast wielkopolskich. Ten stary emigrant widocznie pochodził z tej okolicy, gdyż na widok Kościana zdjął go ogromne wzruszenie i jał sam do siebie mówić. To, co mówił, było bardzo podobne do jednego wiersza nieżyjącego już poety Edwarda Fiszera, który kończy się tak:

*Łatwo zapytać: gdzie urodzony?...
A tu łan żyta, w dali lasu wstęga —*

*Równe jak stoły z chlebem moje strony
I Warta świeci daleko na łęgach.*

*Odejść nielekko i powrócić ciężko...
Bo jeśli wszystko wygląda inaczej?...
Przejdę się latem wielkopolską ścieżką...
Gdziem urodzony — raz jeszcze zobaczę.*

Ten emigrant wszedł w Kościanie do kawiarni i zaczął mnie tam wertować. Po chwili wyszedł z kawiarni, ale był tak roz-

targniony, że zapomniał zabrać mnie ze sobą. Zostawił mnie na stoliku. Szczęściem w chwilę potem przy stoliku, na którym leżałem, usiadło starsze małżeństwo, które też przyjechało z Francji. To małżeństwo jeszcze mnie nie znało. Bardzo mu się spodobałem. Myślę, że kiedy ci ludzie wrócą do Francji, zaczną mnie regularnie kupować. Może mnie nawet zaprenumerują. Może zaprenumerują mnie również Wasze dzieci oraz Wasi krewni i znajomi? Pamiętajcie o tym, że to jedyne ilustrowane pismo polskie we Francji, jakim jest Wasz „Tygodnik”, nie jest pismem bogatym i dlatego trzeba je nie tylko czytać, ale także prenumerować i rozpowszechniać.

Słę Wam z wakacji moc serdecznych pozdrowień.

Wasz „TYGODNIK”

U R O C Z Y S T A A K A D E M I A W W A R S Z A W I E

Dokończenie ze str. 3

Akademii utworzyła przewodniczącą Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej, wicemarszałek Sejmu Halina Skibniewska, która w swym wystąpieniu przypomniła wielowiekowe związki i tradycyjne więzi łączące oba kraje. Mówiła również o rozwijających się w ostatnich latach kontaktach politycznych, gospodarczych, naukowych i kulturalnych, podkreślając znaczenie wizyty prezydenta Charles de Gaulle'a w Polsce, oraz o zbliżającej się podróży Edwarda Gierka do Francji.

Następnie zabrał głos ambasador Francji A. Jordan, który w swym wystąpieniu podkreślił, że realizacja współpracy i wymiany w różnych dziedzinach między obu w szybkim tempie rozwijającymi się gospodarczo krajami, jest wzajemnie korzystna oraz służy pokojowej współpracy na naszym kontynencie. Ambasador wyraził przekonanie, że wizyta Edwarda Gierka we Francji będzie miała doniosłe znaczenie dla dalszego rozwoju stosunków i współpracy między obu krajami.

Podkreślając znaczenie działalności Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej A. Jordan życzył mu jak najlepszych wyników w realizacji zadań.

Życzenia TPP-F złożył również Raymond Dumont. Mówiąc o działalności Towarzystwa France-Pologne, skupiającego wiele osobistości życia polityczno-społecznego Francji, R. Dumont podkreślił, że służy ona ukazywaniu społeczeństwu francuskiemu zarówno historycznego dorobku, jak i współczesnego dnia Polski, służy umacnianiu tradycyjnych związków przyjaźni między obu narodami. Działalności Towarzystwa France-Pologne jak i Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej przyświeca szczytna idea — powiedział on — aby przez wzajemne poznanie lepiej się rozumieć, a przez rozumienie — zacieśniać serdeczne więzi.

W części artystycznej akademii znany polski pianista, prof. Jan Ekier grał utwo-

ry Fryderyka Chopina. Po koncercie udało nam się zamienić kilka słów z panami **Raymondem Dumont i Alexem Krakowiakiem**. Zapytaliśmy ich o to jak wyobrażają sobie współpracę pomiędzy Towarzystwem France-Pologne i nowo powstałym Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Francuskiej.

P. Raymond DUMONT:

— *Bardzo liczymy na nawiązanie z TPP-F bliskiej współpracy. Naszym wspólnym zadaniem i celem, jaki nam przyświeca, jest pomaganie w rozwoju wymiany kulturalnej, gospodarczej, technicznej, naukowej i handlowej pomiędzy Francją i Polską. Wyobrażam sobie, że nasza współpraca będzie polegała na podejmowaniu wspólnych akcji, organizowaniu różnego typu imprez i spotkań mających na celu ukazanie obrazu dzisiejszej Polski, jak największej liczbie Francuzów oraz obrazu Francji jak największej liczbie Polaków. Jestem wielkim optymistą, jeżeli chodzi o naszą współpracę i wierzę, że przyczyni się ona do jeszcze większego zacieśnienia więzi pomiędzy naszymi narodami poprzez wzajemne poznanie.*

P. Alex KRAKOWIAK:

— *W najbliższym czasie chcielibyśmy spotkać się z kierownictwem TPP-F, aby wspólnie omówić możliwości współpracy. Pragnęlibyśmy ustalić, w jaki sposób moglibyśmy wzajemnie sobie pomagać. My możemy na przykład dostarczać różnego rodzaju materiały na temat życia we Francji, interesujące stronę polską i odwrotnie chcielibyśmy podobne materiały na temat Polski otrzymywać od TPP-F. Byłyby to na przykład informacje na temat polskiej sztuki, filmu, historii i współczesnego życia, materiały dotyczące rozwoju polskiej gospodarki itp. Chcielibyśmy również uzgodnić warunki wymiany specjalistów, naukowców reprezentujących różne dziedziny, aby móc wspólnie organizować wykłady; my — France-Pologne tutaj w Polsce, wy — TPP-F — u nas we Francji. Jest to najlepszy sposób, aby zapoznać francuskie społeczeństwo z obrazem współczesnej Polski.*

A. N.



Dlaczego trzeba dużo jeść

DAWNO, bardzo dawno temu, tak dawno, że nawet mojego dziadusia nie było jeszcze wtedy na świecie, przyjechali do Polski rycerze niemieccy, którzy nazywali się Krzyżakami. Krzyżacy nosili białe płaszcze, na których był wyszyty krzyż. Byli oni bardzo źli i ciągle okradali i zabijali Polaków, więc raz jeden polski król zebrał wielkie wojsko i poszedł się z nimi bić. Ten król nazywał się Władysław Jagiełło. Po francusku WOJSKO to ARMÉE, a SPOTKAĆ to RENCONTRER. Bo polskie wojsko spotkało Krzyżaków koło wioski, która nazywa się Grunwald. Polacy walczyli z Krzyżakami przez cały dzień i w końcu ich pobili i zabrali im ich sztandary. Te sztandary widzieliśmy w Krakowie na Wawelu, ale dziadusi chciał także zobaczyć to miejsce, gdzie Polacy bili się z Krzyżakami, i dlatego pojechalismy do Grunwaldu. Tam znajduje się teraz pomnik i muzeum. Dziadusi pod pomnikiem medytował, to znaczy myślał i nic nie mówił, a my mówiliśmy o pomniku, ale nie myśleliśmy, bo nie wiedzieliśmy, o czym mamy myśleć.

A potem pojechalismy do Malborka. Malbork to jest miasto, w którym znajduje się zamek krzyżacki. Ci Krzyżacy, których Polacy nie zabili pod Grunwaldem, uciekli do Malborka i zamknęli się w tym zamku. Ale w końcu Pola-

cy i tak ich stamtąd wygonili. Dziadusi i tata mówią, że Polacy musieli być bardzo mocni i bardzo odważni. Po francusku ODWAŻNY to COURAGEUX, a OGROMNY to IMMENSE. Bo zamek Krzyżaków jest ogromny. Nigdy jeszcze nie widziałem tyle wież i takich wysokich i grubych murów jak w Malborku. Ani tyle pokoi i tyle korytarzy. Po francusku KORYTARZ to COULOIR, a KUCHARKA to CUISINIÈRE. Bo moja mama i mama Sylwii mówiły, że za żadne pieniądze nie chciałyby być w takim zamku kucharkami. A Krzyżacy musieli dużo jeść, bo byli tacy duzi aż strach. Po francusku STRACH to PEUR, a ZBROJA to ARMURE. Bo widzieliśmy w Malborku zbroje Krzyżaków. Te zbroje były jeszcze wyższe niż mój tata, a mój tata jest taki wysoki jak generał de Gaulle. Nie wiem, jak Polacy mogli takich olbrzymów pobić. Babcia powiada, że widocznie jedli więcej niż Krzyżacy i byli od nich więksi i silniejsi.

Ja teraz też będę tak robił jak dawni Polacy, to znaczy będę dużo jadł. Mój tata mówi, że mam rację, bo żeby móc mocno kochać Francję i Polskę, trzeba być silnym. A czy Wy chcecie mocno kochać Francję i Polskę? Może na razie kochacie tylko Francję, bo jeszcze nie znacie Polski. Ale kiedy zwiedzicie Polskę, to na pewno będziecie ją kochać tak jak my. Po francusku ZWIEDZIC to VISITER, a SZPINAK — to ÉPINARDS. Bo mój tata mówi, że macie jeść dużo szpinaku. I dużo innych rzeczy też.

JÉRÔME

Pourquoi il faut manger beaucoup

C'était il y a très, très longtemps. En ces temps très anciens, des hommes portant des manteaux blancs ornés d'une croix noire arrivèrent un jour en Pologne. Ces hommes s'appelaient les Chevaliers Teutoniques. Ils étaient très méchants et n'arrêtaient pas de voler et de tuer les Polonais. Alors une fois un roi polonais rassembla une grande armée et partit se battre avec eux. En polonais ARMÉE c'est WOJSKO, et RENCONTRER c'est SPOTKAĆ. Parce que l'armée polonaise rencontra les Chevaliers Teutoniques près d'un village qui s'appelle Grunwald. Les Polonais luttèrent contre eux pendant toute une journée et finirent par les vaincre et par leur prendre tous leurs drapeaux. Nous avons vu ces drapeaux à Cracovie, mais le grand-père de Jérôme voulait voir aussi l'endroit où les Polonais ont combattu contre les Chevaliers Teutoniques, et c'est pourquoi nous sommes allés à Grunwald, où il y a aujourd'hui un monument et un musée. Le grand-père de Jérôme y a médité, c'est-à-dire qu'il a réfléchi et n'a pas ouvert la bouche, et nous, nous avons parlé du monument, mais nous n'avons pas réfléchi, car nous ne savions pas à quoi il fallait réfléchir.

Ensuite nous sommes allés à Malbork. C'est une ville où se

trouve le château des Chevaliers Teutoniques. Les Polonais ont réussi à les chasser de ce château. Les Polonais devaient donc être très courageux. En polonais COURAGEUX c'est ODWAŻNY, et IMMENSE c'est OGROMNY. Parce que ce château est immense. Nous n'avions encore jamais vu autant de tours ni d'aussi hauts et d'aussi gros murs qu'à Malbork. Et les Chevaliers Teutoniques devaient manger comme quatre, car ils étaient grands à faire peur. En polonais LA PEUR c'est STRACH, et une ARMURE c'est ZBROJA. Parce que nous avons vu les armures des Chevaliers Teutoniques. Ces armures étaient encore plus hautes que le papa de Jérôme, et pourtant le papa de mon cousin est aussi grand que le général de Gaulle. Je me demande comment les Polonais ont pu battre des géants pareils. Ils mangiaient certainement plus que les Chevaliers Teutoniques et étaient encore plus grands et plus forts qu'eux.

Jérôme a décidé de manger autant que les anciens Polonais et son papa dit que vous devriez suivre son exemple. Il dit aussi qu'il faut manger beaucoup, car pour pouvoir aimer beaucoup la France et la Pologne, il faut être fort. Il dit également que vous devriez manger beaucoup d'épinards. En polonais des ÉPINARDS c'est SZPINAK, et CHOSE c'est RZECZ. Parce qu'il faut que vous mangiez beaucoup d'autres choses aussi.

SYLVIE

WIATR W WIEJSKIE ŻAGLE

NA RZESZOWSZCZYŹNIE POWIADAJĄ, ŻE KIEDY KOLUMB PŁYNAŁ DO AMERYKI PO DRODZE NATKNAŁ SIĘ NA MARKOWIAKÓW, którzy już do domu z amerykańskim sianem wracali. Ta żartobliwa anegdota trafnie charakteryzuje ruchliwość i aktywność mieszkańców wsi Markowa. Wyjeżdżali bowiem tutejsi w świat tak często i daleko, że nawet w całym ruchliwym migracyjnie województwie słyną z wszędobylskości.

Gospodarz Markowej — wieloletni przewodniczący GRN Antoni Inglot twierdzi, że nie ma kontynentu i pewno państw niewiele, w których by przynajmniej jednego markowianina nie znalazł. Tradycyjne szlaki wyjazdów tutejszych mieszkańców wiodły jednak najpierw do USA, Kanady, a potem do Francji i Chile. I ponoć wszędzie, gdzie by się tylko markowianie nie osiedlili, zachowywali swoją cechę charakterystyczną: ręce dłuższe od innych o kilka centymetrów, wyciągnięte przez nieustanną pracę — dorzucza żartobliwie Antoni Cyran. I żeby udowodnić, że w każdym żarcie jest szeptą prawdy proponuje spacer zapewniając, że w całej ciągnącej się 9 km wsi nie zobaczą zagadanych sąsiadek, ani stojących bezczynnie mężczyzn. Bo wszystkim szkoda na próżno tracić czasu.

— Pewnie — powiada stary gospodarz — były u nas i przed wojną zabudowania murowane, ale na palcach dwu rąk dało się je policzyć. Reszta wszystko chatupinki przycupnięte do ziemi, słomą kryte. Teraz przez te mrowańce jak ktoś dawno w naszych stronach nie był to i do rodziny nie może trafić.

Istotnie. Wzdłuż obydwu stron drogi czerwienią cegłą domy, budynki gospodarcze. Czyste, zadbane obejścia toną w kwiatkach. Jeszcze piękniej prezentują się te nowoczesne zabudowania na tzw. zagumiu, bo tam więcej miejsca i ładniej można było sobie budowę rozplanować.

Wieś buduje

Wszystkie te nowe murowane budynki wzniesiono z miejscowej, we wsi wypalanej cegły. Jak tylko ruszyło się na Rzeszowszczyźnie z tworzeniem zespołów wypału cegieł markowianie zgłosili ochotę jako jedni z pierwszych. Co prawda paru malkontentów krakało: nie będzie chleba z tej mąki, bo nikt we wsi nie ma praktyki w wyrabianiu i wypalaniu cegły, ale większość zakrzyżła ich innym przysłowiem; że nie święci garnki czyli cegły lepią. No i proszę, dziś co trzeci we wsi pobudował się na nowo, a do 25 pieców bezustannie wkłada się kolejne porcje cegły. Co poniekąd z markowianów już na potrzeby sąsiedzkich wsi pracują. Inni znowu łapią się teraz za produkcję własnej dachówki.

Jednakże wieś, która w oczach zamienia się z drewnianej na murowaną, nie tylko takie ma powody do dumy i sporo wyższe aspiracje. W roku 1956 zafundowała sobie elektryczność (parę lat temu zmodernizowała dotychczasową sieć, bo zapotrzebowanie na energię stale rosło). Wkrótce potem założono wodociągi. Teraz marzy się markowianom doprowadzenie gazu. Wyliczają więc skrupulatnie koszty, zastanawiają się, czy dadzą radę.



LISTY Józefa Grzybka

Widokówka z grodu Kopernika

PANIE REDAKTORZE!

Wiele lat temu, w owych odległych czasach, kiedy jeszcze wcale nie świeciłem łysiną, lecz przeciwnie, byłem właścicielem czupryny, której mógłbym się pozazdrościć sam nieboszczyk Pa-derewski, pewna polska nauczycielka, która urzędowała w naszej kolonii uroczystość gwiazdkową, prosiła jedną z naszych malutkich jeszcze podówczas córek, aby zadeklamowała na tej imprezie wiersz. Pomagałem córce uczyć się tego wiersza i dlatego znam go na pamięć. Jest to wiersz, który wyszedł spod pióra Juliusza Słowackiego. Wieszcz nasz zwraca się w tym utworze do dziewczynki imieniem Zosia. Odzywa się do niej w te oto słowa:

Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Kaźda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka
zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Dlaczego ten wiersz nasuwa mi się pod pióro? Bo jestem w Polsce. Od kilku dni znowu stąkam po naszej ziemi rodzinnej. Kroczę po polskiej ziemi i doznaję przeżyć, których żadne pióro nie zdoła opisać. Odnoszę wrażenie, że dusza moja, mój umysł i moje ciało obchodzą jakieś radosne święto. Doświadczam uczuć, których powstanie przepowiadał mój wiersz Słowacki. Tutaj do mnie najcichszym listkiem ufnie mówią topole i wierzyby. Moje serce tu wie o wszystkim.

Gdzie w tej chwili przebywam? Przypuszczam, że nasza podparyska znajoma, pani Genowefa Dudzińska, która zawsze gotowa jest posadzać mnie o hultajskie czyny, wzrusza w tej chwili swoimi spaśnymi ramionami, i: „Jak to gdzie? — myśli. — Siedzi na pewno dziadyga w jakiejś knajpie i już jest w sztok pijany, choć to dopiero dziesiąta rano”. Tuszę, że Wy mnie o takie paskudne rzeczy nie pomawiacie? Przysięgam Wam, że trzeźwiuteńki jestem jak nowo narodzone dziecko. Wieczorem dopiero wypiję strzemiennego, gdyż wyjedziemy stąd dopiero pod wieczór.

Stąd, to znaczy z Torunia. Bo bawimy w tej chwili w rodzinnym grodzie Kopernika. Zajadamy się słynnymi toruńskimi piernikami i ślizgamy się oczami po rusztowaniach remontowa-

nych kamieniczek. W związku ze zbliżającą się pięćsetną rocznicę urodzin wielkiego astronoma zaprowadza się obecnie w tym starożytnym nadwiślańskim mieście radykalny porządek. Wiekowe tutejsze uliczki są rozkopane, wszędzie wre praca. Pracują ludzie na rusztowaniach i we wnętrzach zabytkowych kamieniczek, porządkuje się także nadwiślańskie bulwary. Podobno Toruń nigdy w swoich dziejach nie przeżywał równie wielkiej remontowej akcji. Wyjdzie z niej jak nowo narodzony. W obrębie tutejszego starego miasta gruntownie odnowione zostaną łącznie 42 budynki, z czego 17 zostało już oddanych do użytku. Na 14 ulicach założona zostanie nowa nawierzchnia. Ulice otrzymają także nowe oświetlenie. Buduje się również nowy budynek biblioteczny dla Książnicy Miejskiej, liczącej sobie 450 lat. I tak dalej, i tym podobnie. Prac jest ogrom, ale ich tempo wskazuje, że na święto Kopernika to, co w planach, będzie wykonane. Nie znaczy to jednak, że w przyszłym roku wszystkie rusztowania spadną z zabytkowych toruńskich budowli. Właśnie przed chwilą wyczytałem z gazety, że „realizacja odbudowy i rekonstrukcji starego Torunia wybiega poza rocznicę Kopernika. Remonty i konserwacje trwać będą aż do 1985 r.”

Toruń szczyli się wieloma wspaniałymi pomnikami architektury. Na liście tych pomników jedno z pierwszych miejsc zajmuje ratusz, którego historia zaczęła się już w trzynastym wieku. Jak nas poinformowano, ratusz toruński był świadkiem wielu wydarzeń historycznych. 506 lat temu mieszkańcy Torunia z radością witali w tym budynku traktat pokojowy, który zmuszał Krzyżaków do oddania Polsce Pomorza z Gdańskiem, Ziemi Chełmińskiej z Toruniem, części Powiśla z Malborkiem i Elblągiem oraz Warmii z Olsztynem, Fromborkiem i Braniewem. Ratusz jest najwyższym domem Torunia, a przed ratuszem wznosi się pomnik najstarszego syna miasta — Mikołaja Kopernika. W mieszczącym się w ratuszu muzeum oglądać można piękny i autentyczny, to znaczy robiony z natury portret astronoma w stroju mieszczczańskim o barwach zielonej i czerwonej. Pod ratuszem znajdują się piwnice, o których powiedziano nam, że podobnych nie ma już w Europie. Kiedy w 1963 r. zjechali do Torunia historycy z całego świata, w podziemiach tych urządzono przyjęcie. położono śnieżne obrusy, zapalono świece w muzealnych kandelabrach, ułożono bukiety z 1.200 róż. Światła pełzały po sklepieniach i filarach. Po-

dobno uczeni goście szczykali się w łokcie, i: „Film to czy rzeczywistość” — powiadali.

Moja jest Toruniem zachwycona. Córka twierdzi, że to jest drugi Kraków. Zięć nic tylko pstryka i pstryka, a wnuk, który już prawie zna na pamięć życiorys Kopernika, odgraża się, że i on także wstrzyma słońce i ruszy ziemię. Mnie też to uroczę miasto przy- padło do serca. Cieszę się, że je zwiedziliśmy, i chciałbym Was nakłonić do zawarcia z nim znajomości. Jeśli w tym albo w przyszłym roku będziecie w Kraju, nie omieszkaćcie wstąpić do grodu Kopernika. I zachęcajcie też Wasze dzieci i Waszych wnuków do odwiedzenia gniazda rodzinnego naszego genialnego uczonego. Myślę, że poznanie tego miasta ugruntuje w nich przywiązanie do polskości.

Z pewnością chcielibyście wiedzieć, czy w Toruniu są hotele i restauracje. Jasne, że są. Toruń jest przecież miastem liczącym blisko 120 tys. mieszkańców. W Toruniu jest uniwersytet (imienia Mikołaja Kopernika, oczywiście) i nowoczesne fabryki produkujące m. in. sztuczne włókno i nawozy sztuczne. W takim mieście miałyby nie być hoteli i restauracji? Są, jasne, że są. I jest ich nawet dość sporo. Od 1969 r. działa tu nawet hotel „Orbis” „Kosmos”, a teraz „Orbis” otwiera w Toruniu nowy hotel na 220 łóżek, który nazywa się „Helios”.

Siłą Wam z grodu Kopernika moc serdecznych pozdrowień.

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek

PKO

23. rue Taitbout Paris IX-ème
Tél. 824-42-02
Métro: Chaussée d'Antin

**BANK
POLSKA
KASA OPIEKI S.A.**

■ Udziela wszelkich informacji osobiste, telefonicznie i korespondencyjnie.

■ Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i wypłaty w gotówce są dokonywane w miejscu zamieszkania odbiorcy.

■ Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.

■ Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.

■ Na żądanie wysyłamy prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

**USŁUGI PKO są
najbardziej korzystne.**



Bo jest tak: plony zbóż od 25 do 30 q z ha, hodowla trzody i bydła wzrosła ostatnio o jakieś 40 proc. Na buraki cukrowe i ziemniaki też nie można narzekać. A dochodu przysparzają również zioła, na których uprawę poszło ostatnio sporo gospodarzy. Ale z drugiej strony może nie gaz wsi najpotrzebniejszy? Bo trzeba jeszcze spłacać wodociągi, trwa nadal melioracja podmokłych gruntów, a nowoczesna gospodarka wymaga maszyn rolniczych. To wszystko kosztuje. Na dobrą sprawę z maszynami właściwie wieś nie ma już wiele kłopotów. Dwa kółka rolnicze przeciągają się w gromadzeniu

sprzętu. Bez względu na to niejedyn gospodarz kupił na własność kompletny zestaw maszyn z kopyarką, sadzarką ziemniaków, roztrzaskaczem obornika i traktorem włącznie.

Usługi w Markowej

Z remontami nie bywa problemów, od kiedy na miejscu jest filia POM z Woli Małej. Teraz kółko rolnicze z Markowej Dolnej — jako że dla wygodę podzielili sobie miejscowi wieś na Górną i Dolną — buduje wylęgarnię i odchownalnię drobiu. Bo po co kobiety mają jeździć po kurczęta do Łańcuta? Wprawdzie przez Markową biegnie linia PKS, po której gęsto kursują autobusy, ale i tak szkoda czasu na podróże. Posłuszni temu hasłu markowianie założyli też sobie na miejscu aptekę, lecznicę weterynaryjną, punkt skupu owoców i warzyw, punkt skupu ziół. Zakupy również starają się załatwiać u siebie. Sklepy GS oferują na miejscu artykuły spożywcze i przemysłowe, od pończoch i gwoździ poczynając na meblach i telewizorach kończąc. A Wielobranżowa Spółdzielnia Pracy swoje usługi metalowe, stolarskie, szewskie i krawieckie świadczy nie tylko mieszkańcom wsi. Niedawno utworzyła swoją filię w... powiatowym Łańcutcie.

Oświata i kultura

Gdy mówię markowiakom, że ich wieś niewiele różni się od miasta, bo powołała placówki obsługi i usług takie jak w zurbanizowanych ośrodkach sami przypominają mi o dwu jeszcze dziedzinach

związanych na ogół z miastem — o oświacie i kulturze. I okazuje się, że ci, na pozór bez reszty oddani ekonomicznemu i pracowitemu gospodarowaniu ludzkie również i w tym zakresie mają się czym pochwalić. Od lat istnieją we wsi dwie szkoły podstawowe. Gdy zaszła potrzeba, uruchomiono zespół przysposobienia rolniczego, przekształcony następnie w **Zasadniczą Szkołę Rolniczą**. Tradycje dawnej działalności kulturalnej kontynuuje poza istniejącą 50 lat orkiestrą, amatorski zespół teatralny skupiający dziadków, ojców i wnuki. Daje on spektakle w sali teatralnej, gdzie często występuje też zawodowy teatr z Rzeszowa. Jest w Markowej biblioteka gromadzka z kilkutyśiącym księgozbiorem, jest stałe kino. A będzie i to wkrótce, nowy budynek GRN z pomieszczeniem dla poczty. I dom nauczyciela, którego budowa ruszy w przyszłym roku. Od września br. wejdzie zaś w fazę realizacji jeszcze jedno z życzeń markowiaków: **budowa nowej asfaltowanej drogi**.

Rozmawiając z mieszkańcami wsi, oglądając ich indywidualny i wspólny dorobek usiłuję dojść recepty na tak szybki i składny rozwój. Toż niejedyn z obecnych gospodarzy, który dziś własnym autem jeździ jako brzdąc marzy co najwyżej o rowerze. A cała wieś choć zawsze duża i gospodarna uprawia tylko tradycyjne cztery zboża, ciągnęta wodę żurawiami, spędzała wieczory przy naftowych lampach.

Antoni Inglot mówi tak: — *Gdy tylko pojawiała się szansa, żeby poprawić życie sobie i całej społeczności to my chwytaliśmy ją w lot niby wiatr w żagle, tak po naszymu, bez oszczędzania rąk. Ot, i cała tajemnica.*

Z różnych szans skorzystali markowianie. Część największa z tej jaką dało rolnictwo. Ale wcale niemało poszło ze zbytu cianych pól do zakładów przemysłowych Łańcuta i Rzeszowa, albo na drugi koniec Kraju — zgodnie z żartobliwym przekazaniem o wszędobylskości.

Ewa ŁUSZCZUK

REKORDY DUŻE I MAŁE

Najdłuższe włosy w Polsce ma pani Anna Rzeźniczek, 54 lata, z Mikołowa. Ich długość wynosi 125 cm, chociaż co roku pani Anna obcina je. Pani Rzeźniczek jest z zawodu rejonową listonoszką w Urzędzie Poczтовым nr 2 w Katowicach.



*

Najważniejszym wydarzeniem Lubuskiego Lata Filmowego „Łagów 72” było ogłoszenie wyników plebiscytu publiczności na wyłonienie „Gwiazd filmowego sezonu”. Zaszczycił ten spotkał Maję Komorowską-Tyszkiewicz (czytaj rubrykę „Portret tygodnia”) oraz Karola Strasburgera. Na drugim miejscu znaleźli się laureatka ubiegłego sezonu filmowego Małgorzata Braunek i Franciszek Pieczka.

*

Najładniejsze panienci w okienku pocztowym znajdują się teraz w Lublinie, ponieważ w budynku pocztowym będzie gabinet fryzjerski i kosmetyczny. Przed rozpoczęciem pracy każda urzędniczka będzie mogła poprawić makijaż i uczesanie.

POLSKA „LOVE STORY“



Kilka lat temu w programie Polskiego Radia nadano nieśmiertelną powieść Heleny Mniszkówny „Trędowata” w niepowtarzalnej interpretacji Ireny Kwiakowskiej. Potem ten sam temat podjęła telewizja. A w ubiegłym roku warszawski dziennik popołudniowy „Kurier Polski” rozpoczął druk powieści w odcinkach.

Ostatnio łódzki „Teatr 7,15” wystawił sceniczną wersję „Trędowatej”. Autorzy łódzkiego spektaklu, który bije rekordy powodzenia, dołączają do każdego programu przedstawienia... chusteczkę z sercem przebitym strzałą.

Fot. CAF



CIEKAWOSTKI z KRAJU i ze ŚWIATA

W imprezach artystycznych towarzyszących tradycyjnie Igrzyskom Olimpijskim wzięcie udział w tym roku kilka zespołów polskich; pojadą więc do Monachium i nasze panie m. in. Halina KUNICKA, Urszula SIPINSKA i Zdzisława SOSNICKA.

*

Wśród Laureatów Festiwalu Młodych Muzyków w Bordeaux, gdzie trzy nagrody — jeden złoty i dwa srebrne medale — zdobyli uczestnicy

polscy, była również kobieta — skrzypaczka Magdalena REZLER (srebrny medal).

*

W mieście Mozarta, Salzburgu, w Residenzsaal, na Zamku odbyło się pierwsze publiczne wykonanie II Kwintetu Grażyny BACEWICZ, świetnie przyjętego przez krytyków i publiczność przybyłą z całego świata na tzw. festiwal wiosenny do Salzburga. Wykonawcą utworu był Kwintet Warszawski, dla którego Grażyna Bacewicz skomponowała ten utwór w 1965 r.

Lato na koloniach

Letni wypoczynek dobiega półmetka. Ogromna fala urlopowiczów przemierza Polskę w dół i w górę. Jedną z najważniejszych akcji w Kraju są kolonie dziecięce i młodzieżowe.

Głównym zadaniem tegorocznych kolonii jest zapewnienie dzieciom i młodzieży takich warunków, aby sprzyjały one poprawie zdrowia oraz sprawności fizycznej, wdrażały do samodzielności i współuczestniczenia w różnych inicjatywach społecznych. Stąd też w założeniach programowych obecnego lata znalazły się dwie akcje: „Wakacyjna Sztafeta Czynów” i „Sportowe Wakacje 72”.

Pierwsza z nich obejmuje działalność uczestników kolonii na rzecz własnej placówki (prace porządkowe, pielęgnacja zieleni, konserwacja sprzętu sportowego) druga — ma na celu szerszą niż dotychczas na koloniach rekreację ruchową. Obie zdają egzamin doskonale. Młodzież odpoczywa czując się jednocześnie gospodarzem obiektu i wraca wypoczęta, i wysportowana!



„Postępu nie da się powstrzymać. Dawniej zużywano pięć kłębków wełny na jeden kostium kąpielowy, teraz jeden kłębek wystarczy na pięć strojów.”
Micheline Presle

„Dlaczego miałabym się wstydzić rozebrać przed lekarzem? Przecież to taki sam mężczyzna jak każdy inny.”
Brigitte Bardot

„Iluż głupców, po stwierdzeniu, że dziewczyna ma ładne oczy i nogi, poślubia całą resztę.”
Bernard Shaw

„Uroda mężczyzny tkwi w jego sukcesach”.

Jeanne Moreau

AU FUMET SAVOUREUX



Le „chłodnik”

Même si les potages ne figurent jamais dans vos menus, celui-ci peut être l'ex-

ception qui confirme la règle tant son goût est agréable et de plus, il ne se laisse consumer que par les grandes chaleurs car servi froid, comme son nom l'indique (chłod = froid), il est particulièrement rafraîchissant.

Le „chłodnik” que nous vous proposons est quelque peu simplifié, mais il a l'avantage d'être facile à réaliser.

Comptez par personne environ 1 verre 1/2 de lait caillé et 1/2 verre de crème fraîche épaisse. Mélangez lait caillé et crème puis ajoutez de la ciboulette hachée, du fenouil haché (si vous n'avez pas le plumet des branches, prenez la racine que vous râpez du gros côté de la râpe), des radis (râpés comme le fenouil), des petits morceaux de concombre frais et ceux d'un concombre mariné éventuellement. Il est bien d'ajouter au „chłodnik” des petits morceaux de veau ou de poulet froid et si vous en avez envie, des bouquets décortiqués feront merveilleusement l'affaire (le „chłodnik” traditionnel comprend des morceaux d'écrevisse). N'oubliez pas l'indispensable oeuf dur coupé en deux.

Préparez ce potage très sain et délicieux une heure avant de servir afin que vous puissiez le laisser une heure dans le réfrigérateur car il exige d'être consommé bien frais.

Ernestine DODUE



MAJA KOMOROWSKA -TYSZKIEWICZ

OD szeregu lat związana ze scenami wrocławskimi — dość nieoczekiwanie trafiła do filmu i od razu zagrała główne role, tworząc kreacje, o których głośno było w całym Kraju. W telewizyjnym filmie reż. Krzysztofa Zanussiego „Za ścianą” gra rolę samotnej bezradnej kobiety, rozpaczliwie szukającej kontaktu z drugim człowiekiem. W „Za ścianą” Maja Komorowska-Tyszkiewicz wystąpiła ze Zbigniewem Zapasiewiczem. W kolejnym filmie — w „Życiu rodzinnym” — również w reżyserii Zanussiego, zagrała Bellę w towarzystwie takich znakomitości jak: Halina Mikołaj-

ska i Jan Kreczmar, razem z Danielem Olbrychskim i Janem Nowickim.

Były to dwie krańcowe różne postacie — zamknięta, powściągliwa bohaterka filmu „Za ścianą” i hałaśliwa, spontaniczna Bella. I trzeci film Tadeusza Konwickiego „Jak daleko stąd, jak blisko”, gdzie gra razem z Andrzejem Łapickim.

Co film to kreacja i znakomita publicy. A co za tym idzie — nagrody. Filmowe, prasowe, publiczności. Ostatnią zdobyła właśnie na Festiwalu Filmów Polskich „Łagów 72”.

Przedmiot westchnień



Polska ma swego czołowego aktora eksportowego. Jest nim Stanisław Mikulski, bohater cieszący się niepowtarzalnym sukcesem serialu telewizyjnego „Stawka większa niż życie”. Film ten traktujący o bohaterstwie i sensacyjnych przygodach asa wywiadu polskiego w czasie II wojny światowej, działającego w szeregach hitlerowskiego kontrwywiadu, cieszy się nieślawnym powodzeniem. I to nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Film z nie mniejszym niż w Kraju powodzeniem spotkał się w Niemczech, Czechosłowacji, Szwecji, Jugosławii, na Węgrzech i w wielu innych jeszcze krajach. A Stanisław Mikulski zapraszany jest przez zagranicznych producentów do udziału w nakręcaniu kolejnych filmów, przeważnie sensacyjnych. Znakomita powierzchowność, uroda, wdzięk i talent tego aktora zjednują mu uznanie i sympatie zagranicznych widzów. Mamy nadzieję, że i naszym Czytelnikom będzie dana okazja obejrzenia tego aktora na francuskich ekranach. Na razie prezentujemy jedno z jego ostatnich zdjęć.

W najbliższych dniach obchodzą imieniny:

11 sierpnia — Zuzanna

imię to jest pochodzenia hebrajskiego i oznacza lilię, a więc delikatność, niewinność, kogoś bardzo subtelnego.

12 sierpnia — Klara

klara to po łacinie jasna, a więc i pogodna, bezpośrednia, nieskomplikowana.

15 sierpnia — Maria

imię to pochodzi z hebrajskiego i dosłownie znaczy — gorzka.

„Na św. Jacek (10.VIII) z nowej pszenicy placek!”

RINGO EST ARRIVE!

Pod takim właśnie tytułem paryski „L'Equipe” zamieściło zdjęcie Włodzimierza Strzyżewskiego, które reprodukuje obok, pisząc między innymi:

„Cet homme, M. Włodzimierz Strzyżewski est polonais comme son nom l'indique. Economiste, journaliste, il est également champion international d'escrime. Il est aussi l'inventeur d'un jeu, le ringo, qui commence à avoir du succès en Suède, en Allemagne et dans les pays de l'Est. Vitesse, détente, réflexes sont améliorés par ce jeu, qui, selon M. Strzyżewski, devrait servir de base à tout athlète s'adonnant à un sport de combat.

M. Strzyżewski affirme, qu'après quelques mois de pratique — le „temps de réflexe”, qui est d'environ 22/100e de seconde, tombe à 15, voire 12/100e. De passage à l'INS, il trouve en Régis Prost, entraîneur national d'athlétisme, un excellent partenaire”...

WŁODZIMIERZ STRZYŻEWSKI, magister ekonomii i od prawie 20 lat członek Kadry Narodowej w szpadzie, pięciokrotny mistrz Warszawy, którego pierwszym wielkim sukcesem było zdobycie II miejsca w Challenge Albert Feyerick w Gandawie jeszcze w roku 1954, zorganizował pokaz swej gry na Stadionie X-lecia w Warszawie w czasie wielkiej imprezy poprzedzającej zakończenie Wyścigu Pokoju. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi obejrzało wówczas mecz ringo rozegrany jednocześnie na 4 boiskach, przy dźwiękach popularnej kowbojskiej ballady „Ringo”.

Ringo kan spejos var som helst. I riket skert hitta på något annat, ett drottshallen, på stranden eller gräs-
spela med.



Włodzi-
mierza Strzyżewskiego

— Panie magistrze — zwracamy się do Włodzimierza Strzyżewskiego — jak powstało Ringo?

— Jeszcze w dzieciństwie rzucanie do kolegi gumową oponką od dziecięcego wózka uważałem za świetną zabawę. Świstało w locie, nieumiejętny chwyt aż parzył rękę! Ale cóż to była za frajda, kiedy rzut lądował z nieomylną precyzją w dłoń oddalonego partnera, albo kiedy szybując w powietrzu chwytano się trudny rzut „nie do wzięcia!!” Potem wyrosłem z podwórkowych zabaw. Zacząłem uprawiać siatkówkę, żeglarstwo, próbowałem skoków spadochronowych, aby wreszcie bez reszty zapalić się do szermierki. I właściwie Ringo powstało dzięki umiłowaniu białej broni. Chciałem bowiem jak najlepiej przygotować się do szermierczych mistrzostw świata, a tymczasem nie uzyskałem urlopu z pracy i nie mogłem pojechać na obóz Kadry Narodowej. Oczywiście, w lipcu trudno znaleźć sparring-partnera do szpady. Trudno także zebrać komplet chętnych do siatkówki! Musiałem zaś dbać o najwyższą sprawność. Szermierka jest drugim po alpinizmie najcięższym sportem świata! Przypomniałem sobie improwizowane zabawy ową oponką z dzieciństwa. Gdyby zamiast zabawy przeciwnikiem, rzucać tak, aby on nie złapał? Trzeba było ułożyć regulamin gry. Na nadwiślańskiej plaży rodziły się kolejne

punkty regulaminu, które teraz są załączone do kółek Ringo.

— Czy te kółka są już w sprzedaży?

— Owszem, znaleźli się producenci. Po kilku latach jest czym grać. Gra została wprowadzona do tegorocznego programu „Lato nieobozowe” i do obozowych imprez młodzieży harcerskiej w Kraju. W tym roku kilkaset tysięcy polskich dzieci będzie mogło poznać grę. W najbliższych latach oczekują zorganizowania mistrzostw Polski w Ringo. Na tegorocznym festiwalu polonijnych zespołów pieśni i tańca w Rzeszowie — zapoznamy z Ringo wszystkich uczestników.

— Pan sam uprawia grę?

— Przez cały kwartał ani razu nie byłem na treningu szermierczym. Regularnie trzy razy w tygodniu grałem w Ringo w sali gimnastycznej szkoły nr 40 na Hożej. W turnieju Kadry Narodowej zdobyłem III miejsce, wyprzedzając m. in. Henryka Nielabę, triumfatora tegorocznego Challenge Martel w Poitiers. To jest chyba najlepszy dowód wartości Ringo.

— Oczywiście, nie każdy dysponuje salą gimnastyczną, co wtedy?

— To jest najbardziej demokratyczny sport świata, dostępny dla każdego i wszędzie. Nie trzeba specjalnych boisk. Wystarczy równa powierzchnia 9 × 18 lub 8 × 16 metrów (dla dzieci nawet 6 × 12 m) i sznurek umocowany na wysokości 244 lub 220 cm. Aby sznurek był lepiej widoczny — dobrze jest zamocować doń barwne chorągiewki, czy nawet paski papieru. Grać można zatem na podwórku, na plaży, na leśnej polanie, na górskiej poloninie, w parkowej alejce, czy pustym placu budowy, dosłownie — wszędzie. Kółko Ringo jest puste wewnątrz, delikatne. Może zatem grać nim i zdobywać najwyższą sprawność psychofizyczną taki wirtuoz jak Konstancy Kulka, bez obawy o losy najbliższego koncertu, może grać chirurg, maszynistka i artysta-malarz, dziecko i dorosły, wnuczka i pradziadek, każdy.

— Wierzy Pan zatem w utworzenie międzynarodowej federacji Ringo?

— Myślę, że za kilka lat stanie się to koniecznością. Każdy, kto choć raz zagra w Ringo, staje się jego przysięgłym entuzjastą, jak choćby ten redaktor szwedzkiej gazety „Ystads Allehanda”, mistrz prowincji Skoane w tenisie, który najpierw mnie wyśmiał, że mu pokazuję dziecinną zabawkę.



Po meczu w Ringo dał entuzjastyczny artykuł na pierwszej stronie z wielkim zdjęciem! Ringo bowiem to cała lekkoatletyka: biegi, skoki i rzuty plus taktyka, błyskawiczny refleks, precyzja i wola zwycięstwa wspomagane wytrzymałością organizmu, nabywaną automatycznie w czasie gry, to jedyny na świecie sport jednocześnie niezwykle tani, zupełnie bezpieczny i dostępny dla wszystkich, sport dla automobilistów i kosmonautów, dla pilotów i skoczków spadochronowych, dla kandydatów na olimpijskich mistrzów w boksie i pięknych pań, które chcą być bardziej smukłe, grając w Ringo można chudnąć w tempie kilogram na godzinę!

— Każdy z grających jest zatem pionierem nowej dyscypliny sportu!

— Oczywiście. I każdemu kto się zwróci do mnie o dalsze wyjaśnienia z przyjemnością odpowiem, chciałbym też wyjaśnić, że polska centrala handlu zagranicznego „Universal” wystawiła kółka Ringo na tegorocznych Międzynarodowych Targach Poznańskich.

— Czego życzyć Panu na zakończenie tej rozmowy?

— Aby każdy z czytelników „Tygodnika Polskiego” był aktywnym zawodnikiem i propagatorem Ringo, abyśmy wszyscy w czasie tegorocznych wakacji i po nich — przez sport uzyskiwali najcenniejszy skarb człowieka: zdrowie — i abyśmy poprzez sport znaleźli radość życia!

Napiszcie, czy „Ringo est arrivé” — także wśród Was.

OPINIA DOCENTA DR ZENONA WAŻNEGO, dyrektora Instytutu Sportu w Warszawie: „Ringo jest świetnym sportem uzupełniającym, a także samodzielnym rodzajem sportu. Na podstawie rozegranego meczu mogę stwierdzić, że Ringo rozwija szybkość reakcji, koordynację ruchów, wytrzymałość ogólną i szybkość motoryczną, a zatem — prawie wszystkie cechy potrzebne człowiekowi we współczesnej cywilizacji.”

**P
K
O**

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

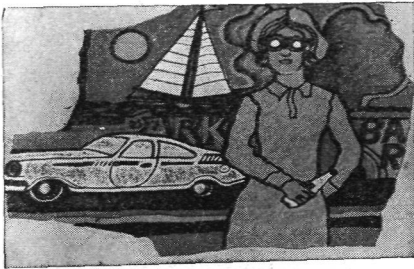


**BANK
POLSKA KASA OPIEKI S.A.**

W związku z licznymi zapytaniami BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A. Oddział w Paryżu uprzejmie informuje swoich Klientów, że obowiązujące przepisy dewizowe w zakresie przekazów pieniędzy za granicę zostały zmienione w sposób następujący:

- karnety wymiany zostały zniesione
- istnieje możliwość KĄDORAZOWEGO przekazania za granicę kwoty do 1000 F. — bez udokumentowania.

Tym samym ZNIESIONY ZOSTAŁ PRZEPIS dopuszczający przekazywanie za granicę tylko raz w roku 250 F.



Barbara Gordon

BEZ ATU

Nawet nie drgnęła, kiedy Jolanta przemówiła do niej. Jasnyniebieskie oczy nie miały żadnego wyrazu, nie było w nich ani przestraszenia, ani zdziwienia.

— Czekalam tu na panią. Wiedzialam, że pani tu przyjdzie — powiedziala spokojnie Jolanta i nacisnela klawisz malutkiego magnetofonu.

Rozdział XVI

JOLANTA prosila, aby kierowca zatrzymal milicyjny woz na wprost podjazdu do hotelu „Merkury”. Byla szosta rano. Raba ziewal, zly, ze mu przerwala sen. Kto to widzial, zeby zaczynac urzedowanie o takiej porze bez istotnej potrzeby? Dopiero w tej chwili dowiedzial sie od Jolanty, ze wlasnie zamierza poznac go z osoba, ktora jedyna obecna byla przy Antonim Biezycy w chwili jego smierci.

— Zastrzelilas mnie — mrucał, pocierając nie ogolony podbródek. Bylo mu głupio, ze Jolanta widzi go w tym stanie. — Czy aby dobrze to sprawdzilas? — fukal, wyrażając niezadowolenie, ze zaaranżowała to wszystko bez jego wiedzy.

— Ale za twoja zgoda — rąbnęła bez żenady — musisz przyznac, ze zachowywalam sie przez cały czas lojalnie. A co do sprawozdania, bądź spokojny. Ogladalam jej paszport pod pretekstem sprostowania omyki w hotelowym rejestrze gości. Pani Ewa Smitson, z domu Wilkoń. Popatrz, to oni...

Przez okno samochodu świetnie bylo widac wszystko, co dzieje sie przy głównym wejściu do „Merkurego”. Portier przytrzymał drzwi. Wyszlo przez nie z hotelu dwoje ludzi, kobieta w popielatym podróznym płaszczu i takim samym berecie oraz wysoki, szczupły, siwy mężczyzna. Jolanta udzielila Rabe dalszych informacji:

— Ten dystyngowany jegomość obok niej, to jej mąż. Profesor Oliver Smitson. Światowa slawa i bogacz. Koncern farmaceutyczny.

— Kto ci to wszystko powiedzial?

— Miedzy innymi pokojowka. Zakochana w Ewie. Bo Ewa to kobieta o nieprawdopodobnym uroku. Łaskawosc księżniczki, prostota sierotki Marysi. Podobno mąż wielbi ją na klęczkach, chociaz już od tylu lat są po ślubie. Co dzien pani Ewa dostaje od niego kwiaty. Patrz, jak uwija sie koło niej.

Istotnie, mężczyzna miał, jak by sie wydawalo moglo, jedyny cel na oku: aby towarzysząc mu kobiecie nie nie utrudnilo nie tylko życia, ale również najmniejszego poruszenia. Mikroskopijna paczuska w jej ręku też wydalala mu sie zbyt ciężka dla jej wiotkiej postaci i watlych sil. Zabrał jej to zawiniatko i trzymal je z pietyzmem na wyciągniętej dłoni, dając świadectwo prawdzi, iż wszystko co należy do jego żony, ma wartosc niezwykla.

Państwo Smitson zrobili kilka kroków dalej i wtedy Raba zobaczył biały samochód, czekający już na nich nie opodal wejścia do hotelu. Wpadł w poploch.

— Słuchaj, przeciez oni zbieraja sie do wyjazdu. Patrz, portier ładuje kufry do tego ich białego toronado...

Jolantę mniej frapowały przygotowania państwa Smitson do podróży niż Rabę. Zapalila papierosa i przeciągnęła sie leniwie. Bolaly ją plecy po ten nocy spędzonej nad jeziorem. Powiedziala niedbale:

— Chyba, tak. Czy dziwisz sie, ze ona chce jak najszybciej wyjechać z Polski?

— Ale przeciez my musimy ją formalnie przesłuchac. Musi potwierdzic nam okolicznosci, podpisac protokół. Przeciez wlasnie nie wiemy, jak to bylo... — pieklil sie Raba, już gotowy do wyskoczenia z samochodu i osaczenia naocznego świadka, a może nawet winowajczyni smierci Antoniego Biezycy.

— Dopiero co mówiles mi wczoraj, ze to nieważne... — przypomniała mu złośliwie Jolanta.

— No tak... — zmieszal sie — ale skoro już ją mamy...

— Nie spiesz sie, proszę cie — Jolanta položyla Rabe dłoń na ramieniu.

Lekki dotyk Jolanty sprawil mu przyjemnosc, chciałby, aby jak najdluzej trzymala rękę na jego ramieniu. Cofnal sie więc w głąb samochodu i znów zadowolil tylko obserwowaniem scenki, rozgrywajacej sie wokół eleganckiego pojazdu.

— Ty coś wiesz, ale ukrywasz — mruknal ponuro.

— Jesteś bardzo przenikliwy — pochwalila go Jolanta i cofnela rękę. Z torby wydobyla krazek magnetofonowej taśmy — gdyby ci to bylo potrzebne, sluzę...

— Co to jest? — zapytal nieufnie.

— Zeznania Ewy Wilkoń.

— Ale jak je teraz przeslucham? Musielibyśmy jechac do komendy. Trzeba ocenic, czy wystarczajaco duzo powiedziala... Czy mozna jej wierzyc... Czy mozna ją tak wypuscic...

Jolanta już wiedziala, jak uspokoić szalejącego Rabę. Znów položyla mu dłoń na ramieniu. Poskutkowalo.

— Jeżeli chcesz, opowiem ci wlasnymi słowami wszystko, co jest na tej taśmie. Powiem ci nawet troche więcej, zgoda?

— Mów — wyjąkal, ale mimo wszystko nie spuszczał oczu z oddalonej kobiecej sylwetki w popielatym płaszczu. Zdawalo mu sie, ze trzyma ją tym swoim spojrzeniem na uwiez. Kobietom nie mozna dowierzac. Zawsze czlowieka wykołują.

Jolanta zaczęła tak, jak gdyby opowiadala dziecku bajkę:

— Spotkali sie po dwudziestu kilku latach i czas nagle przestal dla nich istniec. Znów byli Antkiem i Ewą, i on umowil sie z nią nad jeziorem, bo chciał być z nią sam na sam. Długo spacerowali po lesie, a potem, kiedy dookoła „Hermesa” zaroilo sie od gości, ukryli sie w namiocie na wystawie sprzętu campingowego. Opowiadali sobie swoje życie. I oto on nagle zrozumial, ze nie ma o czym opowiadac. Takie to bylo szare, przecietne, nijakie. Ona zapytala go, czy w jego zyciu po niej byla jakas miłosc. Wtedy zrozumial, ze w jego zyciu przede wszystkim wlasnie zabraklo miłosci. Na pewno wiele spraw potoczyloby sie inaczej, gdyby kochal i gdyby jego kochano. A on bronil sie przed tym konsekwentnie, całymi latami. Kiedy pierwsza miłosc wymknela mu sie, nie chciał już zadnej innej. I nawet nie chciał zadnej przyjaźni. Naumyślnie otaczal sie ludźmi, których nie daloby sie lubic. Grał w bez atu, jak ci powiedzial Rososz. I przegral.

— I to tak nim wstrzasnelo? — Spojrznie Raby bylo roztargnione, przez chwile przestal interesowac sie popielata panią przy białym toronado. Jolanta odniosla wrazenie, ze pytanie swoje Raba kierowal bardziej do siebie samego niż do niej.

— Ależ tak. Weż czlowieka, który przyuczyl sie dreptać w kółko po nizinie i pa-

trzeć tylko pod nogi. I pognaj go na szczyt wysokiej góry, z ktorej widać pół swiata.

— Bo ja wiem... — zawahal sie — może masz rację.

— Zrozum — tłumaczyla mu cierpliwie Jolanta. — Odnowilo sie cale zapamietanie, z jakim kochali sie na froncie. To byl ten szczyt, z ktorego musialby zejść znów w swój bezbarwny powszedni dzien. Nie mialby już do tego sil.

— I dlatego popełnil samobójstwo?

— Jeżeli zażył te swoje drażetki za jedynym zamachem, z premedytacją, to tak. Ale nie możemy wykluczyc, ze po prostu w jakiejś chwili źle sie poczul i uwazal, ze drażetki mu pomoga. Łyknal jedną, drugą, po pewnym czasie powtórzyl.

— Patrz — przerwal jej Raba — oni wsia-dają do samochodu. Nie, on ją tylko ulokowal. Wraca jeszcze do hotelu. Mów dalej, bo chyba jeszcze nie skonczylaś.

Jolanta nie zwracala uwagi na ostrzezenie Raby:

— Oczywiście, Biezycy chciał, zeby Ewa z nim zostala. Powiedziala, ze to niemożliwe, w każdym razie nie tak od razu. Ma męża, dom, dzieci. Był taki nieszczęśliwy, ze pocieszyla go: pomysli o tym. Postara sie, zeby mogli znów być razem. Uśmiechnal sie, powiedzial jej, ze źle sie czuje i zeby przyniosla wody z bufetu. Nie chciał isc sam, obawial sie, ze spotka kogoś ze znajomych. A jej nikt tu nie zna. Tak jej to wytłumaczył. Gdy wrócił, już nie żył. Kołatko przypomniał sobie dziś, ze Jadzia przyniosla tamtego rana z trawnika nie odkorkowana butelkę wody mineralnej.

— Pewnie łyknal te drażetki, kiedy poszła po wodę. Ale tak chyba nie robi kochajaca kobieta, jak zrobila Ewa. Zobaczyła, ze Biezycy nie żyje, więc uciekla.

Jolanta miała jednak usprawiedliwienie dla Ewy:

— Widziala śmierć nie raz. Zdalala sobie sprawę, ze to naprawde koniec, ze nikt i nic mu już nie pomoze. Cóż miała robic? Odjechala. Ale ona go kochala. Za to ci ręczę. Nie zwróciłeś uwagi w śledztwie na jeden szczegół. Biezycy miał zamknięte oczy. Przeciez ktoś musial mu je zamknąć. Zrobila to Ewa.

Ale Raba znów jakby nie slyszal. Zawołal gwałtownie:

— Patrz ten jej mąż niesie bukiet kwiatów. Podaje jej do samochodu. Wsiada. Ruszajmy! Zanim odjadą...

— Nie, Stefanie — powstrzymala go Jolanta. Jakaś nuta powagi i surowosci w jej głosie kazala mu ochlonac z gorliwosci. — Pozwólmy im odjechac w spokoju.

— Coś ty? — protestowal Raba, ale już z coraz mniejszym ferworem. Do czego zmierzal Jolanta? Co knuje? Bo przeciez ona wie, czego chce. Zdania wyrwywaly mu sie bezładne, urywane. — Służbowo... Ja muszę... Ruszyli! Gońmy ich!

— To nic nam nie da, Stefanie. Miałeś rację, kiedy mi to wczoraj powiedzialeś. Bo to twoje słowa, nie moje. Ale ja ci przyznaję rację. Nam nic to nie da, a jej może życie zrujnowac. Może nawet je odebrać. A miłosc profesora? Też sie przeciez liczy. Pozostawmy ją niczym nie zakłóconą. Niech morderca zadowolil sie jedną ofiarą.

— Co ty mówisz, Jolanto — zawołal zaskoczony do ostatnich granic. — Przeciez Biezycy sam... Przeciez w tej sprawie nie mamy mordercy! Jaki morderca?

Jolanta szepnela z tajemniczą miną:

— To, co zdarza sie miedzy dwojgiem ludzi. Albo ich omija. Co daje im sie do życia albo im ją odbiera. Miłosc, Stefanie, miłosc.

— Miłosc? — powtórzyl to slowo za Jolantą bezwiednie i sam zdziwil sie, jak łatwo przechodzi mu przez usta, chociaz nie wymawial go już od tylu lat.

KONIEC



La semaine des Jeunes

est le héros de nombreux poèmes, romans, chansons et légendes. Selon un des auteurs qui se sont attachés à l'immortaliser, il se serait lui-même brûlé vif au retour d'une expédition qui avait coûté la vie à la plupart de ses compagnons. Mais les his-

féodales des montagnards pour satisfaire ses propres ambitions et qui est mort martyr? C'est simple. Je suis de nouveau en Pologne et viens de faire une excursion dans les Pieniny. Les Pieniny sont un massif de roches calcaires qui s'étend autour des versants

tes polonais. Eh bien, depuis hier matin, je suis en train de mettre ce projet à exécution. Je viens de me familiariser avec l'univers du plus grand peintre romantique polonais, savoir justement Piotr Michałowski (1801—1855). Michałowski fit deux longs séjours en France, où il travailla dans l'atelier du dessinateur et lithographe Nicolas Charlet, lequel lui aurait dit: „Tu as une mine d'or dans les doigts”. L'épopée napoléonienne — c'était un admirateur de l'Empereur — lui a inspiré une longue suite de nombreux dessins à la plume. Mais il trouva ses modèles les plus touchants parmi les gens de la campagne polonaise, des femmes du peuple, des juifs.

J'ose espérer que vous ne me ferez pas grief de chercher à vous inoculer l'enthousiasme que m'ont inspiré les toiles de Piotr Michałowski. Je présume que vous êtes comme moi, c'est-à-dire que vous avez soif d'approfondir, d'enrichir les connaissances que vous possédez sur la culture polonaise. N'est-ce pas? Eh bien, au cours des semaines qui viennent, je me ferai un plaisir d'étancher votre soif. Je vous jure que je n'aurai point de cesse que je n'aie visité les principaux musées de Pologne. Peut-être aurais-je l'agréable surprise d'y faire votre rencontre?

Je vous fais une grosse bise.

MARTINE

WYMIENIAMY KORRESPONDENCJĘ

BARBARA GOSCIAŃSKA — Poznań 33, ul. Bukowa 4-B/9 — interesuje się sportem, zbiera znaczki pocztowe, lubi czytać książki. Chętnie nawiąże korespondencję z Rodakami z Francji. Ma 24 lata i jest pracownikiem służby zdrowia.

HELENA KOCIOŁEK — Leszno Wlkp., ul. Jana Sobieskiego, Blok ADM woj. poznańskie — pisze do redakcji: „Mam 26 lat. W 18 roku życia poważnie zachorowałam, wskutek czego zostałam kaleką. Mam bezwład nóg i poruszam się za pomocą wózka inwalidzkiego. Pomimo mojego kalectwa, mam sporo przyjaciół. Przed zachorowaniem śpiewałam w zespołach młodzieżowych i z tego okresu pozostała mi życzliwość koleżanek i kolegów. Bardzo bym chciała mieć chociażby jedną osobę za granicą z którą mogłabym korespondować i za przyjaźnić się. Interesuję się piosenką, płytami gramofonowymi, zbieram maskotki i widokówki. Oczekuje na list”.

JAN ŚNACKI — Wrocław, ul. Bolesława Chrobrego 36/8 — ma 18 lat i chciałby nawiązać kontakt z młodzieżą francuską. Interesuje się muzyką, sportem i plakatami.

MALGORZATA PIUSKA — Częstochowa, al. A. Zawadzkiego 2 m. 12 — jest studentką filologii romańskiej. Ma 20 lat. Pragnie nawiązać przyjacielską korespondencję z młodzieżą polonijną z Francji, Belgii i Holandii.

BOGUSŁAW PODSIADŁY — Oleśnica Śląska, ul. Zawadzkiego 7/11 — chciałby, za pośrednictwem naszej redakcji, znaleźć przyjaciół we Francji lub Belgii. Ma 17 lat. Interesuje się muzyką młodzieżową, sportem i filmem, zbiera foty zespołów młodzieżowych i aktorów filmowych.

ALA KICIEL — Hajnówka, ul. Kosciów 1 m. 1, woj. białostocki — chciałby nawiązać kontakt z młodzieżą polonijną. Ma 19 lat. Interesuje się filmem, turystyką, muzyką. Zbiera widokówki i czapismy. Oczekuje z niecierpliwością na propozycje.

OSIENOWEFA TYC — Kraków, Osiedle Krakowiaków 23/1 — od dawna marzy o tym, by nawiązać korespondencję. Ma 20 lat i kolekcjonuje stare monety. Lubi balet i sport.

MONTAGNES ET MUSEES DE POLOGNE

Je présume que vous goûtez vivement les histoires de cape et d'épée, et que par conséquent vous avez fait vos délices des aventures de Mandrin, ce célèbre contrebandier que la télévision a eu la bonne idée de faire revivre dans un excellent film à épisodes. Au cas où vous n'auriez pas vu ce film, sachez que ce fameux chef de brigands qui se doublait d'un grand et authentique redresseur de torts est né près de Grenoble, qu'il opérait surtout dans les Alpes et qu'il est mort sur la roue à Valence en 1755 à l'âge de 31 ans. Sachez aussi — ici je m'adresse à tout le monde, y compris ceux qui ont vu le film sur Mandrin — que les montagnes polonaises ont eu elles aussi leur Mandrin. Le Mandrin polonais s'appelait Janosik. Jerzy (c'est-à-dire Georges) Janosik. Comme Mandrin, Janosik dépeçait les nantis et secourait les misérables. Il opérait dans les Tatras, le plus beau massif des Carpates. Les historiens le font mourir vers 1713. Il

toriens ne partagent pas l'avis de cet écrivain. Ils affirment que Janosik a été pendu à un croc de fer et fournissent des preuves à l'appui.

Pauvre Janosik. Ce croc de fer, on le lui avait enfoncé dans le flanc gauche. Comme il a dû souffrir avant de rendre le dernier soupir. Mais il n'a certainement pas souffert davantage qu'Alexandre Kostka-Napierski. Kostka-Napierski? C'était un officier qui en 1651 souleva les montagnards polonais contre leurs seigneurs. Il se servait de fausses „lettres de convocation” du roi, qui l'autorisaient à recruter des soldats. La révolte qu'il avait organisée fut étouffée dans le sang. Pris après avoir soutenu un siège dans le château de Czorsztyn, Kostka-Napierski fut empalé avec les autres chefs de l'insurrection. Il mourut, comme Mandrin, à l'âge de 31 ans.

Pourquoi est-ce que je ressuscite ce condottiere que les historiens soupçonnent d'avoir voulu exploiter la lutte anti-

nord des Tatras et qui rivalisent de pittoresque avec les Tatras. L'impétueuse rivière Dunajec y a creusé des gorges profondes au gré de son caprice. Je vous assure que la descente de cet affluent de la Vistule — descente qui dure quatre heures — sur un radeau conduit par des montagnards procure un peu plus que des émotions fortes. Et je vous prie aussi de croire que les ruines du château de Czorsztyn, qui dominent le Dunajec et parmi lesquelles flotte toujours le souvenir de Kostka-Napierski, présentent un spectacle splendide.

A la tombée du jour, les Pieniny offrent l'aspect d'une troupe de cavaliers. Ils évoquent le tableau de Piotr Michałowski intitulé „Artilleurs traversant une rivière”. Ce tableau, je l'ai admiré hier après-midi au Musée National de Cracovie. Comme vous vous en souvenez, j'ai il y a peu formé le projet de mettre cette année mon séjour en Pologne à profit pour tenter de pénétrer dans l'intimité de l'oeuvre des principaux artis-

tu, to znaczy owe dasy małżeńskie, fałszywe ambicje, przeciąganie struny. To jest właśnie drastyczny przykład przeciągania struny. Mężczyźni na dłuższą metę tego nie znoszą i kobiety powinny mieć wyczucie, kiedy i w jakich okolicznościach mogą sobie pozwolić na upór, zawziętość i niedostępnność, a kiedy należy ustąpić. Największą sztuką i najtrudniejszą w małżeństwie jest właśnie owo wyczucie sytuacji, orientacja w nastroju partnera czy partnerki. Czasem jeden krok czy jeden gest w porę zrobiony znaczą więcej, niż tygodnie uśmiechów i starań. O tym trzeba pamiętać i tę sztukę trzeba opanować. Warto to uczynić, bo szczęśliwe małżeństwo bardzo rzadko się spotyka, między innymi dlatego, że obojgu partnerom brak wyczucia i taktu.

ANNA

DROGA PANI ANNO!

Jestem samotną kobietą. Mieszkam u syna, ale mi smutno. Nie jest mi dobrze u mojej synowej. Ona mi stale dokucza i ciągle się martwię. Mój mąż umarł i jestem już od pięciu lat osieroconą. Mieszkam u nich, ale dłużej tak nie wytrzymam. Może by Pani wiedziała o jakimś kandydacie na męża, to proszę mi przysłać jego adres. Prosiłabym adres tego Pana, co się ogłaszał w „Tygodniku”. Pozostaje u uszanowaniem.

J. W.

SZANOWNA PANI!

Nic o Pani nie wiem, ani nie znam wieku, ani nie orientuję się w Pani sytuacji materialnej. Nie wiem także jaki jest stan Pani zdrowia. Poza tym trudno mi naprawdę kojarzyć pary małżeńskie, bo przecież nie na tym polega moja rola. Moje zadanie to pomóc i poradzić Czytelnikom w ich kłopotach i trudnościach życiowych. Wolalabym więc, gdyby Pani mi opisała swoje życie, swoje kłopoty i konflikty z synową. Jakie są przyczyny tych niesnasek? Czy nie ma na nie rady? Jeśli tak źle się Pani czuje w domu syna, dlaczego nie zamieszkać samej? Czy ma Pani jakąś możliwość to uczynić? Gdzie Pani mieszkała póki mąż żył? Chciałabym także wiedzieć czy materialnie poradzi Pani sobie sama, bo wtedy można by znaleźć jakieś rozsądne rozwiązanie. Nie zawsze takim rozwiązaniem dla starszej kobiety jest małżeństwo z zupełnie obcym, nieznanym mężczyzną. Nie ma Pani

już 20 lat i do pewnych zwyczajów Pani przywykła. Nagle przyjdzie ten obcy człowiek, stary, chory może, kapryśny, wymagający i będzie chciał uczynić z Pani swoją służącą, kucharkę, praczkę itd. I to ma być to szczęście? Czasem naprawdę lepiej żyć samotnie, albo u syna. Tylko dobrze by było jakoś tak ułożyć stosunki z synową, by unikać kłótni i zadrzań. Myślę, że napisze Pani do mnie obszerniej o sobie i swoich kłopotach. Postaramy się je wspólnie rozwiązać.

ANNA

DROGA PANI ANNO!

Od trzech lat jestem wierną Czytelniczką „La Semaine Polonaise”, a zwłaszcza Pani rubryki i dlatego zwracam się do Pani z gorącą prośbą. Ale może najpierw przedstawię moją sytuację. Mieszkam w Polsce. Przed trzema laty poznałam chłopca — Francuza, który przebywał w Polsce na wakacjach. Pokochaliśmy się bardzo, ale cóż: on tam, we Francji ma swą pracę, która mu bardzo odpowiada, ja natomiast wówczas, gdy poznałabym się byłam studentką i roku filologii polskiej i miałam przed sobą długie 5-letnie studia, z których nie chciałam zrezygnować. Obecnie kończę trzeci rok, a ponieważ chcemy się pobrać muszę się liczyć z wyjazdem na stałe do Francji i w związku z tym z podjęciem tam pracy. I tu problem, z którym zwracam się do Pani. Znam język francuski i pracuję stale nad pogłębieniem tej znajomości, poza tym język niemiecki i rosyjski w stopniu zaawansowanym, ale doprawdy nie

wiem, gdzie ewentualnie można się zacząć mając dyplom Uniwersytetu Jagiellońskiego (mostryfikowany — podobno bez specjalnych trudności za granicą), w zakresie filologii polskiej. Może w którymś z ośrodków polonijnych lub w szkole dla dzieci Polonii Francuskiej, jeżeli taka istnieje w obrębie Paryża? Nie wyobrażam sobie życia bez pracy, nie chciałabym być całe życie uzależniona od przysięgłego męża, mimo, że go bardzo Kocham. Gdyby to było możliwe, bardzo proszę o odpowiedź, choćby najbardziej ogólną.

EWA

KOCHANA PANI!

Moja odpowiedź będzie istotnie bardzo ogólna. Przede wszystkim dlatego, że nie bardzo mogę Pani pomóc. Nie znam takich wolnych posad dla absolwentek filologii polskiej i nie sądzę, by było o to łatwo. Tym bardziej, że jeśli dobrze rozumiem sprawa będzie aktualna dopiero za dwa lata i z góry trudno cokolwiek planować. Być może, w tym czasie wobec realnej perspektywy rozszerzenia współpracy polsko-francuskiej potrzeba będzie we Francji więcej nauczycieli jęz. polskiego. Sądzę, że na pewno łatwiej byłoby dostać taką pracę w tych rejonach, gdzie Polonii jest najwięcej, niż w rejonie Paryża. Ale kto wie. Może i tu coś się znajdzie. Moja rada jest taka. Niech Pani na razie nie zatruwa sobie głowy tymi myślami. Niech Pani kończy swoje studia, wychodzi za mąż, a potem się zobaczy. Życzę szczęścia.

ANNA



SZANOWNA PANI ANNO!

Na pytanie Czytelniczki, która powinna przeprosić po kłótni małżeńskiej, lepszej porady, od tej, którą Pani dała być nie mogło. Ja zaś ze swej strony wszelkiego rodzaju amatorom scen, dąsów i przeprosin radzę zapoznać się z tą, poniższą historią. Znam tu kobietę, która bawiąc się w dasy często wyjeżdżała do krewnych i tak długo przebywała, dopóki mąż nie przyjechał jej zabrać. Pewnego razu nie doczekała się, a gdy wróciła mąż zamiast przywitać ją, powiedział, że idzie do szpitala i będzie operowany na ślepą kiszeczkę. Na trzeci dzień ona go nie znalazła w szpitalu. Ponieważ mieszkamy przy granicy niemieckiej, mój mąż poszedł do szpitala niemieckiego i tam powiedzieli mu, że człowiek ten był operowany, ale nie na ślepą kiszeczkę. Teraz wyszło na jaw, że zamieszkał u samotnego starca, jest zdrow, pracuje, ale do żony wracać nie ma po co. Tymczasem ta kobieta o niczym nie wie, spostrzegła tylko, że po odejściu męża nic z jego rzeczy nie pozostało w szafie. Proszę mi poradzić Pani Anno czy mam ją poinformować o tym wszystkim, co wiem, bo to moja przyjaciółka.

STAŁA CZYTELNICZKA

DROGA PANI!

Myślę, że może jej Pani powiedzieć to, co Pani wie, pod warunkiem oczywiście, że to wszystko jest prawdą, a nie wersją opartą na plotkach. Wydaje mi się, że żona powinna wiedzieć, gdzie się podziewa jej mąż, a jeśli zamierza ją rzucić, to także jego obowiązkiem jest ją o tym zawiadomić. Jeśli tego nie robi, widocznie, ma nieczyste sumienie. Gdy Pani przyjaciółka będzie wiedziała, gdzie on się znajduje, może wystąpić na drogę sądową, uzyskać rozwód, odszkodowanie, rentę, podział wspólnego majątku. Ta sprawa ma natomiast w ogóle głębszy sens. Mam na myśli główny temat Pani li-

RADIOODBIORNIKI-TELEWIZORY

Lodówki, maszyny do prania i inne artykuły gospodarstwa domowego

LENG-PICARD ET Cie

16, Place de la Liberté; 423, rue de Lannoy
TELEFONY: 73.39.43, 73.29.47 ROUBAIX (NORD)

UN NOUVEAU PAS DANS LA THEORIE DE L'EVOLUTION?

DEUX savants, l'un le dr Józef Kobus de l'Atelier de Microbiologie Agricole de l'Institut de Puławy, et le dr Stefan Russel de l'Ecole générale de l'Economie rurale de Varsovie, ont fait une découverte qui risque d'ouvrir une voie nouvelle dans l'histoire de la création et de l'évolution de la vie sur la terre.

Cette découverte est l'effet du hasard. Alors que les deux savants faisaient des recherches pour tenter d'utiliser l'illite pour l'amélioration de la glèbe ils constatèrent avec stupeur que les échantillons prélevés dans la mine Chwałowice près de Rybnik, contenaient une quantité importante d'albumine végétale, cette albumine encore active comportait des enzymes.

On sait que les enzymes constituent une substance de base des organismes vivants en appelant et conditionnant toute espèce de vie. Mais, dans des conditions normales les enzymes perdent normalement leur activité biologique après quelques heures et au maximum quelques jours; comment donc était-il possible que des enzymes aient subsisté sous terre, à 300 m de profondeur, en une roche ayant plusieurs dizaines de millions d'années?

Si la découverte était surprenante, elle paraissait irréaliste et bien entendu les savants se livrèrent à d'autres recherches, sur des échantillons de minéraux prélevés dans des conditions parfaitement stériles. Le résultat obtenu fut le même, mieux, il s'avéra que les échantillons de charbon contenaient également de l'albumine végétale.

L'illite étant un minéral à structure feuilletée et justement par cette structure des organismes vivants ont pu être conservés durant plusieurs millions d'années, c'est là l'hypothèse avancée par le dr Russel.

Pour la science, cette découverte, peut être d'une importance énorme pour la théorie de l'évolution, elle sera peut-être la clé pour toutes les questions qu'on se pose quant à l'histoire du développement de la vie sur terre. Nul ne supposait possible le dépistage de l'évolution par l'albumine, base de tout organisme vivant. En analysant des minéraux plus anciens encore on arrivera peut-être à définir l'évolution de la vie sur la terre jusqu'à la création de l'„homo sapiens”.

couverte, peut être d'une importance énorme pour la théorie de l'évolution, elle sera peut-être la clé pour toutes les questions qu'on se pose quant à l'histoire du développement de la vie sur terre. Nul ne supposait possible le dépistage de l'évolution par l'albumine, base de tout organisme vivant. En analysant des minéraux plus anciens encore on arrivera peut-être à définir l'évolution de la vie sur la terre jusqu'à la création de l'„homo sapiens”.

L'air du temps

CONNAISSEZ-VOUS l'agave, cette plante exotique aux feuilles vertes, épaisses comme du cuir et ourlées d'un jaune hérissé de piquants? Bien sûr vous la connaissez. Il lui arrive de prendre, avec le temps, des proportions envahissantes aussi la voit-on en été dans les jardins publics, dans les palmariums et à l'état sauvage là, où le climat lui est clémente, là, où il est chaud. Car cette plante hautaine qui s'ébouriffe avec distinction et vient des Amériques, du Mexique exactement a depuis longtemps conquis le monde et les foyers.

Ne pensez pas que mon intention soit d'exposer une théorie particulière relative à l'agave. Que non. Si un événement ne s'était produit en le palmarium de Łódź j'aurais laissé l'agave s'étaler en paix. L'agave de Łódź a fleuri! Et l'agave, après une longue végétation qui dure plus de cinquante ans fleurit pour mourir. Alors son „chant du cygne” est éclatant, elle projette une hampe qui atteint une dizaine de mètres de hauteur et prend les allures d'un arbre en fleurs. C'est justement ce qui vient d'arriver à l'agave de Łódź après quatre-vingts ans d'existence et toute la ville défille devant elle pour l'admirer dans son éclatante beauté, défi à l'agonie qui la guette, tapie dans l'écoulement des jours.

Au bord de la Méditerranée cette floraison ne prendrait pas les allures d'un événement au point de la signaler dans la presse du coin. En Pologne le fait est suffisamment rare pour en parler. A moins que ce soit la morte-saison de l'information qu'on appelle en Pologne la „saison des concombres” qui attire l'attention sur l'agave? S'il faut faire un choix, entre les soucoupes volantes et l'agave préférons l'agave, en ce mois où nous allons vers la nature, c'est plus poétique. Pour la science-fiction, prenons un livre de Stanisław Lem „Solaris” par exemple, excellent compagnon des jours de pluie.

D'anciens terrains industriels deviendront lieux de loisirs

On connaît déjà l'origine du magnifique parc du Repos et des Loisirs de Chorzów, aux portes de Katowice. Il fut aménagé sur le terrain d'anciennes mines dont l'exploitation avait été terminée. A l'heure actuelle, quand on s'y promène, il est difficile d'imaginer quelle pouvait bien être la vue désolante qui s'étendait à ce même endroit il y a quelques années.

Dans le cadre de sa politique de l'environnement, la voïvodie de Katowice a déjà transformé les sablonnières inexploitées de Nakło-Chechio et de Rogoźnik en terrains de loisirs. Il en sera de même pour les anciennes

sablonnières de Piawniowice, Siemionia et de Gołonóg. Sur l'ensemble de ces terrains 6 lacs artificiels vont être créés, ils constitueront une surface d'environ 1700 ha et tout autour de ces réservoirs d'eau seront aménagées des stations de loisirs et de repos.

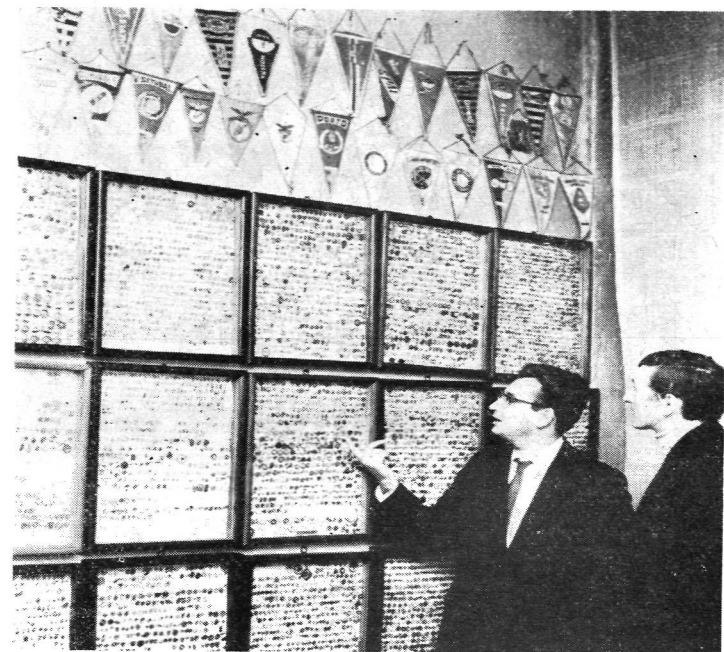
Pays minier par excellence, la voïvodie de Katowice a su créer des „oasis” de verdure pour ses habitants.

EN COURANT... EN COURANT...

● Dans la basilique de l'abbaye de Tynieć ont été organisés des concerts de musique ancienne dont la direction musicale était assurée par la Philharmonie Nationale de Cracovie. On a pu entendre des oeuvres de J. S. Bach, Guilman, D. Buxtehude et F. Nowowiejski.

● La voïvodie de Lublin est riche en trésors enfouis. Dernièrement, un paysan de Niedziałkowice, dans le district de Chełm Lubelski, a trouvé dans son champ un trésor de 780 pièces datant du temps du roi Jean Casimir. Un peu plus loin, à Cyców, un autre paysan a trouvé plus de mille pièces d'argent du temps de Sigismond III Vasa.

● Un troisième centre d'élevage des bisons a été créé dans la forêt Borecka en Mazurie. Les premiers bisons, un couple, furent lâchés en 1969. A l'heure actuelle ils sont 22. A la fin de 1971, les



QUI dit mieux? Avoir une collection d'insignes sportifs s'élevant à plus de 13 000 exemplaires provenant de 120 pays. Personne ne peut relever le défi, car la collection du dr Janusz Kukulski de Cracovie, est unique au monde.

Médecin de son état, le dr Kukulski s'adonne, depuis douze ans à ce passe-temps avec une passion qui lui a valu la célébrité, car les insignes qu'il a rassemblés sont souvent fort rares, l'un par exemple, date de 1908 et représente le club „Pogoń” de Lwów. Etre collectionneur veut aussi dire connaître l'origine des insignes et c'est bien volontiers que dr Kukulski l'explique à ses visiteurs occasionnels.

En 1970, une exposition mondiale de football fut organisée à Manchester en Grande-Bretagne. Des clubs de tous les continents y participèrent et, à titre exceptionnel, le dr Kukulski fut invité, c'était l'unique collectionneur privé présent à cette exposition.

Nous présentons le dr Kukulski (à gauche sur la photo) devant une partie de sa collection qui occupe la totalité des trois murs d'une pièce. Une collection à faire pâlir d'envie bien des jeunes fervents du sport et du même coup amateurs d'insignes!

Photos: CAF



A Zwolen, petite ville de district dans la voïvodie de Kielce, les bancs publics, par les belles journées, accueillent autant les vieilles paysannes venues prendre le soleil et bavarder un brin, que les jeunes qui se réunissent pour faire de même. De son socle, immuable, Jan Kochanowski contemple avant d'ouvrir le livre qu'il tient à la main, recueil de ses poésies ou bien recueil des poésies de son tout aussi illustre confrère, Ronsard, avec lequel il entretint des relations?

C'est dans l'église de Zwolen que repose justement le grand poète polonais de la Renaissance.



restes de céramique ont été trouvés en grande quantité. Les fouilles seront conduites sur une plus grande échelle par le musée de Rzeszów.

● A Szczecin, les travaux de construction d'un centre de la radio et de la télévision sont en cours. Ce sera le plus important après les centres de Varsovie et de Katowice.

● En octobre prochain le célèbre cabaret estudiantin de Varsovie prendra possession de nouveaux locaux qui comprendront une vaste salle de spectacles, une autre salle de dimensions plus réduites, un centre de cinéma, une galerie d'exposition etc...

● Le professeur Stanisław Lorentz dont le nom est attaché à la reconstruction du Château Royal de Varsovie, a été maintenu à la présidence de l'Icomos (Conseil international des monuments et ensembles historiques) lors du Congrès qui s'est tenu dernièrement à Budapest.

PROSTO Z POLSKI

Pierwszy rejs „Prof. Siedleckiego”

Pierwszym polskim statkiem rybackim floty naukowo-badawczej był drewniany, dwumasztowy kuter żaglowo-motorowy „Ewa” o długości 16 m, zabierający na pokład 4 naukowców, nabyty w Danii dla Instytutu Rybackiego w Gdyni w 1929 r. Dziś Morski Instytut Rybacki w Gdyni dysponuje trzema statkami naukowo-badawczymi: niewielkim kutrem „Dr Lubeccki”, przeprowadzającym badania na Bałtyku, lugrotrawlerem „Birkut”, penetrującym m. in. Morze Północne oraz największym — 60 metrów długości motorowcem „Wieczno”, penetrującym między innymi wody Oceanu Atlantyckiego.

Niedługo wypłynie w pierwszy rejs m/s „Profesor Siedlecki”.

z Francji na odbudowę Zamku

Polska centrala handlowa „Unitra” otrzymała od pokrewnej paryskiej firmy S.E.I.M.O. list oraz przekaz na 500 franków, z prośbą o przekazanie pieniędzy do biura odbudowy Zamku Warszawskiego. W liście podpisanym przez J. C. Duigou oraz Y. des Diguères, kierownictwo francuskiego przedsiębiorstwa pisze:

„Pozwalamy sobie przekazać wam ten czek. Pragniemy, w skromny chociaż sposób, współuczestniczyć w odbudowie starego Zamku Warszawskiego. Pragniemy udowodnić, że przyjaźń naszych narodów nie jest pustym dźwiękiem”.

Gospodarka

Silnik-gigant

...wyprodukują zakłady „H. Cegielski” w Poznaniu. Ośmiocylindrowy silnik mieć będzie moc 23.200 koni mechanicznych. Zainstaluje się go na pierwszym polskim statku o nośności 105 tys. ton budowanym w Stoczni Gdynińskiej.

Zagłębie miedziowe

...w okolicach Głogowa i Lubina będzie nadal rozbudowywane. Wpłynęły na tę decyzję także poważne oszczędności przy pierwszym etapie budowy.

Odsalanie wód kopalnianych

...będzie przeprowadzane na Śląsku. Dotychczas sphywa do rzek 900 tys. m sześć. wody na dobę. W kopalni Dębieńsko wybuduje się zakład, który dostarczać będzie na dobę 240 ton soli kuchennej i 1700 m sześć. wody pitnej.

Regionalne towarzystwa Rzeszowszczyzny

W ostatnich latach na Rzeszowszczyźnie szczególnie żywo zaczął się rozwijać ruch towarzystw regionalnych i lokalnych, które przejęły główną rolę krzewiciela masowej kultury w swoich środowiskach. Obecnie w woj. rzeszowskim działają już 33 kulturalne stowarzyszenia regionalne, skupiające około 4500 aktywnych działaczy. Obejmują one działalnością nie tylko większe ośrodki miejskie, powiatowe, ale też rozwijają się na wsi i w małych miasteczkach.

Dla przykładu wymienić można „Towarzystwo Przyjaciół Haczowa” (wsi w powiecie brzozowskim), „Związek Ołpinian” (wsi w powiecie Jasło), „Stowarzyszenie Miłośników Sieniawy” (małego miasteczka w pow. Jarosław), czy koła terenowe „Miłośników ziemi przeworskiej”, „Miłośników Jasła i regionu jasielskiego”, „Miłośników ziemi mieleckiej”.

Członkowie towarzystw regionalnych opracowują historię swoich regionów, własnymi siłami i kosztem prowadzą prace wydawnicze i badawcze, organizują muzea regionalne, izby pamiątek, są inspiratorami i inicjatorami wielu poczyniń kulturalno-oświatowych, m. in. sesji naukowych i popularnonaukowych, z których wiele ma zasięg i charakter ogólnokrajowy. Prowadzą intensywną działalność odczytową, organizują tradycyjne „Dni” swoich regionów, imprezy artystyczne, turystyczno-krajoznawcze, urządzają ciekawe wystawy.

Dzień francuski w Polskim Radiu

14 lipca br., z okazji święta narodowego Francji, Polskie Radio nadało wiele okolicznościowych audycji.

Liczne pozycje informacyjne i publicystyczne poświęcone Francji można było znaleźć w „Poranku z radiem”, „Muzyce i aktualnościach”, „Polityce dla wszystkich” oraz w dziennikach. Redakcja „Popołudnia z młodzieżą” ogłosiła konkurs Polska—Francja, którego główną nagrodą jest dwutygodniowy pobyt we Francji.

Wieczorem w programie I nadano słuchowisko „Chwila ulotna” wg opowiadania Dominique Vivant-Denon. Redakcja muzyczna przygotowała kilka koncertów, zarówno muzyki poważnej, jak też rozrywkowej. Kompozytorem tygodnia był Gabriel Faure, a operą tygodnia — „Faust” Gounoda.

Polska organizatorem Kongresu Astronomicznego

W związku z 500 rocznicą urodzin Mikołaja Kopernika obradować będzie w Warszawie, Toruniu i Krakowie w dniach 4—12 września 1973 r. nadzwyczajny Kongres Międzynarodowej Unii Astronomicznej. Organizatorzy przewidują, że do Polski przyjedzie ok. 2 tys. naukowców z całego świata. Poprzedzi go XV nadzwyczajny Kongres Międzynarodowej Unii Astronomicznej, który obradować będzie w dniach 21—30 sierpnia w Sydney.

Warto dodać, że równoległe do obrad nadzwyczajnego Kongresu Międzynarodowej Unii Astronomicznej, organizowany jest w Polsce Kongres Międzynarodowej Unii Historii i Filozofii Nauki, którego program nosi nazwę Colloquia Copernicana.

Strona polska zadeklarowała stypendia dla stu młodych astronomów z całego świata, a zwłaszcza z krajów rozwijających się, aby umożliwić im udział w kongresie.

TYGODNIOWA GAWĘDA

- ◆ Ludzie złagodnieli
- ◆ Lepsza organizacja życia
- ◆ Nie rób drugiemu...

Wiecie, Mili, co zauważyłem? Ludzie w Polsce jak gąbki złagodnieli, stali się bardziej uprzejmi. Nawet w tramwajach czy autobusach w godzinach szczytu, kiedy tłok, coraz częściej na niewygodę ludzie reagują żartem niż złością. Czemu to przypisać? No, na pewno lato, dłuższy dzień, urlopy, wakacje — to wszystko ma swój wpływ. Ale to jeszcze nie jest wystarzające wyjaśnienie. Wydaje się, że po prostu ludzie żyją teraz spokojniej niż przed kilku laty, że są mniej zaganiani, nie denerwują się tak jak uprzednio.

Na pewno odczuwalnie poprawiły się warunki życia w Polsce, wzrosły dochody ludzi, sprawniejsza jest organizacja bytowania, nie czytają dziwaczne niespodzianki (jak np. zamawianie importu kawy w którymś roku lat sześćdziesiątych), bardziej realne niż dawniej i bliższe są perspektywy dalszej poprawy. Wszystko to odgrywa bardzo istotną rolę, rzutuje na samopoczucie obywatela, a zatem i na jego zachowanie. Człowiek spokojny, bez stałych zmartwień i kłopotów, potrafi i chce lepiej współżyć z innymi, jest przyjazny, uśmiechnięty. I tolerancyjny.

No, nie jest jeszcze, Najmilsi, tak, by wszystkim ludziom w Kraju nagle wyrosły skrzydła i zamienili się w aniołki. Sam byłem świadkiem podczas niedawnych zmasowanych wyjazdów urlopowych, jak poniektórzy „na granę” łokciami wpychali się do wagonów, zdarzało się, że i zaleciała „łacina”, ale istotna była reakcja innych podróżnych: nieukrywana wrogość w stosunku do naruszających porządek zmusiła grupkę poczynających sobie po dawnemu, do uspokojenia się, do przepuszczenia kobiet z dziećmi i starszych ludzi, słowem do przyzwoitego zachowania się.

Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby w pociągach, tramwajach czy autobusach było tak luźno, by nawet w „szczytowych” dniach czy godzinach każdy mógł sobie bez trudu znaleźć miejsce. Wtedy zniknęłyby źródła konfliktów na tym tle. Ale niestety tak jeszcze nie jest. Inny przykład: w miarę poprawiania się wa-

runków mieszkaniowych zmniejsza się ilość tzw. pyskówek w sądach, tj. spraw wynikłych na tle np. używania wspólnej kuchni. Wydatnie zwiększony program budownictwa mieszkaniowego powinien zmniejszyć i tę plagę. Też jeszcze nie dziś i nie jutro.

Nie dziś i nie jutro, ale też bez odkładania bezmiaru szczęścia na przyszłe pokolenia. Zyczymy jak najlepiej naszym dzieciom i wnukom, ale sami też chcielibyśmy, póki co, przyswoić pożytek. Taka szansa obecnie jest i ludzie zdają sobie z niej sprawę, chcą sami przystąpić do tego, by ją urzeczywistnić.

A tymczasem istotną rzeczą jest to, o czym wspominałem: lepsza organizacja życia. Jeśli nie trzeba oblatywać sklepów w całej dzielnicy, by otrzymać pożądaną towar, ale dostaje się go wszędzie — to jest to istotny czynnik zadowolenia ludzkiego; jeżeli w fabryce nie ma przestoju z powodu braku jakiegoś surowca i nie trzeba pod koniec miesiąca pracować nieprzytomnie, by nadgonić plan, to nie tylko wyniki produkcyjne są lepsze, ale i ludzie są spokojniejsi. Jeśli w Państwowym Gospodarstwie Rolnym nie niszczyliśmy maszyny na deszczu, lecz są należycie zabezpieczone i przygotowane do żniw czy też jeżeli w Gminnej Spółdzielni nie trzeba godzinami czekać, by oddać zakontraktowany żywiec — wtedy też chłopów krew nie zalewa, jak to bywało. Wydaje się, że jednym z największych osiągnięć ostatniego okresu jest wzrost gospodarności, polepszenie organizacji życia. Jakże istotna to sprawa!

Jest takie wręcz genialne polskie stare przysłowie: nie rób drugiemu, co tobie niemiło. W tych kilku słowach zawiera się bodajże cały kodeks współżycia ludzi. Myślę, że całe to dzieło o etyce, o zasadach moralności nie potrafią powiedzieć więcej aniżeli zawarte jest w tych kilku słowach ludowej mądrości. I odnamięć wrażenie, że coraz więcej ludzi w Polsce pamięta o nakazie, zawartym w tym skromnym zdaniu.

MARIAN

Jednym ZDANIEM

● Minister spraw zagranicznych Stefan Olszowski złożył oficjalne wizyty w Rumunii i Bułgarii.

● W Łodzi w dniach 19—22 lipca odbył się wielki zlot młodzieży polskiej.

● W Instytucie Hematologii w Warszawie utworzony został pierwszy w Polsce „bank” mrożonej krwi dysponujący unikalnymi grupami krwi.

● W Polsce przebywał doradca prezydenta Nixona dr Edward E. David jr., który oświadczył, że amerykańskie orbity obserwatorium astronomiczne umieszczone na orbicie w sierpniu br. nazwane zostanie „Copernicus”.

● Na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie otwarto tegoroczne kursy języka polskiego i kultury polskiej dla młodzieży polonijnej z udziałem 220 uczestników z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii i Szwajcarii.

● Przystąpiono do druku atlasu klimatycznego Polski, który zawiera dane z obserwacji meteorologicznych od 1881 roku.

KRUCHO Z WODĄ

Zasoby wodne w Polsce ocenia się na 58 kilometrów sześciennych, przy czym na każde 7—8 m³ przypada obecnie 1 metr³ ścieków. Jeżeli utrzymać się będzie dotychczasowe tempo zanieczyszczania wód, to w roku 1985 stosunek ten znacznie się pogorszy i na 3 m³ wody przypadnie 1 m³ ścieków. Dodajmy tu, że Polska znajduje się w grupie najuboższych w wodę krajów europejskich. Powierzchnia wód śródlądowych w Kraju kształtuje się następująco: jeziora — 299 tys. ha, rzeki — 90 tys. ha, zbiorniki zaporowe — 29,6 tys. ha, stawy rybne — 39,5 ha.

NASZ KALENDARZ

NIEDZIELA, 6 SIERPNIA
Jakuba, Sławy

1942 — Hitlerowcy zamordowali pisarza i pedagoga, przyjaciela dzieci i młodzieży Janusza Korczaka.

1945 — Zrzućenie bomby atomowej na Hiroszimę.

PONIEDZIAŁEK, 7 SIERPNIA
Kajetana, Konrada, Doroty

7—22 VIII 1944 — Bitwa pod Falaise, w której brała udział I polska dywizja pancerna.

WTOREK, 8 SIERPNIA
Cypriana, Emiliana

ŚRODA, 9 SIERPNIA
Romana, Romualda

CZWARTEK, 10 SIERPNIA
Wawrzyńca, Bogdana

PIĄTEK, 11 SIERPNIA
Zuzanny, Filomeny

SOBOTA, 12 SIERPNIA
Klary, Euzebusza

NIEDZIELA, 13 SIERPNIA
Hipolita, Heleny, Diany

PONIEDZIAŁEK, 14 SIERPNIA
Euzebusza, Alfreda

WTOREK, 15 SIERPNIA
Assomption

1940 — Pierwszy transport więźniów do obozu w Oświęcimiu.

ŚRODA, 16 SIERPNIA
Rocha, Joachima

16—26 VIII 1937 — Strajk chłopów w Polsce południowej.

CZWARTEK, 17 SIERPNIA
Jacka, Julianny

VIII—X 1940 — Bitwa powietrzna o Anglię.

PIĄTEK, 18 SIERPNIA
Heleny, Klary

1850 — Zmarł Honoriusz Balzak (ur. 1771 r.).

1919 — Wybuch I Powstania Śląskiego.

SOBOTA, 19 SIERPNIA
Bolesława, Juliana

1662 — Zmarł filozof Blaise Pascal.

1920 — Wybuch II Powstania Śląskiego.



WŚRÓD SWOICH...

Z książki Ewy i Zbigniewa Bonieckich „Polskie spotkania na Wyspach Brytyjskich” cytujemy fragment rozmowy, którą autorzy przeprowadzili z panią **Helena Sikorską**:

...I wreszcie pada to pytanie, które już od dawna wisiało w powietrzu. Czy chciałaby wrócić do Polski, czy tęskni za Krajem?

Milczy długo, potem mówi wolno:

— Czy tęsknię? Mój Boże, tęsknota za Polską nie opuszcza mnie ani na moment. Tęsknota do ziemi, zapachów, mowy, ludzi. Jestem ze wsi. Mieszkaliśmy przez wiele lat w resztówce Parchanie koło Inowrocławia. Jak tam pachniało zboże, trawa, liście jesienne. Tutaj nic nie pachnie tak pięknie: ani kwiaty, ani ziemia, ani trawy. Mieszkam tu tyle lat, ale myślami żyję zawsze w Polsce. Czy chciałabym wrócić? Tak. Czy wrócę? Nie wiem.

Mieszkała w miejscowości Little Boockham, w starym domu wśród zieleni, kwiatów i... wspomnień. Katastrofa gibraltarska zabrała jej męża i córkę. Potem przyszły ciężkie lata życia na obczyźnie, w niełatwej roli wdowy po generale Władysławie Sikorskim.

Poznała go u swoich przybranych rodziców Zubczewskich — i poślubiła, gdy ukończył Politechnikę Lwowską. Potem nie odstępowała go już nigdy, dzieląc zawsze wiernie jego niełatwy los.

...Wreszcie znalazła się wśród swoich... Tam, gdzie pragnęła. Gdzie pachną tak urzekająco trawy i liście, a ziemia jest bliska i serdeczna... Właśnie ta ziemia, która przyjęła panią Helenę, dając Jej wieczny spoczynek.

Pani generałowa Helena Sikorska, zgodnie ze swoją ostatnią wolą, została pochowana w Zakopanem, w grobie rodzinnym.

Obrzędy pogrzebowe odbyły się 8 lipca. Mszę żałobną celebrowało trzech biskupów. Obecni byli przedstawiciele władz miejskich Zakopanego z przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej, **Lechem Bafią** na czele. Nad grobem Heleny Sikorskiej przemówił generał w stanie spoczynku **Mieczysław Boruta-Spiechowicz**, wspominając godność i hart ducha, które wykazała Zmarła po tragicznej katastrofie w Gibraltarze. Mówca podziękował również ministrowi **Januszowi Wiczorkowi** za pomoc w sprowadzeniu prochów Heleny Sikorskiej do Kraju. Przy dźwiękach marsza żałobnego trumna z prochami wdowy po premierze i Naczelnym Wodzu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, spoczęła w rodzinnym grobowcu.

Fot. A. JAŁOSIŃSKI





NAGRODY MUZYCZNE

LIBERCOURT. W regionalnym konkursie gry na fortepianie pierwszą nagrodę otrzymała p. **Jocelyne Dolatowska**, uczennica profesora Adama Jakubczaka z tutejszej szkoły muzycznej.

SANVIGNES-les-MINES. Na zakończenie tegorocznej nauki muzyki w miejscowej szkole muzycznej pierwsze nagrody w zakresie teorii muzyki otrzymali: **Jean-Louis Warzynowski**, **Lucile Woźniak**, **Gérard Strutyński**, **Monique Tulińska**, **Colette Tulińska**, **Fryderyk Kokot**, **Martine Tulińska**, **Michel Król**; zaś w zakresie instrumentacji: **Ryszard Fuitowski**, **Marie-Pierre Wiczonek**, **Michel Król**, **Pascal Paszek**, **Alain Makowski**, **Michel Wozcki** i **Monique Tulińska**.

EGZAMINY ZAWODOWE

Pomyślnie złożyli egzaminy „baccalauréat de technicien” w zakresie konstrukcji mechanicznych: **Jean-Pierre Oczkowski** z LT Armentières, **Claude Marcinkowski** z LT Béthune, **Bernard Adamczak** i **Daniel Kalmucki** z LT Bruay, **Alain Furmaniak** z LT Denain, **Dominique Ciesielski** z LT Douai, **Marian Kucharski** z LT Hénin-Beaumont, **Stefan Kozak** z LT Lens, **Christian Skolimowski** i **Ryszard Witczak** z LT Tourcoing, **Eric Korzeń**, **Jacques Wnuk** i **Włodzimierz Myślek** z LT Valenciennes, **Philippe Gruszecki** i **Jean-Pierre Wójcikiewicz** z LT St. Amand i **Daniel Kinowski** z LT Maubeuge. W zakresie elektroniki dyplomy baccalauréat otrzymali: **Roger Kałużny** z LT Valenciennes; a w zakresie elektrotechniki: **Jean-Claude Karolczak** z LT Béthune, **Jean-Jacques Knop** i **Stanisław Kuteryszyn** z LT Lens, **Christian Ossowski** z LT Valenciennes; w zakresie chemii: **Jean-Pierre Maćko-**

wiak, **Jacques Świtalski** i **Jean-Claude Ogiński** z LT Armentières, **Monique Dembski**, **Christian Kara**, **René Konieczny**, **Helena Putynkowska** i **Jean Kociszewski** z LT Hénin-Beaumont; w zakresie biochemii: **Yves Gumiński** z LT Boulogne-sur-Mer. Dyplomy „brevet de technicien supérieur” otrzymali w zakresie fabrykacji mechanicznych: **Szymon Kowalczyk**, **Jean-Luc Adamski** i **Robert Warzecki**, w zakresie odlewnictwa żelaznego: **Daniel Kaczmarek** i **Régis Podgorski**.

ARRAS. Dyplomy na poziomie CAP w zakresie budownictwa otrzymali w tutejszym centre de batiment: **Jean-Marie Duszyński**, **André Januszko**, **Francis Tomczak**, **Bernard Danielczyk**, **Alain Dworaczek**, **Johnny Kanczuga**, **Patrick Mieczarek**, **Bruno Koliński**, **Jean Wioska**, **Stanisław Zeybał**, **Jean-Pierre Szczepaniak**, **Fabrice Tkacz**, **Bernard Wierzbicki**, **Bernard Oswald**, **Patrick Derda** i **F. Czepik**.

NA CELE SPOŁECZNE

Zebrałe przez przyjaciół datki z okazji zawarcia związków małżeńskich ofiarowały zwyczajem francuskim na cele opieki społecznej małżeństwa: **Martine Rzepka** — **Alain Godard** i **Chantal Stransberger** — **Andrzej Lucyck** w **Metz**; **Danielle Dajliko** — **Richard-Daniel Gałczyński** w **St. Vallier**; **Danielle Soty** — **Jean Pawan** i **Nadine Wilczenty** — **Jean Taghe** w **Montceau-les-Mines**, **Marie-Chantal Kasprzak** — **Alain Jayet** w **Avion**; **Yveline Gomez** — **Francis Stachowiak** w **Marles-les-Mines**; **Caroline Kempa** — **André Bastien** w **Lallaing**; **Sylviane Zurek** — **Raymond Gresillon** w **Waziers**; **Lucie Rzepka** — **Francis Krzymański**, **Michèle Ligniert** — **Bruno Gatkowski**, **Marie-Lyse Boussemart** — **Alex Jablonka** i **Roselyne Lefebvre** — **Paweł Michalak** w **Billy-Montigny**; **Nadine Talağa** — **Marc Janquin** w **Annequin**; **Anita Szulik** — **Bernard Kaczmarek**, **Françoise**

Lesage — **Jacques Komorski** i **Dominique Dubois** — **Edward Magnuszewski** w **Caillon-Ricouart**, **Lucette Reveillon** — **Henryk Janiszewski** w **Divion**; **Gisèle Morelle** — **Claude Swist** w **Lewarde**, **Christine Michałowska** — **Patrice Cottin** w **Wingles**, **Lylliane Kaczanowska** — **Ahmed Ankouri** w **Bruay-en-Artois**, **Rose-Marie Kilaszewska** — **Christian Delattre** w **Courcelles-lez-Lens**; **Dominique Matuszewska** — **Christian Derveaux** w **Bully-les-Mines**, **Anne-Marie Nowakowska** — **Leon Pilloti**, **Nadine Pogórska** — **Serge Loison** w **Noyelles-sous-Lens**; **Monique Pawelec** — **Gérard Rendu** w **Hersin-Coupin**; **Monique Tuszyńska** — **Daniel Cabaret**, **Chantal Modolo** — **René Robaczewski** i **Maria Winogradzka** — **Gérard Połowczyk** w **Sin-le-Noble**; **Dany Swierk** — **Bernard Blanc**, **Bernadette Klimczak** — **Jean Dudziński** i **Rose-Marie Thobois** — **Christian Pilarowski** w **Liévin**.

SPOTKANIA TOWARZYSKIE

OIGNIES. W turnieju trójkowym, zorganizowanym przez klub petanki „Boules d'Argent” p. **Cichoński** z klubu „Justice” zajął miejsce pierwsze, p. **Flamien** z **Libercourt** 4, p. **Traczyk** i p. **Olejniczak** z klubu „Justice” 5, p. **Mróz** z **Libercourt** 9, p. **Dziadosz**,

p. **Filipiak** i p. **Stach** z **Ostricourt** 10.

CAUCHY-la-TOUR. W strzelaniu towarzyskim stowarzyszenia „Amicale Laïque” zarówno w kategorii młodzieżowej, jak i w konkursie otwartym zwyciężył dużą różnicą punktów p. **Kaczmarek**.

ST. VALLIER. Do regionalnego konkursu wędkarskiego, zorganizowanego przez stowarzyszenie „La Perche du Centre” stanęło 65 uczestników. Konkurs wygrał p. **Władysław Łuczak** z **Gauthereys** przed p. **Łudzińskim** i p. **Strutyńskim** z **Montceau-les-Mines**.

ELEU-dit-LEAUWETTE. W konkursie kwadretów, zorganizowanym dla tutejszego regionu pod nazwą challenge, p. **Roskoszny** z **Noeux** przegrał w finale. W półfinale odpadł p. **Wiśniewski** z **Bully**. Obydwaj otrzymali nagrody honorowe rozmaitych firm lokalnych.

ELEU-dit-LEAUWETTE. Tutejszy zarząd miejski wydał przyjęcie dla tutejszego klubu bulistycznego, który awansował do klasy wyższej. Specjalne nagrody otrzymali p. **Teodor Walczak** i p. **Edward Rzepka**. W kategorii kadetów pierwszą nagrodę za wyniki całoroczne otrzymał p. **Christian Walczak**. Wyróżnieni otrzymali specjalne gratulacje miejscowej rady miejskiej.

TV DU 5 AU 11 AOUT

PREMIERE CHAINE

TELE-MIDI — 13.00; TELE-SOIR — 19.45; TELE-NUIT — à la fin du programme
„YAO” — feuilleton — 12.30 (sauf le dimanche)
ÉMISSIONS POUR LES ENFANTS — 18.30 (sauf le dimanche)
DERNIERE HEURE — 18.25 (sauf le dimanche)
ACTUALITES REGIONALES — 19.00 (sauf le dimanche)
„REPONSE A TOUT” — 19.25 (sauf samedi et dimanche)
„SUIVEZ BUDART” — un divertissement d'André Voisin 20.15 — nouvelle série à partir de mardi 8 août

SAMEDI 5 AOUT

20.15. „Les dernières volontés de Richard Lagrange”
20.30. „Par des chemins solitaires”
21.30. Sérieux s'abstenir
22.10. Festival de musique des armées

DIMANCHE 6 AOUT

9.10. Télé-Matin
12.02. La séquence du spectateur
13.15. „Quentin Durward” n° 5
14.10. Dimanche en trois manches
19.25. La semaine sur la une
20.40. „Le triomphe de Michel Strogoff” — un film de Victor Tourjansky
22.35. Pour le cinéma

LUNDI 7 AOUT

14.30. „Les affaires sont les affaires” — un film de Jean Dreville
20.30. „La feuille d'Erable” n° 5
21.35. Spécial cinéma comique: Mack Sennet, le roi du rire
22.35. Coupe des orchestres de danse

MARDI 8 AOUT

20.30. Information première présente: 20-ème siècle
22.00. Volley-Ball

MERCREDI 9 AOUT

20.30. Ksst; ksst; ksst. — une émission de Gérard Sire
21.30. Les conteurs. — „L'Enfant de la Loire”
22.20. Label France n° 4

JEUDI 10 AOUT

20.30. L'Actualité en questions
21.30. „Aventures Australes” n° 7

VENDREDI 11 AOUT

20.30. Au cinéma ce soir: „L'Honorable Catherine” — un film de Marcel P'Herbier
22.30. Le temps de lire

DEUXIEME CHAINE — COULEUR

(C) — Couleur; (N) — Noir et Blanc
24 HEURES SUR LA DEUX (C) — 20.00
24 HEURES DERNIERE (C) — à la fin du programme
ACTUALITES REGIONALES (N) — 19.00 (sauf le dimanche)
COLOREX (C) — 19.20 (sauf le dimanche)
DES CHIFFRES ET DES LETTRES (C) — 19.30 (mardi, jeudi, samedi)
„FLIPPER LE DAUPHIN” (C) — 19.30 (lundi, mercredi, vendredi)

SAMEDI 5 AOUT

20.30. (C) Gentil Coquelicot
21.45. (C) L'Odyssée sous-marine de l'équipe Cousteau
22.35. (C) Emission de l'Université, radiophonique et télévisuelle internationale

DIMANCHE 6 AOUT

20.30. (C) Des oiseaux sur la branche
22.45. (N) Ciné-Club
(N) „Fury” — un film de Fritz Lang

LUNDI 7 AOUT

20.30. (C) Au théâtre ce soir: „Le fils d'Achille” de Claude Chauvière
22.20. (C) Tresors des musées de Budapest

MARDI 8 AOUT

14.30. (C) „Les lavandières du Portugal” — un film de Pierre Gaspard-Huit
20.30. (C) Mardi soir n° 6
21.40. (C) Témoins n° 6.
22.40. (C) Match sur la deux

MERCREDI 9 AOUT

20.30. (C) Les dossiers de l'écran:
(N) „La marche glorieuse” — un film de montage des documents
(C) Débat: De Latre de Tassigny

JEUDI 10 AOUT

20.30. (C) Les Beaux Jours — une émiss. de J. E. Jeannesson
22.00. (C) „Le Temps d'un Portrait” réal. Claude Goretta (Julien Clerc dans le rôle de Dan)

VENDREDI 11 AOUT

20.30. (C) Entrez sans frapper
21.30. (C) „La Qualité de la Vie” — une émission de Roland Martin et André Sabas
22.30. (C) Presto

la boutique polonaise

poleca

PIĘKNE PŁYTY (45 T) DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

N0078 — Naszym dzieciom

Jedzie pociąg ● Krasnoludki ●
Misie ● Zegar (z tekstem)

N0143 — Piosenki dla przedszkolaków

Czarny baran ● Jestem sobie
krakowianka ● Jadą dzieci drogą ●
Dorotka (z tekstem)

N0146 — Bajeczki dla dzieci

Miś ● Ptasię radio ● Bajka
ludowa o koguciku i kurce ●
Jak sroczka gości przyjmowała
(z tekstem)

N0253 — Jan Brzechwa — KOPCIUSZEK

Bajka muzyczna

N0298 — FILIPINKI

Batumi ● Pracunki z Portugalii
● Wala-twist ● Mr. Wonderful.

25, rue Drouot-PARIS 9^e
tél: 770-83-37

c.c.p. Paris 189-46-68

N0300 — Janina Gillowa — ŚPIĄCA
KRÓLEWNA

Bajka muzyczna.

N0331 — JACUŚ i AGATKA. Dobranoc.

Kura ● Kluczyk

N0333 — Jan Brzechwa — KOT W
BUTACH.

Bajka muzyczna

N0394 — JERZY POŁOMSKI

Synku mój ● Spij kochanie ●
Naucz mnie córeczko ● O mon
papa

Każda płyta kosztuje 8,00 F
z przesyłką pocztową 9,25 F

Oprócz płyt posiadamy stale na składzie
duży wybór książek z pięknymi ilustracjami
dla dzieci w cenie od 5,00 F do 15,00 F.

B. DOWOJNA-BIENAIME

TLUMACZKA
PRZYSIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH
SADACH W PARYZU

Tłumaczenia urzędowe
ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle
PARIS (5^e)TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE
23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20-76 Paris

Mme O. Kuc
314, rue Warmonceau,
6000-Charleroi
C.C.P. 66.69.45 Belgique

Cena prenumeraty:

kwartalnie: 9 F. — 90 Fr. B
półrocznie: 15 F. — 150 Fr. B
rocznie: 25 F. — 250 Fr. B

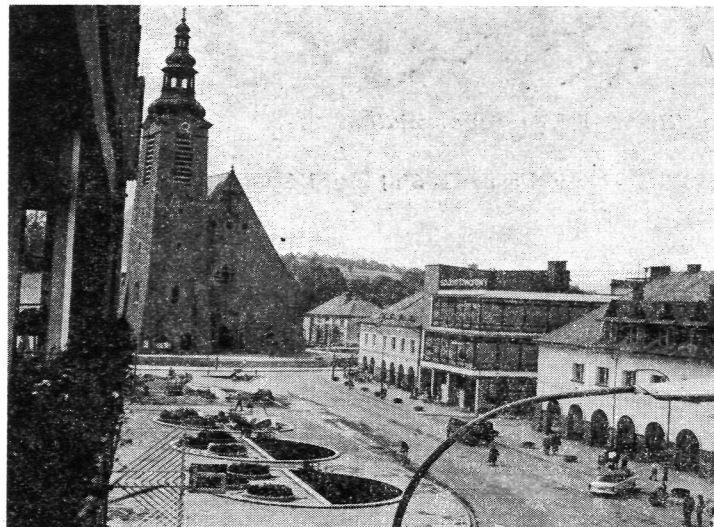
Président Directeur
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE
Zakłady Graficzne „Tamka”
Zakł. nr 1. Varsovie, Tamka 3

◀ KRAJ W OBIEKTYWIE ▶ KRAJ W OBIEKTYWIE ▶



W Warszawskiej Galerii Stowarzyszenia Architektów Polskich zaprezentowano twórczy dorobek znanego architekta, członka Stowarzyszenia Naczelnych Architektów do spraw Zabytków Historycznych z siedzibą w Paryżu, prof. Jana Zachwatowicza. Ekspozycja objęła m. in. rysunki i szkice przedstawiające prace profesora nad rekonstrukcją Starego Miasta w Warszawie oraz staromiejskich rynków w Gdańsku, Poznaniu i Wrocławiu. Na zdjęciu: prof. J. Zachwatowicz na wystawie swych prac



Limanowa — powiatowe miasto w woj. krakowskim, niegdyś zaniedbane — przeżywa obecnie swój renesans. Wiele się tam buduje z myślą zarówno o turystach, jak i starych mieszkańcach. Oddany ostatnio do użytku nowoczesny budynek mieści restaurację, bar samoobsługowy i kawiarnię. Z okien restauracji rozciąga się widok na stary, nowo przebudowany rynek

Najstarszy w Polsce cyrkiel mierniczy znajduje się w Muzeum Archeologii i Etnografii w Łodzi. Cyrkiel ten, wykonany z żelaza, znaleziony został latem ubiegłego roku w miejscowości Przywóz (pow. Wieluń), gdzie odkryto osadę pochodzącą z okresu II—IV wieku. Prof. K. Jeżdżewski, kierownik badań archeologicznych na terenie osady, demonstrowa znaleziony cyrkiel

Długo trwały przygotowania do trzeciej polskiej wyprawy żeglarskiej na Spitsbergen. Załoga na pokładzie jachtu „Smiały” opuściła port szczeciński w pierwszej połowie lipca. Rejs miał trwać ok. 2 miesięcy. Tymczasem oddając numer do druku — otrzymaliśmy wiadomość, że w czasie przejścia z Morza Północnego na Morze Norweskie, podczas silnego sztormu, na jachcie złamanym uległ grot-maszty. W tej sytuacji „Smiały” musiał zrezygnować z wyprawy za koło podbiegunowe i wrócić do portu macierzystego w Szczecinie. Na zdjęciu: załoga jachtu przed opuszczeniem portu w Szczecinie. Od lewej — dowódca wyprawy A. Rościszewski, A. Demczuk, A. Oleński, K. Chmielewski, W. Woźniak, L. Skwarek, W. Przybysz, W. Orszulak, W. Kolec i J. Konecki



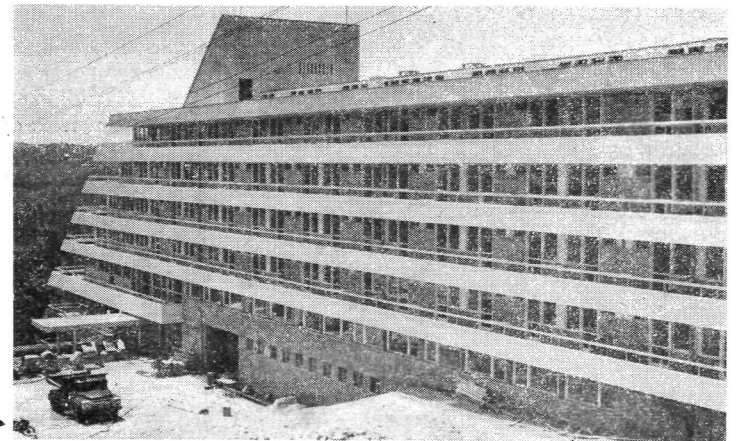
W Bukowinie Tatrzańskiej odbył się organizowany już po raz szósty konkurs ludowych gawędziarzy i instrumentalistów, zwany „Sabalo-we bajania”. Tej tradycyjnej imprezie folklorystycznej towarzyszą zawsze liczne występy regionalnych zespołów artystycznych, w których programie nie może zabraknąć widowiska „góralskie wesele”



W wielu wsiach i Państwowych Gospodarstwach Rolnych w całym Kraju w okresie żniw czynne są specjalne letnie przedszkola. Troskliwa opieka, jaką otoczone są w nich dzieci, pozwala rodzicom skupić wszystkie siły na trudnych pracach polowych. Na zdjęciu: najmłodsi obywatele w „żniwnym przedszkolu” w Smykówku (powiat Ostróda)

Zdjęcia: CAF

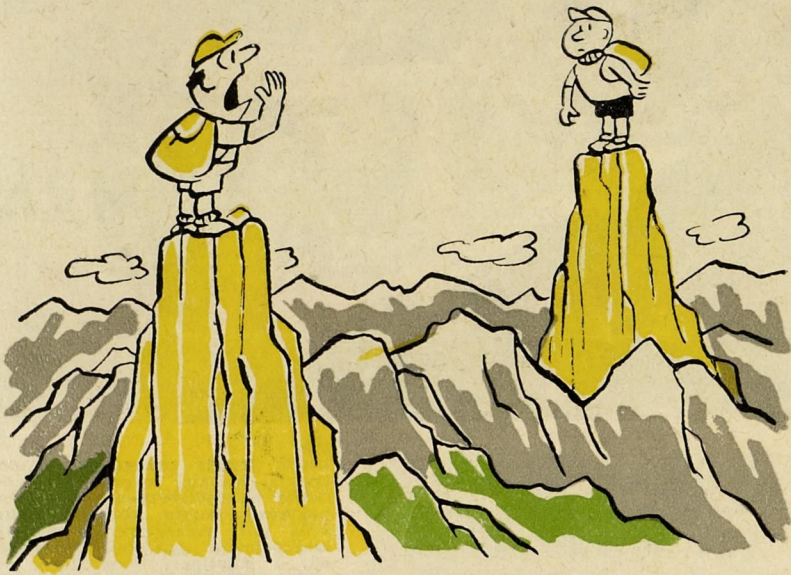
Znanej w Kraju i poza jego granicami miejscowości uzdrowiskowej — Krynicy (woj. krakowskie) przybędzie wkrótce jeszcze jedno sanatorium. Ten ciekawy architektonicznie obiekt budowany jest przez Przedsiębiorstwo Robót Wodno-Inżynierskich „Hydrobudowa” z Katowic. Oto fragment przyszłego sanatorium, które w przyszłym roku przyjmie pierwszych kuracjuszy



Prof. Witold Hensel, dyrektor Instytutu Historii Materialnej PAN, wystąpił z inicjatywą przeprowadzenia badań piastowskiego grobowca w Katedrze w Płocku, gdzie wg historycznych przekazów spoczywają szczątki władców Polski — Władysława Hermana (1040—1102) i jego syna Bolesława Krzywoustego (1086—1138). Podjęte badania wykazały, że sarkofag jest pusty. Zamurowana komora grobowa znaleziono zaś w podziemnej krypcie, a w niej trumnę wypełnioną kośćmi, które poddano badaniom antropologicznym i paleopatologicznym. Na jednej z czaszek należącej do mężczyzny w wieku 50—55 lat, dostrzeżono osobliwą deformację w postaci asymetrii twarzy, co odpowiadałoby przydomkowi Bolesława Krzywoustego. Badania prawdopodobnie potrwają jeszcze kilka miesięcy. Po ich zakończeniu uczeni wypowiedzą się, czy w odkrytej krypcie znaleziono szczątki Bolesława Krzywoustego



Wesoła turystyka!!



— Nie ma pan przypadkiem filmu? Bo ja zapomniałem zabrać!

— N'auriez-vous pas une pellicule par hasard? J'ai oublié d'en prendre une!



— Kto tu chrapie?!

— Qui est-ce qui ronfle?!



— Czy byłby pan łaskaw wyjąć swoją nogę z naszej zupy pomidorowej?

— Pourriez-vous avoir l'obligeance d'ôter votre pied de notre soupe à la tomate?



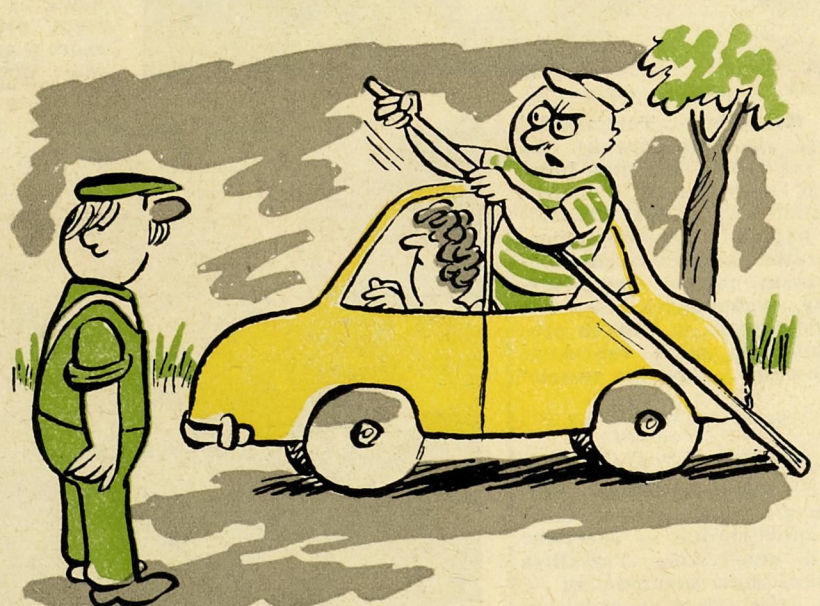
— Jean Marais wiedziałby, jak wybrnąć z tej sytuacji!

— Jean Marais saurait se sortir d'une pareille situation!



— Bardzo mi przykro, ale nie wiem, jak się stąd schodzi!

— Je regrette beaucoup, mais je ne sais vraiment pas comment descendre de là!



— Zabrakło nam benzyny na drogę powrotną!...

— Je suis tombé en panne sèche sur le chemin du retour!...